

Pożegnanie z PiS | „Sejm”, sezon 1 | Wstrząsy w policji | Serial „1670”
Komisja przydziału dzieci | Kto kręci wiatrakami | Bankrut Wiśniewski

ILUSTRACJA MARTA FREJ

POLITYKA.PL

POLITYKA

LIDER
SPRZEDAŻY

TYGODNIK, nr 51 (3444), 13.12–19.12.2023

Cena 11,90 zł (w tym 8% VAT) nr indeksu 369195

Co Tusk musi

Wielkie oczekiwania wobec nowego rządu

USA 4,60 USD; KANADA 4,69 CAD; WIELKA BRYTANIA 2,50 GBP; SZWECJA 30 SEK; CZECHY 75 CZK; KRAJE STREFY EURO 4,95 EURO



POLITYKA

WYDANIE SPECJALNE NR 05/2023
CENA 16,99 ZŁ (W TYM 8% VAT)
INDEKS: 381-055

SALON

NR 16

WNĘTRZA | ARCHITEKTURA | SZTUKA | STYL ŻYCIA



MIEJSCA DO TWORZENIA

**ELEGANCJA
ASCEZY**

Alpejski dom
na fundamentach
starej chaty

**PIĘKNA,
GOSPODARNA**

Artystki o wzorcach
narzuconych kobietom
mocą tradycji

**MONA LISA
STRAJKUJE**

Blaski i cienie
turystyki kulturalnej
na sterydach

**REZYDENCJE
ARTYSTYCZNE**

Szansa na rozwój
i współpracę
międzykulturową

Do kupienia w dobrych kioskach i na sklep.polityka.pl

SALON *pismo o tym, co nas tworzy*



16 Długie pożegnanie



33 Policyjna czarna seria



40 Kto tu kręci?

Wybory 2023

- 12 Cezary Michalski
Donald Tusk: wyzwanie życia
- 16 Rafał Kalukin
Koniec PiS
- 20 Ewa Siedlecka
**Co zrobić z Trybunałem
nieKonstytucyjnym**
- 24 Norbert Frątczak
**Sejmflix – kto i dlaczego śledzi
obrazy nowego Sejmu**



Społeczeństwo

- 26 Paweł Walewski
Uwaga na fałszywych lekarzy!
- 30 Joanna Cieśla
**Jak działają Opiniodawcze
Zespoły Sądowych Specjalistów
– i czy ich opinie
zawsze służą
dobru dziecka**
- 33 Katarzyna Kaczorowska
Wstrząsy w policji
- 36 Violetta Krasnowska
**Michał Wiśniewski: życie
na szczycie i na kredycie**



Rynek

- 40 Adam Grzeszak
Miny pod wiatrakami

- 44 Witold M. Orłowski
Nowy rząd i stara gospodarka

Świat

- 48 Paulina Wilk COP28
**Big Meat lobbuje
i manipuluje**
- 52 Rozmowa z **Elizabeth
Shakman Hurd** o tym, dlaczego
Ameryka bezgranicznie kochała Izrael
- 54 Artur Domoślawski BRAZYLIA
Janja: wpływa pierwsza dama
- 56 Roman Husarski KOREA PÓŁNOCNA
**Do czego reżim
potrzebuje buddystów**



Nauka/projektpulsar.pl

- 58 Agnieszka Krzemińska
**Jak Rosjanie niszczą
ukraińskie zabytki**
- 62 Rozmowa z prof. **Piotrem
Ponikowskim**
o szkodliwej reformie
kształcenia medycznego
w Polsce
- 65 Karol Tokarczyk
Hakerzy atakują – jak się bronić
- 68 Marcin Skrzypek **Czy miasta mogą
żyć bez samochodów**



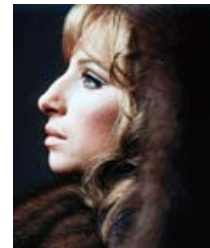
Historia

- 70 Prof. **Paul Lendvai**
o pokrewieństwach
i obcości Polaków i Węgrów

- 73 Marta Panas-Gowska
Andrzej Gowroski
**Wielki Gościńiec Litewski:
którędy wiódł i jak wyglądał**

Kultura

- 80 Aneta Kyzioł
**„1670”: satyra
na polską szlachtę**
- 83 Andrzej Lubowski
**Wspomnienia
Barbry Streisand**
- 86 Olaf Szewczyk
„DOOM”: 30 lat historii
- 90 Rozmowa z **Alanem Moorem**
o tym, czym są komiksy
- 92 Marcin Piątek
PKOl: betonowanie Piesiewicza
- 94 MEA PULPA Kuby Wojewódzkiego



Ludzie i style

- 100–105 • **Bożonarodzeniowość**
• **AI szuka prezentów**
• **Rel czy nie rel?**
• **Zrozumieć wojnę**
• **Van Gogh kontra pokemony**
• **Rijad otwiera się na świat**
• **Bąbelki w kieliszku**

Stałe rubryki

- **4** Mleczko i Mizerski • **6** Przypisy • **7** Ludzie
i wydarzenia • **76** Afisz • **95** Agata Passent
• **96** Wicha • **97** Chutnik i Plebanek
• **98** Do i od redakcji • **106** Polityka i obyczaj



SŁAWOMIR MIZERSKI Z ŻYCIA SFER

Ludzie wielkiej struktury

To, co dokonało się ostatnio w Polsce, to jest wynik wielkiej manipulacji – narzeka o. Tadeusz Rydzek, mając na myśli niedawne wybory, które sprawiły, że zagrożone są dzieła, jakich kapłan ten przez osiem lat dokonywał, działając z inspiracji i w porozumieniu z Matką Boską, w tym największe dzieło, jakim jest wyciągnięcie od państwa 400 mln zł – kwoty tak dużej, że według mnie oprócz Matki Boskiej Rydzekowi w dziele jej uzyskania musiały pomagać osoby trzecie, których personalia, miejmy nadzieję, ustali niezależna prokuratura.

O. Rydzek nie ma wątpliwości, że sprawcami manipulacji nie są przypadkowe jednostki, ale „ludzie zorganizowani, przeszkoleni, finansowani, będący częścią wielkiej struktury”. Szczegółów nie zdradza, ale można się domyślać, że ci ludzie, masowo ustawiając się w kolejkach do lokali wyborczych, stworzyli strukturę, która celowo oddała głos na z góry upatrzonych kandydatów opozycji po to, żeby przejęli władzę. O tym, że akcja była ukartowana, świadczy zarówno wynik wyborów, jak i podejrzenie duża frekwencja oraz fakt, że oczekującym w kolejce do głosowania dowożono gorącą pizzę z pizzerii, która z pewnością także była częścią większej struktury.



Szkoda, że dyrektor Radia Maryja tak późno ujawnił prawdę o tej strukturze; gdyby reagował wcześniej, można by jej członków ująć jeszcze przed wyborami. Swoją drogą dziwne, że tak wielkiej struktury nie wykryli funkcjonariusze CBA; nawet z pomocą Pegasusa nie znaleźli śladów żadnej struktury ani haków na jej liderów – Tuska i Hołownię. W tej sytuacji ujawnienie prawdy o tym ostatnim musieli wziąć na siebie specjaliści z TVP Info, którzy pokazali, jaki Hołownia naprawdę jest, przyczyniając mu twarz, dzięki czemu w spocie tej stacji wyglądał na osobę agresywną i niezdrowo pobudzoną.

Zdaniem zwolenników opozycji TVP jak zwykle w kłamie, bo marszałek Hołownia tak nie wygląda. Możliwe, ale na usprawiedliwienie TVP Info chciałbym przypomnieć, co w TVN czy Polsacie wyrabia się z osobą prezesa NBP Adama Glapińskiego, który na skutek złośliwej animacji komputerowej podczas swoich występów – przykro to powiedzieć – w ogóle nie jest na ekranie sobą i nie zachowuje się jak prezes banku centralnego, tylko jak zadowolony z siebie pajac z deficytem intelektualnym.



Amsterdam i kwitnące tulipany

Odwiedź Amsterdam wiosną i zobacz kwitnące tulipany w parku Keukenhof.

Program wycieczki: **Dz. 1** Wylot z Warszawy do Amsterdamu. Wiatraki w Zaanse Schans. **Dz. 2** Amsterdam – rejs po kanałach i pływający targ kwiatowy. **Dz. 3** Park kwiatowy Keukenhof. Wizyta na farmie serów. **Dz. 4** Amsterdam – czas wolny i powrót do Warszawy.

4 dni | Wyloty z Warszawy 03/04, 07/04, 22/04 2024

4.348,-



RPA – Ucieczka do raju

Program wycieczki:

Dz. 1 Przelot Warszawa – Johannesburg.
Dz. 2 Przelot do Johannesburga i przejazd do campu Honeyguide Mantobeni. **Dz. 3-4** Safari w Rezerwacie Dzikich Zwierząt Manyeleti w Parku Krugera. **Dz. 5** Rezerwat Dzikich Zwierząt Manyeleti – Trasa Panoramiczna – Zebra Nature Reserve. **Dz. 6** Zebra Nature Reserve. Wycieczka do Soweto i Pretorii. **Dz. 7** Zebra Nature Reserve - Centrum Gadów – Kapsztad. **Dz. 8** Kapsztad. Przylądek Dobrej Nadziei i pingwiny w Simon's Town. **Dz. 9** Kapsztad. Dzień do własnej dyspozycji. **Dz. 10** Kapsztad. Wizyta w winnicach Stellenbosch z degustacją wina, Ogród Botaniczny Kirstenbosch. **Dz. 11** Kapsztad, czas wolny i powrót do domu. **Dz. 12** Przelot do Warszawy.

12 dni | Wyloty z Warszawy 03/03 2024

13.498,-



Królewskie miasta Maroka i relaks w Agadirze

Program wycieczki: **Dz. 1** Warszawa – Marrakesz. Przelot do Maroka i powitalna kolacja. **Dz. 2** Marrakesz. Zwiedzanie miasta, Wieża Koutoubia, Patac Bahia, stare miasto, barwny i tętniący życiem plac Djemaa el Fna. **Dz. 3** Marrakesz – Casablanca. Zwiedzanie Casablanki. **Dz. 4** Casablanca – Rabat – Fez. Przejazd przez stolicę Maroka – Rabat aż do starożytnego królewskiego miasta Fez. **Dz. 5** Fez – Meknes – Fez. Zwiedzanie miasta Meknes oraz Volubilis – rzymskiego miasta wpisanego na listę UNESCO. **Dz. 6** Fez. Zwiedzanie starego miasta, bazar, meczet Andaluzyjski, Fontanna Nejjarine, dzielnica Fes el-Jdid. **Dz. 7** Fez – Erfoud – Merzouga. Góry Atlas, pustynne krajobrazy i nocleg w berberyjskim namiocie. **Dz. 8** Merzouga – Tinghir – dolina Todra – Ouarzazate. Wschód słońca na pustyni, Wąwóz Dades i Droga „Tysiąca Kazb”. **Dz. 9** Ouarzazate – Taroudant – Agadir. Imponujące mury, miejsce w Taroudant i przyjazd do hotelu w Agadirze. **Dz. 10-11** Czas wolny na relaks i plażowanie. **Dz. 12** Agadir – Warszawa.

12 dni | Wyloty z Warszawy 25/02, 17/03 2024

8.998,-



Wreszcie.



Jerzy Baczyński

Wielkie dni Donalda Tuska: jako pierwszy polityk III RP po raz trzeci został premierem. Wrócił do władzy po ponad 9 latach. Przypomnę, że jako szef rządu złożył dymisję we wrześniu 2014 r. w związku z objęciem stanowiska przewodniczącego Rady Europejskiej. Z dzisiejszej perspektywy ten zwycięski powrót wydaje się naturalny: po 2005 r. zawsze, kiedy Tusk mierzył się w wyborach z Jarosławem Kaczyńskim, wygrywał. Ale wiemy, że październikowy sukces demokratycznej opozycji – w którym kierowana przez Tuska Koalicja Obywatelska ma (licząc w sejmowych mandatach) niemal dwie trzecie udziałów – wciąż trzeba traktować jak polityczną sensację. Przy tak ogromnej kampanijnej przewadze rządzących to prawie nie miało prawa się zdarzyć, a na pewno nie w takiej skali. Kto mógł przypuszczać, że przewaga demokratycznej koalicji nad PiS sięgnie 57 mandatów (248:191)? Pierwszy rząd Tuska w listopadzie 2007 r. uzyskał w głosowaniu nad wotum zaufania poparcie 238 posłów; drugi rząd w listopadzie 2011 r. – ledwie 234, teraz 248.

Po tym, co i jak się działo przez ostatnie dwa miesiące („Długie pożegnanie” s. 16), można sobie wyobrazić, co by było, gdyby Morawieckiemu brakowało do większości nie 40 mandatów, a np. czterech? Zmianę władzy mamy tylko dzięki temu, że wygrana była miazdząca, nie do zanegowania, nie do odkręcenia. Nic nie ujmuje przywódcom demokratycznych partii, bez których nie złożyłaby się nowa większość, losy i dynamikę kampanii odmienił Donald Tusk; jej symbolem stał się przecież wymyślony i prowadzony przez Tuska, Marsz Miliona Serc – największa manifestacja polityczna w historii wolnej Polski.

Teraz Donald Tusk zostaje też pierwszym prawdziwym premierem polskiego rządu od czasów... Donalda Tuska. Ani Ewa Kopacz, która go w 2014 r. zastąpiła, ani późniejsi premierzy PiS, Beata Szydło i Mateusz Morawiecki, nie byli samodzielnymi liderami politycznymi, nie stali na czele swoich formacji, a państwo premierostwo z PiS ostentacyjnie byli podporządkowani Nowogrodzkiej, jak eufemistycznie nazywa się Jarosława Kaczyńskiego. Tusk na powrót przenosi pełnię władzy wykonawczej do rządu i nie pozostawia wątpliwości, że to on będzie kierował Radą Ministrów, wyznaczał zadania, oceniał jej członków. Ale Aleje Ujazdowskie nie staną się drugą Nowogrodzką, jedynym centrum dyspozycji politycznej. Nowa koalicyjna większość poukładała się w ten sposób, że dwaj liderzy partyni: Tusk i Kosiniak-Kamysz są w rządzie, a dwaj: Hołownia i Czarzasty – w Sejmie.

Dzięki tej roszadzie, po 8 latach faktycznie pozasejmowych rządów Kaczyńskiego, polityka znów ma szansę wrócić na Wiejską, do narodowego teatru demokracji. Sejm niemy, pozbawiony znaczenia, w którym ani opozycja, ani rządząca większość nie toczyły żadnej realnej debaty, na wzajemnych oczach zmienia się w parlament, czyli „miejsce, w którym się rozmawia” (parler), dyskutuje i dogaduje. Z tym że dogadywanie – jak widać po perypetiach ustawy wiatrakowej (więcej na s. 40) – musi dziś dotyczyć przede wszystkim liderów i posłów koalicji, bo debaty z PiS pozostaną już zapewne w sferze

nieparlamentarnej. Ale Sejm, sprawnie i efektywnie kierowany przez marszałka Hołownię (serial „Na Wiejskiej” s. 24), wreszcie zaczyna odradzać się jako władza ustawodawcza, choć – oczywiście – w pełni będzie nią dopiero po zakończeniu kadencji pisowskiego prezydenta.

Dla rządu Tuska brak większości pozwalającej odrzucać weta Dudy jest ograniczeniem, lecz nie takim poważnym, jak to na pozór wygląda. Nawet w kluczowej dziś sprawie przywracania praworządności Sejm będzie mógł (co wyjaśnia Ewa Siedlecka na s. 20) posługiwać się nie ustawami, lecz uchwałami. W ogóle premier i rząd mają w Polsce bardzo szerokie kompetencje i mogą efektywnie sprawować władzę decyzjami administracyjnymi. Wszystkie najpilniejsze zadania nowego gabinetu należą do tej kategorii. Do odblokowania pieniędzy z KPO powinien wystarczyć „pakiet Bodnara”, czyli przygotowane przez nowego ministra sprawiedliwości decyzje przywracające – w praktyce – europejskie standardy praworządności. Zniesienie coraz bardziej absurdu i szkodliwej blokady przejść granicznych z Ukrainą to kwestia negocjacji i może akcji policyjnej. Natychmiastowe odebranie telewizji i radia publicznego z rąk propagandzistów PiS też nie wymaga ich zgody. Podobnie jak zapowiedziane już przez premiera Tuska audyty i zmiany personalne w ministerstwach, urzędach publicznych, powołanie nowych wojewodów, kuratorów, szefów służb specjalnych, policji.

Ten rząd musi zacząć od wielkiego sprzątnięcia państwa. „Co Tusk musi” to także temat okładkowy tego wydania, trochę żartobliwie nawiązujący do naszego słynnego tytułu „Tusku, musisz!” z 2007 r., który opisywał atmosferę w PO tuż przed pamiętną „debatą ostatniej szansy” Tusk–Kaczyński. Chyba każdy, kto w ciągu tych dwóch miesięcy publicznie wypowiadał się o polityce, mówił Tuszkowi, co musi i czego mu absolutnie nie wolno. Po stronie demokratycznej szczególnie intensywne były ostatnio nawoływania, aby „nie brać odwetu na PiS”. Czasami te rady przybierały doprawdy dziwaczne formy, jak choćby sugestia, aby nadal zostawić jeden z kanałów TVP w rękach PiS; apele, by w żadnym wypadku nie straszyć prezesa NBP Trybunałem Stanu albo „nie postępować tak jak PiS” i czekać ze zmianami w sądownictwie czy prokuraturze aż do wyborów prezydenckich 2025 r.

Jaki jest plan rządu, usłyszeliśmy w exposé nowego premiera. Długa lista pilnych zadań, wyzwań, zobowiązań. W „ślubowaniu” złożonym jeszcze podczas wielkich przedwyborczych marszów Tusk obiecywał: wygramy – rozliczymy – naprawimy – pojednamy. Pierwszy etap już został wykonany: demokratyczna opozycja naprawdę wygrała. Ogłoszony skład rządu Donalda Tuska wyraźnie zapowiada przejście do etapu dwa i trzy. W rządzie dominuje, jak można się było spodziewać, zwarta i doświadczona ekipa KO/PO, która bierze, a właściwie wzdiera z rąk PiS większość kluczowych resortów. Borys Budka ma zrobić porządek w spółkach Skarbu Państwa, Bartłomiej Sienkiewicz w TVP i fundacjach Glińskiego, Tomasz Siemoniak w służbach specjalnych, Marcin Kierwiński w MSW i pogrążonej w kryzysie policji, Adam Bodnar – posprzątać po Ziobrze, Barbara Nowacka – po Czarnku, Radek Sikorski w MSZ. Ministrowie z Trzeciej Drogi i Lewicy otrzymali/wzięli spokojniejsze działy, bardziej związane z przyszłością, rozwojem, inwestycjami, opieką i równowagą społeczną. Nie wszystkie nominacje są przekonujące i zrozumiałe, ale widać w tej ekipie poczucie koalicyjnej lojalności, odpowiedzialność, determinację. Cóż: będziemy się nowym ministrom i ich decyzjom przyglądać; życzliwie – bo to rząd demokratycznej opozycji, którą nasza gazeta popierała – ale i krytycznie, bo życzymy temu rządowi i jego premierowi powodzenia.

Przypominając historyczną frazę: Panie i Panowie, właśnie skończyły się w Polsce rządy prawicowego populizmu i osobista, niekontrolowana władza Jarosława Kaczyńskiego. Wreszcie! Zaczynamy nowy rozdział historii: niełatwy powrót do demokracji, praworządności, tolerancji, do Europy. Mam nadzieję, że także do roztropności i umiaru rządzących, a przede wszystkim do łagodzenia – podsycanych przez ostatnie 8 lat – bezsensownych, nienawistnych podziałów między Polakami. Wreszcie.

Nowy rząd, nowy czas

Nominacje do rządu Donalda Tuska długo owiane były tajemnicą – PiS i Andrzej Duda grali na czas, odwołując oddanie władzy, co dało liderom przyszłej rządzącej koalicji kilka dodatkowych tygodni na spokojne negocjacje. Zresztą nawet gdy już większość kandydatur była dogadana, politycy niedawnej opozycji demokratycznej nie spieszyli się z ujawnianiem nazwisk członków gabinetu – nie chcieli bowiem dawać PiS-owi i jego medialnym poplecznikom szansy na torpedowanie pozycji przyszłych ministrów. Od ubiegłego piątku wszystko jednak jest już jasne. Znamy nowych ministrów i ministery (bo w tym rządzie przyjęła się forma feminatywna). W ekipie Donalda Tuska mamy więc 16 mężczyzn i 9 kobiet. (MLV)



W gabinecie Donalda Tuska zasiądą:

- Wicepremier i minister obrony narodowej:
Władysław Kosiniak-Kamysz (PSL)
- Wicepremier i minister cyfryzacji:
Krzysztof Gawkowski (Nowa Lewica)
- Minister finansów:
Andrzej Domański (KO)
- Minister aktywów państwowych:
Borys Budka (KO)
- Minister infrastruktury:
Dariusz Klimczak (PSL)



• Minister rozwoju i technologii:
Krzysztof Hetman (PSL)

• Minister rolnictwa i rozwoju wsi:
Czesław Siekierski (PSL)

• Ministra klimatu i środowiska:
Paulina Hennig-Kloska (Polska 2050)

• Ministra funduszy i polityki regionalnej:
Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz (Polska 2050)

• Ministra rodziny i polityki społecznej:
Agnieszka Dziemianowicz-Bąk (Nowa Lewica)

• Ministra edukacji:
Barbara Nowacka (KO, Inicjatywa Polska)

• Minister nauki i szkolnictwa wyższego:
Dariusz Wiczorek (Nowa Lewica)

• Minister sprawiedliwości:
Adam Bodnar (bezpartyjny)

• Minister spraw wewnętrznych i administracji:
Marcin Kierwiński (KO)

• Minister kultury i dziedzictwa narodowego:
Bartłomiej Sienkiewicz (KO)

• Minister spraw zagranicznych:
Radosław Sikorski (KO)

• Ministra zdrowia:
Izabela Leszczyna (KO)

• Minister sportu i turystyki:
Sławomir Nitras (KO)

• Ministra przemysłu:
Marzena Czarnecka (bezpartyjna)

• Minister koordynator ds. służb specjalnych:
Tomasz Siemoniak (KO)

(ministrowie w Kancelarii Premiera)

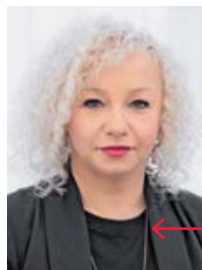
• Szef Kancelarii Premiera:
Jan Grabiec (KO)

• Minister ds. Unii Europejskiej:
Adam Szłapka (KO, Nowoczesna)

• Ministra ds. polityki senioralnej:
Marzena Okła-Drewnowicz (KO)

• Ministra ds. równości:
Katarzyna Kotula (Nowa Lewica)

• Ministra ds. społeczeństwa obywatelskiego:
Agnieszka Buczyńska (Polska 2050)



Służby, atom i miliony

Dynamika wydarzeń była bondowska. W ubiegły czwartek POLITYKA ujawniła, że ABW wydało negatywne opinie dla atomowej spółki Orlenu **Daniela Obajtka** i biznesmena **Michała Sołowowa** – Orlen Synthos Green Energy (OSGE). A dzień później minister klimatu, lekceważąc opinie służb, dała spółce inwestycyjne zielone światło. Jeśli był to rodzaj przysługi, to raczej niedźwiedziej. Chodzi o tzw. decyzję zasadniczą. To furтка, przez którą musi przejść każdy podmiot starający się wejść do gry o atom w Polsce. Została zapisana już w ustawie z 2011 r. o przygotowaniu i realizacji inwestycji w zakresie obiektów energetyki jądrowej. Po przejściu władzy przez PiS ustawy znulizowano i zapisy o decyzji zasadniczej powędrowały na sam przód ustawy.

O decyzję gorliwie zaczęły starać się wszystkie zainteresowane podmioty, w tym spółka OSGE, która łączyła prywatny kapitał najbogatszego Polaka Michała Sołowowa i największej spółki pod kontrolą Skarbu Państwa, czyli Orlenu. Spółka miała ambitne, żeby nie powiedzieć bombastyczne, plany. Prezes Obajtek opowiadał nie o jednym, ale o 78 małych reaktorach, tzw. SMR-ach (Small Modular Reactor). I to do 2038 r. 27 kwietnia OSGE złożyło wniosek o wydanie decyzji zasadniczej. Dosłownie parę dni po tym jak



podobny wniosek złożył konkurencyjny KGHM. Miedziany gigant dość płynnie przeszedł procedury i na początku lipca dostał decyzję zasadniczą. W przypadku wniosku OSGE coś się zacięło.

Decyzja, która pierwotnie również miała być wydana w lipcu, zaliczyła jedno opóźnienie za drugim. Minister klimatu Anna Moskwa, która odpowiedzialna była za jej wydanie, tłumaczyła, że wniosek był niepełny i należało go uzupełnić, a tym samym czas dla wydania decyzji niejako stanął w miejscu. Następnie PiS przegrał wybory i wokół decyzji zaczęły dziać się dziwne rzeczy. – *OSGE dostało negatywną opinię z ABW. Nie wiadomo dlaczego, bo dokument jest tajny. Ale coś jest na rzeczy, bo dociskani o ponowne rozpatrzenie decyzji po raz drugi wydali negatywną* – mówi nasz rozmówca.

POLITYKA przez dwa dni nie dostała odpowiedzi z Ministerstwa Klimatu. Po czym weszły piątek nowa minister klimatu

w dwutygodniowym rządzie Morawieckiego Anna Łukaszevska-Trzeciakowska wydała decyzję zasadniczą dla OSGE, i to dla aż sześciu lokalizacji: w Ostrołęce, Włocławku, Stawach Monowskich, Dąbrowie Górniczej, Krakowie (Nowa Huta) oraz Tarnobrzegu-Stalowej Woli. Ale nawet tego komunikatu nie ma co szukać w aktualnościach ministerstwa. Za to na X przeczytać można komentarz samych zainteresowanych: „W ciągu ponad 230 dni postępowania ABW ani razu nie spotkała się ani z wnioskodawcą, czyli spółką OSGE, z dostawcą technologii, czyli amerykańskim GE-Hitachi, ani nie zapoznała się z danymi dotyczącymi wnioskowanych lokalizacji. Nie wiemy, na jakiej podstawie ABW wydała swoje opinie”. Spółka domaga się ich odtajnienia.

Sprawa jest podwójnie delikatna, bo Łukaszevska-Trzeciakowska związana była z Orlenem, a w ministerstwie pojawiła się przelotem. Dobry obyczaj nakazywałby zastawienie decyzji ministrowi docelowemu. – Polska dramatycznie potrzebuje czystej energii i atom taką jest. Ale procedury też powinny być czyste i klarowne, a te budzą wątpliwości – mówi nasz rozmówca. Decyzję MK pozytywnie skomentował ambasador USA w Polsce. Negatywnie – Mariusz Kamiński, który nadzorował służby za czasów PiS. Wszystko wskazuje na to, że kwestia pozwoleń dla OSGE dopiero się zaczyna, a nie kończy. (JULL)

Kolejna kampania przed nami

Wybory samorządowe odbędą się najprawdopodobniej 7 kwietnia – taką datę podał Szymon Hołownia. Pierwotnie w wyniku wydłużenia kadencji władz lokalnych (do 5 lat) wybory na tym szczeblu miały się odbyć na jesieni 2023 r., jednak PiS przedłużył jednorazowo kadencję samorządów o dodatkowe pół roku. Na cztery miesiące przed wiemy już co nieco o potencjalnych kandydatach.

Zaczynając od stolicy, Rafał Trzaskowski zapowiedział walkę o drugą kadencję, PiS, choć nie ogłosił jeszcze tego oficjalnie, najprawdopodobniej wystawi **Tobiasza Bocheńskiego**. W latach 2019–23 pełnił on funkcję wojewody łódzkiego, a w kwietniu został wojewodą mazowieckim. Z tego stanowiska wielokrotnie krytykował Trzaskowskiego i tam, gdzie mógł, blokował jego decyzje. Dobry wynik Bocheńskiego może otworzyć przed nim drzwi do startu w wyborach na prezydenta państwa. Kandydatem ruchów miejskich ma zostać Jan Mencwel z Miasto Jest Nasze. W Gdańsku większych problemów w walce o wybór po raz drugi nie powinna mieć Aleksandra Dulcikiewicz. Tak samo jak Hanna Zdanowska w Łodzi, która w przypadku wyborczego sukcesu zapewniłaby sobie już czwartą kadencję.



Ponowny start w wyborach zadeklarowali także władarze Poznania i Wrocławia. Jacek Jaśkowiak może być raczej pewny sukcesu, i to mimo tego, że nie wie jeszcze, z kim przyjdzie mu się zmierzyć. W maju gotowość do startu deklarował Szymon Szyński vel Sęk, ale w PiS pojawiają się głosy, że jedynie kandydat niezwiązany bezpośrednio z partią miałby szansę nawiązać walkę. Nutkę niepewności o poparcie dla Jacka Sutryka wzbudziło wydarzenie z ostatniego miesiąca, kiedy prezydencki klub w radzie miejskiej Wrocławia opuścili rajcy PO i Nowej Lewicy.

Do zmiany dojdzie za to na pewno w Krakowie. Z ubiegania się o szóstą kadencję zrezygnował Jacek Majchrowski. Dotychczas swój start zadeklarowali: Aleksander Miszański (poseł PO), Andrzej Kulig (wiceprezydent, popierany przez Majchrowskiego), Łukasz Gibała (radny) oraz Stanisław Mazur (rektor Uniwersytetu Ekonomicznego). Kandydatką PiS może ponownie zostać Małgorzata Wassermann; swoich przedstawicieli mogą wystawić także Konfederacja i Lewica. O ostatecznym rozstrzygnięciu w największym stopniu zadecyduje, jaka para zmierzy się w nieuniknionej drugiej turze.

Na poziomie sejmików wojewódzkich do wspólnego startu przymierzają się PSL i Polska 2050, kontynuując w ten sposób projekt Trzeciej Drogi; decyzja ma zapaść do świąt. (PJO)

Sprostowanie

1. Nieprawdziwa jest sugestia zawarta w artykule „Hotele na podsłuchu”, jakoby w hotelach Polskiego Holdingu Hotelowego sp. z o.o. (PHH) służby specjalne prowadziły

– za wiedzą i zgodą zarządu PHH i z udziałem pracowników PHH – prewencyjną inwigilację gości. PHH zdecydowanie temu zaprzecza.

2. O ile jakiegokolwiek działania w zakresie inwigilacji Bartosza Kramka, podczas jego pobytu w hotelu Renaissance, podejmował pan

Robert Z. – były pracownik PHH, to odbywały się one poza wiedzą i bez zgody Polskiego Holdingu Hotelowego sp. z o.o.

Polski Holding Hotelowy Sp. z o.o.
Ul. Komitetu Robotników 39G, 02-148 Warszawa

Komu przeszkadza Sejmflix

Karolina Lewicka

Dziennikarka Radia TOK FM, wykładowczyni Collegium Civitas, politolożka.



Mody przychodzą i przemijają. Byłoby rzeczą wielce pożądaną, by ta najnowsza – na śledzenie przebiegu poselskich obrad, tzw. Sejmflix – pozostała z nami na dłużej, przekształcając się nawet w obywatelski nawyk. Ale „przypuszczam, że wątpię”. Fascynujące dziś znudzi się jutro. Po okołow wyborczym wzmożeniu – rozpiętym między rekordową frekwencją, symbolizowaną przez wrocławskie osiedle Jagodno, a rekordową oglądalnością sejmowego kanału na YouTube, z działającym tu „efektem Hołowni” – może nie pozostać nawet ślad. I wróci doskonale nam znana postawa *désintéressement*, dystans wobec państwa czy wrogość wobec politycznych elit.

Jeśli nowa władza nie wykorzysta tego sprzyjającego momentu do odbudowy zaufania między obywatelami a systemem politycznym, to jej sumienia obciążą grzech zaniechania, a powrót sił antydemokratycznych stanie się bardziej prawdopodobny. PiS już odczuwa niepokój związany z zainteresowaniem wyborców tym, co dzieje się przy Wiejskiej. Medialni funkcjonariusze odchodzący ekipy piszą o „show dla rozbawionej widowni” i sejmowym pre-digitalizatorze, mającym sztuczkami odciągnąć uwagę obywateli od – a jakże! – niespełnionych przez gabinet Donalda Tuska obietnic. Jest w tym pogarda dla elektoratu konkurencji politycznej, który idzie do Kinoteki, by obejrzeć na dużym ekranie exposé upadającego premiera Morawieckiego, ale i obawa przed obywatelem aktywnym, który nie mieści się w politycznej filozofii PiS. Jarosław Kaczyński zdecydowanie woli, gdy się go popiera i nie przeszkadza, i gdy w zamian za socjalne transfery wyborca przestaje doglądać spraw publicznych, pozostawia władzę samą sobie.

PiS lubi to, a demokracja wręcz przeciwnie – ten ustrój karleje, jeśli państwo zaludniają apatyczne, zdepolityzowane masy. By demokracja kwitła, potrzebni są ludzie, dla których obywatelstwo jest jednym z elementów ich tożsamości – potrzebne jest społeczeństwo obywatelskie.

Do rządów Beaty Szydło i Morawieckiego wszedł Piotr Gliński, specjalista od teorii i praktyki społeczeństwa obywatelskiego, ale swoją działalnością polityczną sprzeniewierzył się własnemu dorobkowi naukowemu. Obok niego był i Adam Lipiński, wierny pretorianin Nowogrodzkiej w roli pełnomocnika rządu ds. społeczeństwa obywatelskiego (sic!). Tradycyjnie inspirowany się systemem słusznie minionym, PiS usiłował stworzyć sobie koncesjonowane „społeczeństwo obywatelskie”, dokładnie tak jak komuniści, którzy po delegalizacji Solidarności powołali do życia własny związek zawodowy z aparatczykiem Alfredem Miodowiczem na czele. Pieniądze na „trzeci sektor” płynęły tylko do swoich, a obywatelskim protestom dawała odpór pałka teleskopowa. Bo PiS należy, mówiąc Karlem Popperem, do wrogów społeczeństwa otwartego. Dążył do wspólnoty zamkniętej, silnie podporządkowanej wodzowi, z relacjami klientelistycznymi i jedną, powszechnie obowiązującą, prawdą.

Ale obywatelskość w Polakach przetrwała ten mroczny czas i do najważniejszych zadań nowej władzy należy, byśmy znów nie posnęli, nie wycofali się w prywatność, dochodząc do wniosku, że polityka to wewnętrzna gra elit, na którą nie mamy wpływu. Ma o to zadbać minister bez teki do spraw społeczeństwa obywatelskiego. W rządzie Donalda Tuska tę nową funkcję obejmuje wiceszefowa Polski 2050 Agnieszka Buczyńska, pomorska posłanka, specjalistka od organizacji pozarządowych. Jeśli nie będzie figurantką i faktycznie wypełni swoje stanowisko treścią, jest szansa, że Polacy, zassani w ostatnich tygodniach do życia publicznego, nie będą masowo dezertować. Nawet jeśli sejmowy serial będzie się cieszył skromniejszą widownią.

O sejmomanii piszemy też na s. 24.

PiS się zabezpiecza

Im więcej mówi się o rozliczeniu władzy PiS, tym bardziej pomysłowa staje się samoobrona przed nią. O nieodpowiedzialność PiS dbał zawsze. Pierwsze było autorskie poszerzenie przez Andrzeja Dudę prawa łaski na osoby nieprawomocnie skazane (ułaskawienie Mariusza Kamińskiego i Macieja Wąsika). Jednym z benefitów przejęcia Trybunału Konstytucyjnego było zagwarantowanie tak ułaskawionym notabdom bezkarności: Trybunał dwukrotnie wydał orzeczenia, które „zatwierdzały” to ułaskawienie. Potem stworzono Izbę Kontroli Nadzwyczajnej w SN, która służyła prokuratorowi generalnemu Ziobrze do zmiany ostatecznych wyroków sądów. Jeśli więc w normalnym procesie prawomocnie skazano by Kamińskiego, Wąsika, Morawieckiego czy innych pisowskich władców, to IKN by to naprawił. Nie będzie już Ziobry na urzędzie prokuratora generalnego, ale zostawił on nieodwoływalnego awatara: **Dariusza Barskiego**, któremu przekazał takie – i nie tylko – uprawnienia.

Kolejnym sposobem zabezpieczania się przed odpowiedzialnością były przemycane



w różnych ustawach (np. tarczach antycovidowych czy lex Tusk) przepisy gwarantujące nieodpowiedzialność. Nowy nurt to manipulowanie regulaminami wewnętrznymi. Właśnie pierwsza prezeska SN Małgorzata Manowska, będąca z urzędu przewodniczącą Trybunału Stanu, zmieniła regulamin TS, przysługując sobie władzę komponowania składów orzekających w Trybunale. To daje jej możliwość ochrony przed uznaniem za winnych ludzi poprzedniej władzy, z szefem NBP Adamem Glapińskim na czele.

PiS wskazał bowiem do TS siedmiu przedstawicieli, może też liczyć na głos przewodniczącej Manowskiej. Pierwsza instancja TS to przewodniczący plus czterech sędziów, druga – przewodniczący i sześciu innych sędziów. Przewodnicząca Manowska może wyznaczyć w pierwszej instancji czterech rekomendowanych przez PiS, w drugiej – kolejnych czterech, i wraz z nią będzie 5:2.

Prezesa Glapińskiego dodatkowo ochronić ma Trybunał nieKonstytucyjny, gdzie posłowie PiS zaskarżyli przepis o bezwzględnej większości głosów do postawienia prezesa NBP przed TS – i drugi: że jest zawieszony w czynnościach od momentu przyjęcia przez Sejm aktu oskarżenia przed TS. A zaczęło się od regulaminu TK, zmienionego, żeby wymusić wybór Julii Przyłębskiej na prezeskę. Potem to samo prezydent Duda powtórzył w regulaminie SN w stosunku do wyboru pierwszego prezesa i prezesów izb. I ostatnio – zmniejszając do połowy liczby wszystkich sędziów SN kworum, które może uchwalać obowiązującą wszystkich sędziów SN wykładnię prawa. Ta ostatnia zmiana regulaminu to obrona neosędziów SN mianowanych przez prezydenta przed kwestionowaniem ich statusu.

EWA SIEDLECKA

Zelenski u Bidena

Jedenastu głosów zabrakło w Senacie USA, by przyjąć prezydencki pakiet wsparcia dla Ukrainy i na inne potrzeby bezpieczeństwa. Nie pomógł alarm Pentagonu, że napoczęty został ostatni miliard dolarów na finansowanie dostaw amunicji, ani apel **Joe Bidena**, że jeśli Ukraina nie powstrzyma Putina, to będą musieli zrobić to amerykańscy żołnierze. Ale z misją w Waszyngtonie jest właśnie **Wołodimir Zelenski**, i jeśli to zaproszenie traktować wedle reguł dyplomacji, to można mieć nadzieję na przełom. Kongres ma od przyszłego tygodnia wolne, a bez jego zgody dotychczasowy schemat pomocy USA się skończy. Dlatego żona prezydenta Ołena Zelenska mówi w BBC, że brak amerykańskich funduszy to dla Ukrainy „śmiertelne zagrożenie”.



W Stanach do tej pory górę brała partyjna polityka, w której nie chodzi wcale o Rosję, tylko o prezydenturę – zdaniem części Republikanów Biden bardziej skupia się na Ukrainie niż na ochronie granicy USA. Dlatego im bliżej wyborów, tym bardziej politycy nie chcą iść pod prąd nastrojom, a te nie są korzystne. Pomimo nakreślonego przez Bidena widma wojny w USA spada obawa, co uduku mentował sondaż Pew Research Center, że rosyjska agresja w Europie poważnie zagraża bezpieczeństwu USA. Rośnie natomiast odsetek Amerykanów przekonanych, że ich kraj zrobił już tak dużo, iż więcej nie musi. Bardziej niechętni kontynuowaniu pomocy są Republikanie, a to po ich stronie koncentruje się polityczna debata

przed styczniowymi prawyborami, które mogą wyłonić faworyta do listopadowego starcia z Bidenem. Bardzo możliwe, że będzie to Donald Trump, obiecujący „rozwiązanie kryzysu” w ciągu 24 godzin, ale unikający odpowiedzi, jakie konkretnie podejmie działania.

Na razie paniki nie ma, bo Rosjanie idą na zachód bardzo powoli. Po niemal 10 latach wojny pozycyjnej wyrwali Ukrainie Marjinkę, osadę na przedmieściach Doniecka. Po zatrzymaniu ofensywy Ukraina odpowiada dalekimi atakami dronów-kamikadze, które co kilka dni wysyła w rojach na Krym czy Moskwę. Rosja niestety też się tego nauczyła i, co gorsza, umie je zwalczać. Parytet zdolności się wyrównał, przed czym w listopadzie ostrzegał generał Walery Załużny. Po tym jak przyznał się do błędów w kontrofensywie, część obozu prezydenckiego domaga się dymisji generała. Cios Zelenskiemu wymierzył z kolei były bokser, burmistrz Kijowa Witalij Kliczko, zarzucając prezydentowi skłonności autorytarne. Walka o władzę trwa w Ukrainie na dobre. Walka o Ukrainę ugrzęzła w polityce.

MAREK ŚWIERCZYŃSKI



Skala krzywd

Składają broń i poddają się – tak o bojownikach w Strefie Gazy mówi premier Izraela Benjamin Netanjahu. Zapowiedź „początku końca” Hamasu, a więc samej wojny i zwyciężanego z nią cierpienia, może być przedwcześnie, a Netanjahu tą deklaracją pewnie próbuje zbijać argumenty krytyków o brutalności izraelskiego wojska (IDF). Krytyka jest druzgocąca i uzasadniona. W Gazie zginęło 18 tys. osób (to dane Hamasu), a sytuacja pozostająca przy życiu była dramatyczna już dwa miesiące temu, obecnie tylko się pogłębia. Przedstawiciele ONZ mówią o „piekle na ziemi”.

Walki trwają głównie w rejonie miasta Chan Junis, leżącego na południu Strefy. IDF udało się przejąć niemal całkowitą kontrolę nad północą regionu, stanowiącą bastion grupy, która 7 października najechała Izrael, zabijając 1,2 tys. osób i uprowadzając ponad 240 zakładników. Około 110 z nich uwolniono podczas niedawnego zawieszenia broni. Prawdopodobnie następne kolejne paury się oddała. Nie chce jej Netanjahu, swoje warunki

Plan Rwanda

Wielka Brytania, która po brexicie miała „odzyskać kontrolę” nad imigracją, wciąż ma z nią problem. Nielegalni imigranci stanowią – zarówno zdaniem rishiego rządu **Rishiego Sunaka**, jak i społeczeństwa – jedną z największych bolączek kraju. A jednocześnie sama próba przedostania się na Wyspy przez kanał La Manche jest zagrożeniem dla ich życia i zdrowia (w 2022 r. 46 tys. osób wybrało tę drogę). Londyn wpadł więc na pomysł, aby w ramach odstraszenia kolejnych imigrantów tych już przybyłych odsyłać do Rwandy i tam – w bezpiecznej odległości – przeprowadzać ich procesy



azyłowe. Miałoby to tę zaletę, że w przypadku odrzucenia wniosku imigrant nie „rozpywałby się” w Wielkiej Brytanii, tak jak to ma miejsce w wielu państwach Unii.

Według pierwotnego pomysłu z kwietnia 2022 r. imigranci, przybywając do Rwandy – samolotami; na koszt brytyjskiego podatnika – otrzymywaliby na miejscu status uchodźcy z prawem pobytu, lub – gdyby chcieli – w innym „bezpiecznym” państwie. Taka procedura miałaby dotyczyć wszystkich, którzy po 1 stycznia 2022 r. przybyli nielegalnie do Wielkiej Brytanii. Plan ten został jednak wstrzymany w czerwcu 2022 r., gdy sprawą zajął się Sąd Najwyższy. Miesiąc temu uznał on rządowe propozycje za nielegalne ze względu

na ryzyko wiążące się z wysłaniem potencjalnych azylantów akurat do Rwandy – zdaniem sądu państwo to nie daje gwarancji sprawiedliwego procesu azylowego.

Rząd Sunaka, dla którego ten plan ma być fundamentem nowej polityki imigracyjnej, nie zamierza jednak odpuszczać. Szczególnie że wypłacił już Rwandzie na przygotowania 240 mln funtów (ponad 1,2 mld zł), choć żaden imigrant z Wysp jeszcze tam nie dotarł. 5 grudnia szef brytyjskiego MSW James Cleverly podpisał w Kigali nową umowę imigracyjną, która ma gwarantować, że miejscowy rząd nie będzie odsyłał przetrzuconych z Wielkiej Brytanii imigrantów do innych państw. Jednocześnie do parlamentu trafił projekt ustawy, która wprost uznaje Rwandę za „bezpieczne” państwo i nakazuje urzędnikom biorącym udział w procedurach imigracyjnych tak właśnie traktować ten afrykański kraj. Sunak liczy, że „most powietrzny” do Rwandy ruszy już w kwietniu.



stawia Hamas, niewiele potrafią tu pomóc katarscy negocjatorzy. Aktywny udział w konflikcie stara się wziąć także ruch Huti z Jemenu, sprzymierzony z wrogiem Izraelowi Iranem (czyt. nota obok). Atakuje zmierzające do izraelskich portów statki i eskortujące je okręty zachodnich marynarek.

Ujawniono nowe szczegóły październikowego ataku, w tym opisy bestialskich okaleczeń i gwałtów. Coraz więcej wiadomo też o tym, co spotkało wypuszczonych zakładników. Informacje te mają utwierdzać globalną opinię publiczną, zwłaszcza z państw, których rządy wspierają Izrael, że jego kampania jest usprawiedliwiona, a przyjęte środki są proporcjonalne do skali doznanych krzywd i ewentualnego zagrożenia ze strony terrorystów, gdyby ci nie zostali zneutralizowani. Jednak wahadło globalnej empatii zdaje wychylać się na stronę palestyńską. Demonstracje uliczne regularnie maszerują w wielu miastach kilku kontynentów, są liczne i pełne oskarżeń pod adresem rządu w Tel Awiwie, domagając się wolności dla obłożonej Gazy.

Jemeńska blokada

Nie przepłynie żaden statek zmierzający do Izraela, dopóki Gaza nie dostanie niezbędnych leków i żywności – taką deklarację w sobotę złożył rzecznik **Huti**, popieranego przez Iran ugrupowania partyzanckiego, które kontroluje niemal cały zachodni Jemen wraz ze stolicą w Sanie. Nie są to czcze groźby, bo Huti obsadzili południowo-wschodnie wybrzeże Morza Czerwonego w pobliżu Bramy Łez, czyli cieśniny łączącej to morze z Oceanem Indyjskim. I od kilku tygodni atakują oraz zatrzymują jednostki powiązane armatorsko z Izraelem. Od początku grudnia zatrzymali już trzy statki handlowe, co wywołało interwencję amerykańskiej marynarki wojennej. Amerykanie zaangażowali się nie tylko ze względu na Izrael, ale także z powodu kluczowej roli, jaką Morze Czerwone odgrywa w transporcie ropy naftowej z Zatoki Perskiej na najważniejsze rynki światowe.

Huti doskonale zdają sobie z tego sprawę. Ich historia sięga lat 90., gdy pojawili się jako jedna ze stron wojny domowej, która wybuchła wkrótce po zjednoczeniu Jemenu. Po wielu zwrotach akcji Huti zajęli Sanę w 2014 r., co wywołało interwencję Arabii Saudyjskiej. Dla Saudyjczyków, uważających się za patronów islamu sunnickiego, szyicki Jemen zawsze stanowił zagrożenie. Sytuacja zrobiła się naprawdę poważna, gdy Huti dostali wsparcie od Iranu, który widzi w jemeńskich partyzantach nie tylko braci szjytów, ale również część swojej „Osi Oporu”, wraz z Hezbollahem



i Hamasem. Interwencja Saudyjczyków w Jemenu tylko wzmocniła Huti, którzy już regularnie zaczęli ostrzeliwać raketami terytorium sąsiada.

Od wybuchu kryzysu w Gazie Huti ostrzeliwiają również południowy Izrael, choć ich proste rakiety są przechwytywane przez izraelski system obrony. Inaczej wygląda sytuacja ze statkami – nawet jeśli Huti nie będą w stanie ich zatrzymać, to już samo zastraszenie armatorów sprawi, że wiele jednostek zrezygnuje z żeglugi przez Morze Czerwone, co może zdestabilizować sytuację na rynkach ropy. To jednak relatywnie optymistyczny scenariusz. Pesymistyczny zakłada eskalację kryzysu w Gazie, choćby poprzez kolejną saudyjską interwencję w Jemenu i nieprzewidywalną w takich okolicznościach reakcję Iranu.

Bój o Esequibo

Despotyczny prezydent Nicolas Maduro zorganizował referendum, w którym Wenezuelczycy opowiedzieli się za przyłączeniem do ich kraju Esequibo, prowincji stanowiącej dwie trzecie terytorium sąsiedniej Gujany. Takiego wyniku można się było spodziewać, bo wśród Wenezuelczyków żywy jest mit niesprawiedliwości dziejowej, a konkretnie oszukańczej w ich oczach decyzji międzynarodowego arbitrażu z 1899 r., który uznał Esequibo za część Gujany, ówczesnej kolonii brytyjskiej. Rzekomo stratna Wenezuela była wówczas kolonią Hiszpanii. Tęsknota za Esequibo nasiliła się, kiedy odkryto u jej wybrzeży wielkie złoża ropy i gazu, a amerykański koncern ExxonMobile przystąpił do ich eksploatacji. Na tych patriotycznych emocjach zagrał teraz prezydent Maduro, który szykuje się do przełomowych, bo z udziałem opozycji, wyborów prezydenckich. Obie strony osiągnęły przedwyborcze porozumienie, wspólną kandydatką opozycji jest, do tej pory



prześladowana, Maria Corina Machado. A prezydent Biden, a conto, zawiesił sankcje dotyczące eksportu wenezuelskiej ropy.

Maduro, który twardą ręką rządzi od dekady, ma już z kim przegrać, więc użył narodowego dopalacza: w entuzjastycznym wystąpieniu w telewizji pokazał mapę Wenezueli powiększonej o Esequibo, ogłosił gen. Alexisa Rodriguez Cabello gubernatorem nowej terytorialnej zdobyczy i zażądał, aby w ciągu trzech miesięcy wycofały się z tamtejszego szelfu wszystkie obce firmy wydobywcze. Na razie są to ruiny wyłącznie na papierze. Liczące 150 tys. mieszkańców Esequibo, gęsto porośnięte lasami deszczowymi, jest trudno dostępne, za to przebogate w surowce. Ale jedyna dobra droga prowadzi przez terytorium Brazylii, która ostro zaprotetowała wobec

poczynań Caracas. Podobnie jak Waszyngton, który uznał sytuację za „bardzo poważną”, tym bardziej że zagrożone są istotne amerykańskie interesy gospodarcze. Żadne z państw regionu nie poparło Madury w sporze z Gujaną. I być może zadowolili się on rolą męczennika w słusznej sprawie. To będą bardzo ciekawe miesiące.

Co musi i co może

Znamy skład rządu Donalda Tuska i wydaje się, że znamy skalę wyzwań, jakie przed nim stoją. Poprzeczkę oczekiwań zawieszono bardzo wysoko. Rekordowa frekwencja w ostatnich wyborach, miliony ludzi, którzy głosowali za zmianą. Tuska czeka zadanie życia.

CEZARY MICHALSKI



ILUSTRACJA MAX SKORWIDER

P

olacy odzyskują państwo po ośmiu latach jego brutalnej i bezwzględnej eksploatacji przez partię Jarosława Kaczyńskiego i obóz Zjednoczonej Prawicy. Odzyskują państwo ze zdemolowanymi instytucjami (od Trybunału Konstytucyjnego, poprzez KRS, skończywszy na MSZ), obsadzone przez najbardziej prymitywnych partyjnych żołnierzy, z budżetem wydrenowanym na kampanijne dary i szeroki proces uwłaszczania partyjnych działaczy. Odzyskują wreszcie państwo zniszczonych usług publicznych, ale za to ośmielające do redystrybucyjnych roszczeń.

Wszelkie analogie, np. z przełomem 1989 r., będą tu wadliwe. Tadeusz Mazowiecki, ale i Lech Wałęsa byli „zderzakami” transformacji ustrojowej. Mimo wojny na górze, która dramatycznie poróżniła ich środowiska, zarówno jeden, jak i drugi

osłaniali Balcerowicza i jego reformy. Także ludzie dawnego reżimu, tzw. postkomuniści, nie stali się nigdy partią oporu przeciwko zmianom. Byli jedną z sił działających na ich rzecz. Autentyczni nostalgicy za PRL przeszli przez Tymieńskiego i Leppera, aby ostatecznie trafić do PiS. Jednak Hausner czy Belka nie byli „anty-Balcerowiczami”, a Miller i Kwaśniewski wręcz ścigali się o to, któremu przypadnie zasługa wprowadzenia Polski do NATO i UE.

Obóz PiS nawet w przybliżeniu nie pełni podobnej funkcji. Nie ma nic do zyskania w demokratycznej, prozachodniej Polsce. Zrobi wszystko, aby ją zdestabilizować i zniszczyć. Użycie przez pisowców Falenty (biznesowego partnera ludzi Putina) w latach 2014–15 do obalenia rządu III RP pokazuje ich absolutny brak ograniczeń. A tego, że nic się od tamtej pory nie zmieniło,

najlepiej dowodzi farsowe powtórzenie Macierewiczowski „nocy tekczek” z 1992 r., czyli próba wykorzystania komisji Cenc-kiewicza i Zyburtowicza do unieważnienia wyniku wyborów.

Kaczyński od zawsze wyznaje zasadę, że kiedy przegrywa się w karty, trzeba kopnąć i wywrócić stół, nawet kiedy tym stołem jest własne państwo. W nadchodzących burzliwych czasach, kiedy wojna w Ukrainie może się potoczyć różnie, a Trump, na którego PiS zawsze stawiał, może się znów stać największym zagrożeniem atlantyckiej jedności, czyni z jego formacji największe zagrożenie dla minimalnej choćby jedności polskiego społeczeństwa i dla suwerenności polskiego państwa.

W tej sytuacji wyzwania dla Tuska i jego rządu są dwa. Rozliczenie PiS – tak skuteczne, aby zniszczyć legitymizację tej formacji i uniemożliwić jej powrót do władzy. Oraz własny pomysł na Polskę – tak atrakcyjny i realistyczny zarazem, aby utrzymać przy demokratycznym obozie władzy młodzież, kobiety, wszystkich, którzy 15 października masowo zagłosowali za zmianą. Aby ostrzec się błędu zaniechania, który podobny entuzjazm wyborców z 2007 r. roztrwonil w ciągu kolejnych ośmiu lat.

Zacznijmy od kwestii rozliczeń.

Precyzyjna „polityka miłości”

W nowej koalicji rządzącej i na jej społecznym czy medialnym zapleczu ścierają się dwie koncepcje rozliczeń. Czy najpierw „igrzyska”, czyli komisje śledcze pracujące w zmieniającym się „pejzażu audiowizualnym”, bez partyjno-państwowego molocha pisowskiej telewizji i radia (których odcięte od budżetu media braci Karnowskich, Sakowicza, Lisickiego raczej nie zastąpią), czy najpierw uderzenie w neo-KRS i trybunał Przyłębskiej? Bardziej radykalne rozwiązania proponuje część środowisk sędziowsko-prawniczych, za wcześniejszym solidnym przeprowadzeniem przygotowania wizerunkowego opowiada się część koalicji. Donald Tusk tego dylematu nie rozstrzygnął, a jeśli to zrobił, to nie poinformował o rozstrzygnięciu nikogo, poza swoim najbliższym otoczeniem.

Ludzie, z którymi rozmawialiśmy w Platformie, uważają, że Tusk rozpocznie atak sejmowymi komisjami śledczymi, których praca dość szybko powinna zaowocować doniesieniami do prokuratury i śledztwami (oczywiście po odblokowaniu prokuratury, co – mimo panicznych prób jej „zabetonowania” przez Ziobrę – może się okazać łatwiejsze niż rozwiązanie problemu neo-KRS i Trybunału Przyłębskiej). Na wielu frontach kontrolerzy NIK wykonali już zresztą pracę, która wyprzedza działania komisji i prokuratorów. Jeśli będzie właściwy społeczny odzew (entuzjazm „swoich” i brak silnego oporu ze strony przeciwnika), Tusk wzmocni uderzenie i szybciej przystąpi do instytucjonalnego odblokowania sądów i innych obszarów państwa. Mając do tego mocne podstawy zarówno w postaci orzeczeń europejskich sądów, jak też konieczności szybkiego odblokowania unijnych pieniędzy, czego warunkiem jest jak najszybsze przerwanie i odwrócenie procesu niszczenia w Polsce państwa prawa.

Oczywiście „igrzyska” sejmowych komisji śledczych będą nagrodą przede wszystkim dla twardego, antypisowskiego, KOD-erskiego elektoratu dotychczasowej opozycji. Nie można o nim zapominać, tak jak o swoim twardym elektoracie nie zapomniał Kaczyński, serwując mu przez osiem lat koktajl ze stężonego „antyelitarnego” hejtu. Na twardych wyborców PiS początkowo nic nie zadziała, jednak to nie oni zdecydują o losach rozliczeniowej batalii. Na niezdecydowanych, nawet symetrystów, zadziałają wyłącznie ujawnienie naprawę twardej afer, przedstawienie jednoznacznych dowodów i dokumentów potwierdzających pisowskie przekręty, a wreszcie procesy i aresztowania (jeśli do nich dojdzie).

Jak nam mówią rozmówcy z PO, Donald Tusk przemyslał błędy z lat 2007–14 i zrozumiał, że konieczna jest „bardziej precyzyjna polityka miłości”. Potrzebne jest uderzenie w centrum decyzyjne PiS, zniszczenie legitymizacji Kaczyńskiego i paru ludzi z jego najbliższego otoczenia, a także Ziobry, który stał się symbolem kluczowych patologii tej władzy. A jednocześnie współbrzmienie z lękami wielu wyborców PiS czy Konfederacji, szczególnie tymi związanymi z kryzysem migracyjnym czy sytuacją w UE.

Tusk wie, że Polska bez PiS nie oznacza wcale Polski bez prawicy. W nowej koalicji rządzącej PSL czy Hołownia są najbardziej naturalnymi podmiotami do przejmowania bardziej konserwatywnego elektoratu. Warto im pozwolić na wiele, tym bardziej że w planie realnego rządzenia niewiele żądają. PSL chce przeżyć (co pod rządami PiS było niemożliwe). Hołownia chce być prezydentem (oddając Tusкови kluczowe obszary bieżącego rządzenia państwem). Trzeba im pozwolić na umocnienie się w roli „prawej nogi” szerokiego demokratycznego obozu władzy.

Nie znaczy to jednak, że Tusk pozostawi im w całości dzieło tworzenia oferty dla konserwatywnego elektoratu. Już zaczął bardziej realistycznie, centrowo czy wręcz centroprawicowo pozycjonować się zarówno w polityce migracyjnej („granice państwa są ważne, nielegalna migracja jest zagrożeniem, tyle że my rozwiązaliśmy ten problem bez pisowskiej nieudolności, którą Kaczyński, Kamiński czy Ziobro pokrywali brutalnością deklaracji i działań”), jak też w nowo odkrytym eurorealizmie (odmowa poparcia dla zgłoszonej przez europarlament propozycji poszerzenia kompetencji instytucji unijnych i ograniczenia weta krajów członkowskich). Słowo „eurosceptycyzm” byłoby tu mocno na wyrost, gdyż Tusk – trochę na wzór byłego chadeckiego premiera Holandii Marka Rutte – uważa, że zrozumienie i przepracowanie prawicowych lęków może tylko wzmocnić instytucje UE, podczas gdy udawanie, że w obszarze migracji czy ideologii nic się nie dzieje, może doprowadzić do zniszczenia Unii przez prawicowy populizm.

Polityka europejska i międzynarodowa (łącznie z polityką imigracyjną) będzie rozgrywana w gronie czterech osób: Tuska jako premiera, Sikorskiego jako szefa MSZ, Schetyny jako szefa komisji spraw zagranicznych Senatu i Kowala jako szefa komisji spraw zagranicznych Sejmu. Przy wszystkich zaszczytach są to dzisiaj centryści, w kwestii eurorealizmu, czy polityki imigracyjnej, gotowi grać w jednej drużynie. Nie mówiąc już o roli, jaką taka praktyczna współpraca może odegrać w złagodzeniu odwiecznych frakcyjnych nieufności pomiędzy Schetyną i Tuskiem.

Własny pomysł na Polskę

Poza obszarem rozliczeń kluczowa jest złożona przez Tuska w czasie kampanii wyborczej obietnica powrotu do budowy nowoczesnej Polski. Słowo „nowoczesna” miewa różne znaczenia. Zdzisław Krasnodębski lubił – w czasie swej ideowej ewolucji poprzedzającej przystąpienie do PiS – pokazywać znajomym zdjęcie z zachodniej gazety, na którym zakwefione kobiety w Iranie pochylały się nad mikroskopami (może w jakimś laboratorium pracującym nad rozwojem broni biologicznej dla ajatollahów). Był to dla niego dowód na możliwość zaistnienia innej nowoczesności, gdzie zaawansowana technologia i siła dałyby się pogodzić z zachowaniem „suwerennej tradycji”.

Nie na taką nowoczesność zagłosowały jednak 15 października miliony wyborców. W wizji nowoczesnej Polski, do której budowy demokratyczna koalicja uzyskała bardzo mocny wyborczy mandat, mieszczą się prawa kobiet (łącznie z jak najszybszym odwróceniem pisowskiego zaostrzenia prawa aborcyjnego). Mieści się w niej użycie gigantycznych środków, jakie Polska otrzymuje od Unii na faktyczną zieloną transformację naszej gospodarki, a nie – tak jak działo się to w czasach rządów Zjednoczonej ►

► Prawicy – na zacementowanie węglowego miksu, który uczyli z cen energii w naszym kraju najważniejszą konkurencyjną barierę dla polskiego przemysłu.

Najpoważniejsze oczekiwania pod adresem Tuska i całej koalicji dotyczy jednak zmiany po latach rządów PiS modelu redystrybucji i – szerzej – modelu obecności państwa w życiu ekonomicznym i społecznym Polaków. Kaczyński zaproponował w 2015 r. najbardziej ordynarną wersję Polski „równych żołądków”, redystrybucję demotywacyjną, będącą w rzeczywistości narzędziem masowej politycznej korupcji. Drenującą klasę średnią i przedsiębiorców, aby za uzyskane w ten sposób pieniądze kupować dla PiS głosy innych grup społecznych. Oczywiście towarzyszyło temu pobieranie przez Zjednoczoną Prawicę gigantycznej renty władzy, czyli przechwytywanie publicznych pieniędzy przez partyjnych działaczy „niosących dary ludowi”.

Aby obronić liberalną demokrację w Polsce przed ponowną falą populistycznych roszczeń, Tusk, jego rząd i cała koalicja muszą zastąpić Polskę „równych żołądków” Polską uczciwego, merytorycznego awansu. Awansu społecznego i pokoleniowego, ale nie z użyciem legitymacji partyjnej – jak to Kaczyński i Ziobro zaproponowali swoim Misiewiczom – tylko jako nagrodę za naukę, pracę, podejmowanie biznesowego ryzyka.

Co to może znaczyć konkretnie? 30-procentowa podwyżka dla nauczycieli jest dobrym początkiem, ale aby te pieniądze nie rozplynęły się w mocno zmurzałym systemie, potrzebne są rozwiązania, które rzeczywiście uczynią polską szkołę narzędziem odblokowywania barier społecznych i pokoleniowego awansu.

Konieczne jest zatem przemyślenie i jak najszybsze wprowadzenie powszechnego, mocno doinwestowanego programu stypendialnego. Ale nie dla wiecznych studentów nieradzących sobie na kolejnych pierwszych latach kiepskich humanistycznych kierunków, tylko dla 20–30 proc. najlepszych uczniów i studentów w każdym regionie, w każdej gminie, w każdej szkole, na każdej uczelni. Algorytm określający proporcję dodatku naukowego i socjalnego, także biorący pod uwagę specyfikę poszczególnych regionów Polski.

Dać szansę młodym

Do tego np. program będący odpowiednikiem brytyjskiego *teach first* (wspierali go najsensowniejsi politycy Labour i Tories, miał też swoje odpowiedniki we Francji i Niemczech). Przez pierwsze trzy lata po studiach, a nawet po doktoracie, jeśli zgadzasz się pracować jako nauczyciel w miejscu wyznaczonym przez potrzeby społeczeństwa i państwa (np. na głębokiej prowincji) i jeśli masz dobre oceny (program był adresowany nie do najgorszych, ale do najlepszych absolwentów czołowych brytyjskich uczelni), otrzymujesz znaczącą dopłatę do pensji. Pomagało to finansowo stanąć na nogach młodym, uzdolnionym, pracowitym ludziom, którzy po paru latach wracali do większych miast, na uniwersytety, ale przez kilka lat byli elitą nauczycielską w najtrudniejszych regionach, a wielu z nich pozostało na zawsze zarówno w zawodzie nauczycielskim, jak też w kluczowych dla „powiatowego” awansu miejscach. Barbara Nowacka na czele resortu edukacji wydaje się optymalną osobą do testowania tego rodzaju rozwiązań.

Działaniom odblokowującym polską edukację powinno towarzyszyć wyrażone motywacyjne wsparcie młodych podejmujących pierwszą pracę i zakładających pierwszą firmę. W pakiecie uczciwego, merytorycznego awansu musi się też znaleźć odbudowanie po rządach PiS służby cywilnej, rozszerzenie jej na administrację samorządową. Zamiast nepotyzmu i partyjnego awansu realne konkursy, co roku wyławianie młodej elity i angażowanie jej w pracę na rzecz państwa. To oznaczałoby dla obozu demokratycznego wyjście z jałowej strefy symboli

i pokazanie, że liberalna demokracja działa w interesie ludzi, którzy ją poparli.

Jak opisany przez nas wcześniej wybór pomiędzy Polską „równych żołądków” i Polską „uczciwego awansu”, pomiędzy „redystrybucją demotywacyjną” a „motywacyjną” przekłada się na najważniejsze wyborcze obietnice, jakie sam Donald Tusk i cały jego obóz złożyli w wygranej przez siebie kampanii wyborczej? Z pierwszego wystąpienia przyszłego premiera w czasie piątkowej prezentacji rządu dowiedzieliśmy się, że podwyżka dla nauczycieli (ważna w planie „motywacji”) będzie liczona od stycznia, nawet jeśli jej przygotowanie może potrwać symboliczne sto dni. 800 plus także od stycznia, ale to była klasyczna redystrybucyjna obietnica PiS. Ważne będzie potraktowanie przez Tuska obietnicy 60 tys. zł kwoty wolnej od podatku. To jest właśnie rewolucyjna zmiana modelu redystrybucji i obecności państwa w życiu Polaków. Każdy Polak na tym skorzysta, każdemu zostanie realna gotówka w kieszeni, każdy się o tym dowie. Składkowe ułatwienia dla biznesu i samozatrudnionych, które Tusk zacnie realizować od pierwszego dnia swoich rządów, to oczywiście gigantyczny oddech dla wszystkich, którzy w Polsce podejmują gospodarczą działalność, ale symbolicznie (a więc i politycznie) nigdy nie spełnią funkcji 500 plus.

A jak przetrwają?

Zrozumiała jest ostrożność nowego premiera przy wyznaczaniu terminu realizacji jego najważniejszej obietnicy. Chodzi tu bowiem o przesunięcia w budżecie państwa rządu wielu miliardów złotych. Jednak na dłuższą metę konieczność poświęcenia 60 tys. zł wolnych od podatku PIT po to, aby utrzymać 800 plus, byłaby triumfem Kaczyńskiego nad Tuskiem. Wiele wskazuje na to, że nowy premier zdaje sobie z tego sprawę. Zbyt wiele wysiłku kosztował go powrót do władzy, aby narażał się na jej utratę.

Kluczowe na dzisiaj jest to, czy po komisjach sejmowych, ale jeszcze bardziej po prokuratorskich postępowaniach i procesach ludzi odpowiedzialnych za łamanie konstytucji i prawa, PiS przetrwa w całej swojej potędze, czy ulegnie marginalizacji jak SLD po aferze Rywina. Jeśli to pierwsze, Kaczyński może wrócić. Jeśli to drugie, rozpocznie się żmudne budowanie nowej sceny politycznej, sięgającej od lewicy po różne nurty centrum i centroprawicy. Oczywiście z radykalną prawicą wedle dawnego modelu Macierewicza, Jurka czy bardziej współczesnej Konfederacji. Nieusuwalną – jeśli brać pod uwagę analogiczne procesy i lęki w całej Europie – ale groźną wyłącznie wówczas, jeśli znów wyjdzie na główną scenę.

Dopiero rozbięcie PiS umożliwi bardziej swobodne gry wewnątrz koalicji o prezydenturę, o kontrolowanie tego czy innego resortu. Rozpoczęcie tych sporów przy nadal skonsolidowanym obozie Kaczyńskiego byłoby samobójstwem.

Właśnie dlatego największym optymizmem napawa to, że jak na razie nikt z opozycji nie wchodzi w handel z PiS. Od lewicy po PSL nikt nie bierze poważnie ofert dzielenia się władzą w mediach czy spółkach Skarbu Państwa w zamian za blokowanie lub choćby spowalnianie rozliczeń. Nikt nie gra z PiS, bo i PiS okazał się zupełnie niegotowy do gry. Zaskoczony utratą władzy, podmiany brakiem zaufania pomiędzy liderami i środowiskami, chwytający się symbolicznych gestów, czasem zaplątujący się we własne sznurowadła, jak Piotr Gliński, który nie potrafił nawet poprawnie wypełnić wniosku do sądu rejestrowego mającego zabetonować TVP SA.

Nie znaczy to, że PiS jest słaby, ale po raz pierwszy od ośmiu lat inicjatywa w polskiej polityce naprawdę należy do demokratów.

CEZARY MICHALSKI

KIEDY JEST NAJLEPSZY CZAS NA REZERWACJĘ TWOJEGO LETNIEGO REJSU?



WŁAŚNIE TERAZ! Z NASZĄ PROMOCJĄ HAPPY DRINK

Odkryj skarby Morza Śródziemnego, płynąc w rejs MSC Cruises. W trakcie rejsu z Rzymu do Barcelony i Genui odkryjesz starożytną architekturę, spróbujesz wyśmienitej kuchni oraz zrelaksujesz się na plażach. Tygodniowe rejsy po Morzu Śródziemnym już od 659* EUR/os.



Discover the Future of Cruising



FRANCJA, WŁOCHY, MALTA, HISZPANIA, MORZE ŚRÓDZIEMNE
MSC WORLD EUROPA
8 dni - 7 nocy | Z Genui 14.04.24 > 21.04.24

Ceny od **659€*** za osobę

Rezerwuj w biurach podróży

PROMO
HAPPY DRINK

BASIC FARE jako formuła samego rejsu bez żadnych gratisów będzie jednocześnie obowiązywać dla wszystkich produktów objętych promocją. Obowiązują standardowe warunki i elastyczność rezerwacji. Możliwość łączenia z innymi zniżkami: MSC Voyagers Club; kuponem Future Cruise (FCC), zniżką dla seniorów i młodzieży. Warunki szczegółowe: promocja podlega dynamicznym zmianom w zakresie cen i dostępności produktów. HAPPY DRINK: Na Karaibach i w Ameryce Północnej HAPPY DRINK będzie dostępny na rejsy od 4 nocy.

Długie pożegnanie

RAFAŁ KALUKIN

Uff, to już naprawdę koniec władzy PiS. Przejściowy okres trwał niemal dwa miesiące od historycznych wyborów 15 października, kiedy to klamka zapadła, ale założony łańcuch wciąż jeszcze blokował pełne otwarcie drzwi.

Coraz bardziej nużący stawał się to spektakl, pozbawiony dramaturgii i elementarnej roli raz jeszcze mieliśmy okazję obejrzeć premiera Morawieckiego, który posiada nadzwyczajny dar zamęczenia opinii publicznej tyłem uporczywymi, co odklejonymi narracjami. W swej ostatniej misji przypominał internetowego chatbota, który postanowił wszystkich przekonać, że chodzenie tyłem

to czynność w sumie naturalna. I nie było jak się od niego opędzić, a tym bardziej dyskutować. Jedynym sposobem uwolnienia się od tej ekipy było przeczekanie.

Przed 15 października zwolennicy opozycji pewnie w ciemno kupiliby taki sposób odchodzenia PiS od rządzenia. Często słyhać było wtedy obawy, że jeśli nawet prawica jakimś cudem straci parlamentarną większość, nie zechce tak po prostu oddać władzy. Że zaczną się podchody do PKW albo Sądu Najwyższego, żeby

unieważnić wybory, albo wręcz dojdzie do rozwiązań siłowych. Na szczęście były to tylko projekcje wyobraźni zbyt fatalistycznie usposobionej, choć obawy miały swoje uzasadnienie. PiS jednak uznało wynik wyborów, opierając się pokusie sięgnięcia po rozwiązania brutalne, porzastając jedynie na cwaniackich. Trochę popsuło to święto demokracji, okres karnawału zszedł na jałowej szamotaninie, ale fakty pozostały niezmiennie – utrata władzy przez PiS.

ILUSTRACJA OBYWATEL JANEK



Maskarada z budowaniem „koalicji polskich spraw” miała oczywiście bardziej prozaiczne przyczyny.

PiS wyraźnie nie spodziewał się tej przegranej, z nie do końca jasnych względów wręcz nie dopuszczał takiej myśli. Nie wszystkie zabezpieczenia na wypadek oddania władzy udało się zatem przeprowadzić przed wyborami, kiedy prawica miała jeszcze większość. Trzeba było więc kupić trochę czasu, żeby choć część owych zaległości odrobić już po wyborach, w warunkach swoistej dwuwładzy.

Był to więc głównie czas pospiesznych nominacji do rozmaitych ciał: sędziowskie nominacje prezydenta Dudy, nowy szef Komisji Nadzoru Finansowego, obsadzone przez ministra Glińskiego komisje w Państwowym Instytucie Sztuki Filmowej i parę innych. Do tego ustanowiono szereg zabezpieczeń regulaminowych, utrudniających nowej większości przeprowadzanie w przyszłości zmian personalnych (np. w mediach publicznych) bądź rozliczenie poprzedników (zmiany w regulaminie Trybunału Stanu wprowadzone przez prezes Sądu Najwyższego z nadania PiS Małgorzatę Manowską).

W jakimś sensie to działania rutynowe, typowe w sytuacji zmiany władzy, kiedy odchodząca ekipa pragnie uratować jak największą aktywność. Chociaż w polskich realiach ich szkodliwość jest dużo większa niż w bardziej stabilnych demokracjach. Wprowadzane przez PiS zabezpieczenia wpływają bowiem nie tylko na polityczny bilans sił, ale mają też swój wymiar systemowy, petryfikując autorytarną strukturę państwa i blokując proces demokratycznej odbudowy. A dorzućmy jeszcze do bilansu komisję lex Tuska, która tuż przed wygaszeniem działalności zdążyła przedstawić absurdalne i skrajnie upolitycznione zarzuty liderowi nowej większości oraz jego współpracownikom, przynajmniej na razie ciesząc się bezkarnością.

Jest osobną kwestią, co działo się przez te dwa miesiące i podzieje się jeszcze przez jakiś czas w państwowych spółkach. Wiemy na ten temat niewiele, ale można się spodziewać, że mniej więcej na przełomie roku pojawi się pierwszy wysyp doniesień o wielomilionowych menedżerskich odprawach, premiach *last minute*, pozlecanych „na mieście” ekspertyzach, pewnie też ostatnich transferach do fundacji teoretycznie ideologicznych, ale w praktyce szykowanych jako rezerwar etatów dla pisowskiej nomenklatury. To przecież jeden z fundamentów koncepcji Kaczyńskiego, którego od początku wyróżniała na tle klasy politycznej wyjątkowa przezorność, jeśli chodzi

o zabezpieczanie podstaw materialnych uprawiania polityki w okresie dekonunktury. Przez lata symbolem jego zaradności była słynna Srebrna, ale teraz – po ośmiolatnim eldorado – takich sreber ujawni się z pewnością wielka szafa.

Ale chodziło też o to, żeby wykopać dodatkowe pułapki i napsuć jak największej krwi następcom.

Przykładem wydane rzutem na taśmę przez Morawieckiego rozporządzenie wprowadzające zerowy VAT na żywność. Jak to u niego – z pominięciem kategorii odpowiedzialności i wstydu. Koszt operacji nie został ujęty w pisowskim projekcie budżetu na przyszły rok, skądinąd już teraz napiętym do granic, co mówi wiele o intencjach rozporządzającego nie swoim już mieniem premiera. Morawiecki jak zwykle pozował zresztą na dobrodzieja, który pragnie przychylić „Polakom” nieba. Cudzystów nieprzypadkowy, gdyż owi „Polacy” z premierowskich wystąpień już od dawna nie mają wiele wspólnego z realną wspólnotą. To coś w rodzaju alternatywnego narodu, którego potrzeby i interesy nadal samodzielnie określać może pan premier, demonstracyjnie ignorujący fakt, iż Polacy z krwi i kości właśnie mu podziękowali.

Czegóż jednak spodziewać się po polityku, który bez mruknięcia powieka powołał swój kolejny rząd, de facto znajdując się już w opozycji? Morawiecki podejmował się w swojej politycznej karierze rozmaitych ról, przeważnie zresztą kompromitujących, ale chodzącym i przemawiającym oksymoronem do tej pory jeszcze nie był. Chociaż dziwić się trudno, gdyż wiadomo od dawna, że nieskończenie giętkiemu politykowi chyba nie robi większej różnicy, czego aktualnie wymaga od niego Kaczyński. Kiedy jeszcze stała za nim parlamentarna większość, bywało to deprymujące, a czasem też niebezpieczne dla państwa i naszej racji stanu. Na finiszu rządzenia strzałka przesunęła się jednak w stronę śmieszności.

W swoim umownym świecie Morawiecki pracowicie uwijał się przy budowaniu większości, obsadzał swój rząd „niepartijnymi ekspertami” i pouczał nową większość tak, jakby była nadal mniejszością. Wreszcie wygłosił w Sejmie absolutnie zbędne exposé, gdzie powtórzył znane rzewne opowieści o sukcesach PiS, ale nie wspominał ani słowem o sprawach, które pozbawiły jego rząd władzy: ataku na praworządność, nepotyzmie, zagarnięciu mediów, spółek, instytucji państwa, o KPO itd. Snuł za to m.in. jakieś futurystyczne rozważania o „końcu pracy”, a potem odpowiadał głównie na pytania

posłów PiS (w końcu przegrał głosowanie nad wotum zaufania 190 do 266). Najgorsze rzędy po 1989 r. utonęły na koniec w błazenadzie.

Ale to nic nowego, że sprawowana władza zazwyczaj otumania. Szczególnie ta autokratyczna, mająca skłonność do ignorowania społecznych nastrojów. Złudzenia tracących siły autokratów z dystansu okazują się potem rozczulające. Bo ktoś przy zdrowych zmysłach u schyłku PRL naprawdę sądził, że uda się zmobilizować społeczeństwo w obronie więdnącego systemu pytaniem referendalnym o „drugi etap reformy”? Działania pozorowane podejmowane są przez władzę nie tylko po to, żeby oszukać obywateli. Czasem oszukuje ona samą siebie, ratując dobre samopoczucie. Znany był później przypadek głównego organizatora kampanii wyborczej PZPR w 1989 r., który obawiał się, że zwycięstwo komunistów okaże się tak przytłaczające, że unieważni okrągłostołowy kontrakt.

Porzucenie przesądów z minionego etapu wymaga jednak kompleksowej wymiany przywództwa,

poczynając od głównego lidera. Nic dziwnego, że najwyraźniej niepewny swej pozycji Kaczyński nakazał teraz swej partii jeszcze głębiej niż dotąd zanurzyć się w starych przesądach. O tym, co zawsze, czyli najczęściej niemieckich knowaniach, złym Tusku, nadchodzącym dopiero teraz końcu prawdziwej demokracji i upadku wolności słowa. Wszystko po to, żeby przegrana PiS w wyborach jawiła się jako heroiczna klęska patriotów, raz jeszcze zdradzonych o świecie i przygniecionych obcą nawałą. Nikomu na zapleczu nie powinno bowiem przyjść do głowy, że może jednak powinno nastąpić jakieś otrzeźwienie, realistyczna próba wyciągnięcia wniosków z porażki. Mogłoby to bowiem spowodować niewygodne pytania o odpowiedzialność przywódcy. Ten więc nie mógł pozwolić na popas i rozpuszczenie szeregów po przegranej batalii, tylko od razu zagonił swą armię do kolejnego starcia. Ma to zresztą sens dwojaki, bo niezależnie od pacyfikacji wąpiących w geniusz wielkiego stratega z Żoliborza PiS odnawia kontrakt z twardym elektoratem, co w opozycyjnych strategiach tej partii zawsze było traktowane priorytetowo.

Pytanie oczywiście, co w takim razie z „normalsami” – bardziej umiarkowanymi wyborcami PiS? Teraz Kaczyński nie ma im nic do zaoferowania. Sam wyraźnie traci siły, coraz więcej jego energii pochłania zabezpieczenie własnej pozycji w obozie, chyba też szczerzej tkwi w gorszej ►

► osobistych obsesji. Nie dysponuje też paliwem równie mocnym jak kiedyś Smoleńsk, bo straszenie utratą suwerenności w UE to jednak nie to samo. Wszystkie te propagandowe śpiewki zostały już zresztą doszczętnie wyeksploatowane, przeciętnemu odbiorcy kojarzą się głównie z obciachowym paskiem TVP. A przecież prawica przegrała wybory również z tego powodu, iż zamęczyła społeczeństwo toporną propagandą oraz wciskaniem narracyjnego pedału gazu przy okazji każdego kryzysu. Przejście do opozycji okazuje się teraz kryzysem największym z możliwych. Noga z gazu ani na moment nie zostanie więc zdjęta.

Szczególnie często słyhać teraz opinię o potrzebie zachowania dziedzictwa pisowskich rządów. Różnie bywa ono definiowane, czasem przez pryzmat socjalnych transferów, innym razem – stawiania się Brukseli i Berlinowi. To zapewne wstęp do budowania legendy rządu, który jako jedyny zabiegał o polskie interesy i z tego powodu upadł. Ale to oznacza, że nie ma przerw, żeby przyznać przed samym sobą bądź wyborcami, że może jednak nie były to rządy idealne, że popełniono jakieś błędy, nagrzeszono pazernością, przesadzono z brutalnością itd. Na demokratyczne nawrócenie oczywiście nie można liczyć, okazuje się, że nawet po doświadczeniu porażki niemal wszystko w pisowskim pakiecie pozostaje merytorycznie słuszne i moralnie szlachetne. A jeśli gdzieś pojawia się cień niesłuszności – jak w sprawie wyborów kopertowych – to wszystko przez opozycję, która sypała piach w tryby i spiskowała z zewnętrznymi wrogami.

Nie zanosi się zatem na choćby śladową racjonalizację, drobną korektę parametrów. Co było chociażby udziałem Platformy po 2015 r., której liderzy z ociąganiem przyjmowali do wiadomości, że za swoich rządów zaniedbali sferę socjalną. Podobnie jak wcześniej SLD przeważnie nie wypierał się afer korupcyjnych, a AWS potrafił dostrzec bałagan w swoich reformach. Co bywa istotne, jeśli chodzi o procesy naprawcze w samej formacji, ale jeszcze bardziej dla określenia ogólnego modelu polityki. Musi bowiem istnieć ponad politycznym podziałem jakaś ogólnie doświadczana rzeczywistość, przynajmniej w paru kluczowych parametrach, do której każdy z uczestników gry mógłby się odwołać. Dzięki temu udaje się znaleźć minimum wspólnego języka, choćby do prowadzenia sporów, które są o coś.

Nam ten wzorzec rozjechał się w 2015 r., kiedy PiS usankcjonował

zupełnie nowe rozumienie takich pojęć, jak demokracja bądź praworządność, przekonując do tego – albo choćby zapewniając sobie tylko bierną akceptację – szerokie grupy społeczne. Na tym obszarze demokratyczna opozycja nie miała innego wyjścia, jak być „totalną”. Ale już na paru innych polach – jak w sprawie społecznych transferów, podejścia do roli państwa w gospodarce, ocenie polityki zagranicznej – bynajmniej nie uciekała w totalną negację, a często nawet ją kry-

Prawica po opuszczeniu rządowych gabinetów wyemigruje na drugą stronę lustra, gdzie każdy element rzeczywistości staje się odwrotnością, karykaturą.



tykowano za nadmierną uległość wobec recept PiS, które jako jedyne miało posiadać zdolność rozpoznawania znaków czasu. Na swój sposób uwiarygodniało to nawet rządy Kaczyńskiego.

Tylko że teraz tak już nie będzie. Traktując swój projekt całościowo i odmawiając korekty mimo przegranych wyborów, przechodzący do opozycji PiS wyraźnie gra na dalsze pogłębienie podziału i usunięcie nielicznych jeszcze ocalałych punktów wspólnych na scenie politycznej.

Wiele więc wskazuje, że czeka nas czas absolutnego rozszczępienia, podziału na dwie rzeczywistości bez żadnych styków. Z jednej strony będzie to przestrzeń przywracania demokratycznej normalności, czasem w logice spektaklu – jak w przypadku powoływanych teraz komisji śledczych – częściej jednak poprzez mało widowiskowe dłubanie w procedurach, obyczajach, kulturze politycznej. Jak to w wielołączonowej koalicji, pojawią się na tym tle rozmaite kontrowersje i dojdzie do konfliktów. I zanosi się na to, iż będą to jedyne realne spory w tej kadencji – czyli takie, w których mimo wszystko chodzi o wypracowanie jakiegoś rozwiązania.

Bo prawa strona sceny po opuszczeniu rządowych gabinetów chyba już na dobre wyemigruje do alternatywnej rzeczywistości. Przechodząc na drugą stronę lustra, gdzie każdy element obrazu staje

się odwrotnością oryginału. Należy więc oczekiwać totalnej ochrony „dziedzictwa” rządów PiS, obejmującej nie tylko transfery, podwyższanie płacy minimalnej, obniżenie wieku emerytalnego, zbrojenia, CPK i atom, ale też „reformę sądownictwa”, „pluralizm medialny”, „obronę suwerenności”. W tej koncepcji normalności bez trudu zmieści się również wyborcza regulacja cen paliw, wydatki Funduszu Sprawiedliwości oraz poźegnalne ustalenia komisji lex Tusk. I setki innych elementów, często drobiazgowych, chociaż kulturowo istotnych: wywiady redaktor Holeckiej z prezesem Kaczyńskim, Julia Przyłębska jako „największy autorytet prawniczy w Polsce”. Każdy fragment nowej demokratycznej rzeczywistości będzie miał swój odpowiednik w owym dziwnym świecie populistycznej prawicy, każdy plus kontrowany będzie minusem, każda wartość zestawiona zostanie z antywartością.

Czy mogą jednak na dłuższą metę łączyć dwa zupełnie różne porządki normalności? Czym w takim razie jest nienormalność? Którędy biegnie granica między prawdą i kłamstwem? Dziś może się to jeszcze wydawać dosyć czytelne, szczególnie kiedy przyszło nam wysłuchać surrealistycznego exposé Morawieckiego, ale też mając świeżo w pamięci wszystkie jego wcześniejsze wygibasy oraz świadomość ogólnego społecznego nastroju.

Ale lud bywa kapryśny, nie zawsze racjonalny, jego nastroje zmienne. Są oczywiście powody, by potraktować dzisiejsze odklejenie PiS jako symptom schyłku tej formacji, jej ogólnego wyczerpania. Ale warto też pamiętać, że nieoczekiwane reanimacje nie są w polityce niczym rzadkim. To zresztą zazwyczaj skutek błędów popełnionych przez rządzących, ich zgrywania się, nieuchronnego wyczerpywania potencjału.

Utrzymywanie polaryzacji na linii „demokratyczna normalność” – „pisowska nienormalność” zawsze będzie zatem ryzykowne. Czy da się wymusić na obecnym PiS zdroworozsądkową korektę albo chociaż skłonić go do poskromienia maskarady i nawiązania jakiegokolwiek kontaktu z rzeczywistością? Trudno nie zachować w tej sprawie sceptycyzmu. Wszystko to skłania jednak do tego, żeby potraktować ostatnie podrygi Morawieckiego i całej tej ekipy jako może i trochę śmieszne, ale na dłuższą metę mimo wszystko niepokojące. Porażka wyborcza nie wpłynęła ani na zmianę ideologii, ani metody politycznej PiS. Nadzieja w tym, że przynajmniej część elektoratu tej partii nie zdecyduje się wyemigrować wraz z Kaczyńskim na drugą stronę lustra.

RAFAŁ KALUKIN

A middle-aged man with glasses and a beard, wearing a light-colored button-down shirt, is smiling while looking at his smartphone. He is sitting at a desk with a laptop visible on the right. The background is a blurred office setting.

Dzięki opcji subskrypcji to Ty decydujesz.

W odpowiedzi na potrzeby swoich użytkowników oraz zgodnie z przepisami UE Meta oferuje możliwość subskrypcji bez reklam, czyli model dostępny prawie w każdej branży, od publikacji wiadomości po rozrywkę, muzykę i wiele innych. Oznacza to, że możesz zdecydować, czy wybrać płatną usługę bez reklam, czy nadal korzystać z Facebooka i Instagrama za darmo po wyrażeniu zgody na wykorzystywanie Twoich danych do dostarczania Ci spersonalizowanych reklam.

Wybór należy do Ciebie.

WIĘCEJ INFORMACJI ZNAJDZIESZ NA
[ABOUT.META.COM/SUBSKRYPCJA](https://about.meta.com/subskrypcja)



Czas na Trybunał

Jaki będzie Trybunał nieKonstytucyjny, gdy władzę przejmie była opozycja? Zostanie zablokowany? Sejm uchwałą unieważni jego wyroki? Usunie dyspozycyjnych sędziów? Już nie będzie pomagał rządzącym, tylko im szkodził?

EWA SIEDLECKA

Możliwe są trzy warianty relacji Trybunału z nową władzą: konfrontacja frontalna, konfrontacja pełzająca i dobrowolna redukcja. Konfrontacja frontalna oznacza faktyczne unieważnienie działalności obecnego Trybunału uchwałąmi Sejmu i użycie siły w razie stawiania oporu przez członków TnK. Konfrontacja pełzająca to powtórzenie tego, co działo się między Trybunałem Konstytucyjnym a władzą tuż po przejściu Polski przez PiS: rząd będzie usiłował uniemożliwić Trybunałowi orzekanie, a Trybunał będzie torpedował jego reformy. Wariant redukcji dobrowolnej to coś w rodzaju rozwiązania Trybunału za porozumieniem stron: sędziowie dobrowolnie odejdą w stan spoczynku, mając nadzieję, że w przyszłości unikną postępowania dyscyplinarnego. Zapewne żaden z tych scenariuszy nie zrealizuje się w formie czystej.

Trybunał bezsilny

Wszyscy obawiają się, że TnK będzie nadal politycznym narzędziem w rękach PiS. Że postowie PiS będą zaskarżać do niego te ustawy, na których jakimś cudem uda się rządzącej większości zdobyć podpis prezydenta. A Trybunał nieKonstytucyjny będzie je „kasować” w ekstraszymbkim trybie.

Jednak to, co dzieje się teraz, nie wróży takiego scenariusza, bo Trybunał sam się zablokował buntem pięciu jego członków, a Julia Przyłębska straciła nad nim kontrolę. Czas będzie sprzyjał dalszemu rozprężeniu i brakowi subordynacji sędziów i dublerów w Trybunale. Co mieliby bowiem do zyskania kontynuacją misji usługowej wobec PiS? Poza Julią Przyłębską, Krystyną Pawłowicz, Stanisławem Piotrowiczem i Bogdanem Święczkowskim nie są to osoby, na których bezinteresowną lojalność odchodząca władza może liczyć. Widać to po zeszlotygodniowej porażce z wydaniem wyroku w sprawie niekonstytucyjności kar nałożonych przez TSUE.

Choć zaczęło się żwawo: po wyborach Trybunał nieKonstytucyjny wznowił działalność i osądził cztery sprawy, których wspólnym mianownikiem było to, że wymusza na nowym rządzie niezaplanowane w budżecie wydatki. To sprawy: specjalnych dodatków dla funkcjonariuszy Straży Granicznej, waloryzacji emerytur, ustawowych podwyżek dla sędziów oraz odszkodowań dla rolników za szkody wyrządzone przez zwierzęta leśne. Trybunał sądził je w składach pięciosobowych, więc nie było problemu braku sędziów buntowników. Wyroki są merytorycznie zasadne. Społecznie też, bo naprawiają nierówności. Zapadły dopiero teraz, bo – jak pamiętamy z maili Dworczyka – wcześniej z „prezes Julią” ustalono, żeby TnK wstrzymał

się od rozpatrywania spraw, które mogą przysparzać rządowi PiS wydatków. Ale nowa władza nie jest już pod ochroną.

Udało się też przeprowadzić rozprawę we wniesionej przed dwoma laty przez prokuratora generalnego Zbigniewa Ziobrę sprawie kar nałożonych przez TSUE za niewykonanie zarządzeń tymczasowych w sprawie zawieszenia elektrociepłowni Turów i Izby Dyscyplinarnej SN. To było 17. podejście. Ale do wydania wyroku Trybunał podchodził dwa razy, bo zbieśli się sędzia Piotr Pszczółkowski i na dzień ogłoszenia wyroku wzięął urlop na żądanie. Za drugim razem przyszedł i udało się – z czterema głosami odrębnymi – orzec: że nakładanie kar pieniężnych za niewykonanie postanowień tymczasowych TSUE łamie konstytucję. Sprawa była dla Mateusza Morawieckiego gardłowa, bo może obawiać się oskarżenia o to, że działając bez podstawy prawnej, spowodował wielki uszczerbek dla finansów państwa przez to, że odmawiając płacenia nałożonej kary, spowodował naliczenie odsetek za zwłokę. Wyrok Trybunału będzie ową „podstawą prawną”, która pozwoli mu uniknąć odpowiedzialności za straty.

Kolejny usługowy wyrok szykuje się w obronie przed odpowiedzialnością szefa NBP Adama Glapińskiego. Julia Przyłębska ekstraszymbko – w ciągu kilku godzin – rozpoczęła procedowanie wniosku posłów PiS złożonego po to, by obronić go

przed Trybunałem Stanu. A sprawę dała na skład piątkowy, żeby nie było problemu braku kworum.

Śpieszmy się sędzić sprawy

Jeżeli Julia Przyłębska szybko nie opanuje sytuacji, to kilkanaście całkiem politycznych spraw przepadnie. Nowy prokurator generalny, nowy premier i nowy marszałek Sejmu prawdopodobnie wycofają z Trybunału wnioski złożone przez poprzedników. Zbigniew Ziobro ma w TnK 10 złożonych i nieosądzonych spraw, w tym zaskarżenie wyroku TSUE w sprawie niezgodności z prawem Unii ustawy „kagańcowej”, sprawy dotyczące nakładanych przez UE na państwa rozmaitych limitów, np. zanieczyszczenia powietrza, emisji CO₂ czy mechanizm „pieniądze za praworządność”. Premier Morawiecki ma w TnK dwie sprawy: dotyczącą tzw. składu pełnego TnK, związaną z buntem pięciu sędziów nieuznających prezesury Julii Przyłębskiej, i zaskarżenie konwencji stambulskiej o zapobieganiu i zwalczaniu przemocy wobec kobiet i przemocy domowej. Marszałek Sejmu Szymon Hołownia może wycofać tylko jedną sprawę, ale sporej wagi: odpowiedzialności Skarbu Państwa za szkodę wyrządzoną przez wydanie niekonstytucyjnego aktu normatywnego. Rząd Morawieckiego wydał ich trochę. Np. rozmaite zakazy covidowe wprowadzane rozporządzeniami. Teraz ofiary covidowego prawa mogą żądać odszkodowań.

Podobnie jak pokrzywdzeni wyrokami neo-sędziów wyprodukowanych przez neoKRS. Jest bowiem cała seria orzeczeń Europejskiego Trybunału Praw Człowieka stwierdzających, że sam tryb powoływania neoKRS narusza prawo obywateli do niezależnego sądu. Mamy też wyrok ETPCz (Xero Floor), stwierdzający, że wyrok TnK z udziałem dublera jest nieważny – więc i tu sądy mogą przyznawać odszkodowania pokrzywdzonym wyrokami dublerów. Odszkodowania mogą należeć się także sędziom i prokuratorom prześladowanym na mocy ustawy kagańcowej, której sprzeczność z prawem Unii orzekł TSUE. Można zapytać: co obchodzi PiS, że rząd Tuska będzie płacił odszkodowania? Otóż rząd Tuska może, w drodze tzw. regresu, zażądać zwrotu wypłaconych odszkodowań z prywatnej kieszeni Morawieckiego i innych członków jego rządu, którzy przyczynili się do wydania i stosowania tych sprzecznych z prawem aktów. A więc ustępująca władza boi się także o swoją kieszeń. A – na razie – Julia Przyłębska nie daje rady pomóc.

Zaraz po wyborach politycy koalicji deklarowali, że lada chwila uchwałami Sejmu

odwołają najpierw dublerów, a potem innych członków TnK świadczących usługi władzy PiS. Ale od pierwszego posiedzenia Sejmu minął już miesiąc, a uchwał nie ma. Bo też nie jest to wcale sprawa prosta.

Prof. Wojciech Sadurski stworzył koncepcję „zainfekowania” całego Trybunału nielegalnością przez obecność dublerów. To mogłaby być podstawa do jego delegalizacji uchwałą Sejmu. Retorycznie brzmi świetnie, ale prawnie to pomysł niezwykle kontrowersyjny. Na razie jest precedens: koncepcję „zainfekowania” zastosował rok temu trzyosobowy skład NSA, oceniając, że przez owo zainfekowanie cały polski TK stracił zdolność orzekania zgodnie z prawem.

Niech Sejm odwoła

Najłagodniejsza propozycja przewiduje odwołanie jedynie dublerów, a podstawą sejmowej uchwały w tej sprawie byłyby dwa wyroki Trybunału Konstytucyjnego z grudnia 2015 r. i orzeczenie Europejskiego Trybunału Praw Człowieka w sprawie Xero Floor. A także opinia Komisji Weneckiej.

Jest też koncepcja usunięcia poszczególnych członków TnK w drodze postępowań dyscyplinarnych, poczynając od manipulującej składami sędziów i obiadującej z prezesem partii rządzącej Julii Przyłębskiej. Ale najpierw trzeba by zmienić skład sądu dyscyplinarnego dla sędziów TK, bo dzisiaj to oni sami są dla siebie takim sądem. Projekt ekspertów prawnych Fundacji im. Stefana Batorego proponuje, by w sprawach dyscyplinarnych orzekali nie tylko obecni sędziowie TnK, ale także sędziowie TK w stanie spoczynku.

Do takiej zmiany potrzebna jest ustawa, a więc i podpis prezydenta. To będzie możliwe dopiero za dwa lata, a do tego czasu i tak w TnK zwolni się pięć miejsc z powodu końca kadencji. W tej liczbie trzech dublerów i Julia Przyłębska.

Świeży pomysł ma dr Michał Ziółkowski, konstytucjonalista z Zakładu Prawa Konstytucyjnego Akademii im. Leona Koźmińskiego. Proponuje, by Sejm w uchwałach ocenił, czy poszczególni członkowie TnK gwarantują niezależność. Czyli czy w ogóle mają cechy, które są wymagane od sędziego. Takie uprawnienie Sejmu dr Ziółkowski uzasadnia tym, że skoro Sejm powołuje sędziów Trybunału, to powinien także mieć prawo ich oceniać. To prawo trzeba by zapisać w regulaminie Sejmu, a do tego nie potrzeba podpisu prezydenta. Ocenę niezależności sędziego TK Sejm mógłby oprzeć na teście niezależności sędziego sformułowanym w grudniu 2020 r. w orzeczeniu Astráðsson przeciwko ►

REKLAMA

HAUSER

REBEL WITH A CELLO

19 LIPCA 2024
TAURON ARENA
KRAKÓW

21 LIPCA 2024
ATLAS ARENA
ŁÓDŹ

HAUSEROFFICIAL.COM

BILETY: BILETSERWIS.PL



NOWY ALBUM
W SPRZEDAŻY



Prestige 15th
MUSIC

bs BILET
SERWIS

W RZECZPOSPOLITA

TYGODNIK
PÓWZECZNY

VIVA!

proart

VIXON
MEDIA

► Islandii przez Europejski Trybunał Praw Człowieka. Można do tego dodać wyrok TSUE z 19 listopada 2019 r. w sprawie oceny legalności powołania neosędziów do neoIzby Dyscyplinarnej SN. Oraz orzeczenia Sądu Najwyższego i sądów powszechnych oparte na procedurze karnej i cywilnej, w której bada się, czy sąd był należycie obsadzony.

Ocenę Sejm przeprowadzały w oparciu o ustalenia faktów, np. okoliczności świadczących o tym, że konkretny sędzia TnK sprzeniewierzył się zasadzie niezawisłości, wyrokując pod wpływem władzy politycznej, jeżeli taką ocenę wcześniej sformułował już ETPCz, TSUE, SN lub NSA.

Sejm nie mógłby natomiast oceniać, czy sędzia TnK zachowuje się w sposób godny/niegodny (np. odmawiając dmuchania w alkomat, co przydarzyło się niedawno sędziemu TnK Bartłomiejowi Sochańskiemu, notabene kandydatowi do mianowania przez prezydenta na funkcję wiceprezesa Trybunału). Od tego jest procedura dyscyplinarna dla sędziów.

Na zarzut, że uchwały władzy ustawodawczej oceniające członków władzy sądowniczej łamałyby zasadę trójpodziału władz, dr Ziółkowski odpowiada, że uchwała nie powodowałaby skutków prawnych, byłaby tylko wyrażoną w uroczystej formie oceną moralną. Byłaby jednak też publicznym napiętnowaniem, a więc formą nacisku na sąd może bardziej elegancką, ale w istocie podobną do akcji defamacyjnej „Sprawiedliwe sądy” o sędziach kradnących spodnie. Dr Ziółkowski zauważa jednak, że brak moralno-prawnej oceny bezprecedensowego zjawiska służalczości sądu konstytucyjnego wobec władzy politycznej będzie demoralizujący. I trudno się z tym nie zgodzić.

Niewykluczone więc, że Sejm podejmie jakąś uchwałę uroczystą i pryncypialnie oceniającą działalność Trybunału nieKonstytucyjnego w czasach PiS, ale nie personalnie poszczególnych jego członków. Taka uchwała byłaby ważna jako historyczne świadectwo i symboliczne przywrócenie ładu konstytucyjnego odwróconego przez TnK.

Unieważnić wyroki

Bezdiskusyjne wydaje się to, że Sejm ma podstawy prawne, by uchylić własne uchwały o powołaniu trzech dublerów do TK. Podstawą są wyroki TK z grudnia 2015 r. i wyrok ETPCz. Po unieważnieniu wyboru dublerów trzeba będzie rozwiązać kwestię ważności wyroków wydanych z ich udziałem. A to nie jest, wbrew pozorom proste. Sejm może ogłosić

uchwałę, że wyroki wydane z dublerami są nieważne, ale taka uchwała będzie miała wyłącznie wymiar moralny.

W przyszłości, gdy Andrzej Duda przestanie być prezydentem i nie będzie blokował ustaw, problem ważności wyroków wydanych z dublerami można rozwiązać za pomocą specjalnej ustawy porządkującej. Ale bez takiej specustawy nie ma innej procedury unieważnienia wyroku niż sądowa. Taką procedurę wprowadzono w ustawie z 1991 r. „o uznaniu za nieważne orzeczeń wydanych wobec osób represjonowanych za działalność na rzecz niepodległego bytu Państwa Polskiego”. Wyrok unieważnił Sąd Najwyższy na wniosek zainteresowanego, po zbadaniu sprawy.

Jak już teraz uporządkować sytuację wyroków z dublerami? Przede wszystkim trzeba wziąć pod uwagę, że są dwa rodzaje wyroków Trybunału: jedne interpretują prawo (np. że przepis „x” rozumiany tak a tak jest niezgodny z konstytucją), drugie twardo stwierdzają niekonstytucyjność. W przypadku wyroku interpretacyjnego przepis pozostaje w systemie prawa, ale jest inaczej niż do tej pory rozumiany. Taki interpretacyjny charakter miały m.in. wyroki TnK dotyczące sprzeczności z konstytucją orzeczeń TSUE w sprawach dotyczących praworządności i wymiaru sprawiedliwości. Nie usunęły żadnego przepisu ani z polskiego, ani z unijnego prawa, więc sądy i inne organy mogą te wyroki ignorować.

Ale jeśli TnK orzekł, że jakiś przepis jest sprzeczny z konstytucją, to przepis po prostu znika. Tak było w budzącej największe społeczne emocje sprawie aborcyjnej: przesłanka aborcji ze względu na ciężkie i nieodwracalne uszkodzenie płodu w ustawie już nie istnieje. I nie można jej tam dopisać inaczej, niż uchwalając nowelizację ustawy antyaborcyjnej.

Według raportu „Wyroki TK wydane w nieprawidłowych składach” Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka do końca 2022 r. TnK wydał 159 wyroków, z których ponad połowę (85) w składzie z dublerami. W 48 przypadkach stwierdził niezgodność z konstytucją i usunął przepisy. Być może więc należałoby powołać w Sejmie zespół, który przejrzy te wyroki i oceni, jakie przepisy należałoby przywrócić, bo są potrzebne. Np. warto przywrócić wyeliminowany przez TnK w składzie z dublerem Mariuszem Muszyńskim przepis Kodeksu wykroczeń, który pod groźbą grzywny zakazywał odmowy wykonania usługi „bez istotnej przyczyny”. Stało się tak w związku ze sprawą drukarza z Łodzi, który odmówił wydrukowania logo gejojskiej organizacji, a do obrony jego

„sprzeciwu sumienia” energicznie zabrał się Zbigniew Ziobro. Razem z tym przepisem zniknęła w Polsce prawna gwarancja niedyskryminacji w usługach.

Usuwać siłą i nie drukować

Następny problem: Sejm może podjąć uchwałę np. unieważniającą wybór dublerów, ale jak ją wykonać, jeśli oni sami (Mariusz Muszyński, Justyn Piskorski i Jarosław Wyrembak) nie zechcą się jej podporządkować? Wyciąganie ich siłą z gabinetów z wielu względów nie wchodzi w grę. Można co najwyżej postawić przed Trybunałem policję i nie wpuszczać ich na teren Trybunału. Ale pewnie skończyłoby się to demonstrowaniem i nową mitologią na wzór upadku rządu Olszewskiego.

Zatem trzeba się liczyć z tym, że dublerzy do końca 2024 r. będą orzekać. Pojawiają się więc pomysły, by tych wyroków z ich udziałem nie drukować w Dzienniku Ustaw. To jednak oznacza, że uznajemy za słuszną interpretację PiS, jakoby o ważności wyroku TK decydowała jego publikacja w Dzienniku Ustaw przez premiera, a nie ogłoszenie przez Trybunał na rozprawie. A więc że władza polityczna może dowolnie „unieważniać” wyroki sądu konstytucyjnego. W konsekwencji: że Beata Szydło miała prawo blokować przez dwa lata publikację w Dzienniku Ustaw wyroków Trybunału kierowanego przez prof. Andrzeja Rzeplińskiego. Szydło też powoływała się na bezprawność wyroków, tyle że z powodu niedopuszczenia do orzekania dublerów.

Nie drukując wyroków Trybunału nieKonstytucyjnego, nie tylko pogrzebalibyśmy kwestię odpowiedzialności premier Szydło, ale też legitymowalibyśmy niedopuszczalny konstytucyjnie i destrukcyjny dla państwa obyczaj cenzurowania wyroków TK przez władzę polityczną. Skórka niewarta wyprawki. Tym bardziej że TnK ma już niewielkie możliwości destrukcyjnego działania. W dobrze pojętym interesie własnym powinniśmy się uzbroić w cierpliwość i nie sięgać po środki, które – by wrócić do metafory prof. Sadurskiego – zainfekują bezprawnością nową władzę i jej wysiłki przywrócenia państwa prawa.

Daleko groźniejsza sytuacja jest w Sądzie Najwyższym, który jest już w 2/3 zdominowany przez neosędziów. A kto ma SN, kontroluje orzecznictwo polskich sądów, bo SN może zmienić każdy wyrok. Np. może udaremnić egzekwowanie odpowiedzialności funkcjonariuszy władzy PiS. A – jak wiemy – nieodpowiedzialność i bezkarność to element pisowskiego modelu sprawowania władzy.

EWA SIEDLECKA



JEDNO

STUDIO

RÓŻNE

POG-

LĄDY



Piotr Salak
piątek, 18:02

**NAJBARDZIEJ ZAUFANE
ŹRÓDŁO INFORMACJI
W POLSCE WG REUTERSA***

źródło: badanie „Digital News Report 2023”
Reuters Institute for the Study of Journalism, próba 2030

„Na Wiejskiej”, sezon 1



W ciągu dwóch miesięcy w Polsce objawiły się dwa fenomeny społeczne. Pierwszy miał miejsce 15 października, gdy trzy czwarte uprawnionych do głosowania wybrało się do urn wyborczych. Drugi to sejmomania.

NORBERT FRĄTCZAK

Sejmowy kanał na YouTube subskrybuje blisko 400 tys. osób. Transmisję obrad z 28 listopada (gdy wybrano rzecznikę praw dziecka, obradowano na temat handlu w niedzielę, refundacji in vitro oraz trzech komisji śledczych mających rozliczyć PiS) wyświetlono blisko półtora miliona razy (stan na 4 grudnia). Następnego dnia (gdy odwołano członków komisji lex Tusk i uchwalono refundację in vitro) jeszcze więcej; nagranie trafiło do drugiej dziesiątki najczęściej odtwarzanych na polskim YouTube. Dla porównania: exposé Mateusza Morawieckiego z 2019 r. oglądało niespełna 5 tys. osób, mniej więcej tyle subskrypcji miał też cały kanał sejmowy.

Poniedziałkowe obrady wyświetlano na żywo w warszawskiej Kinotece. Ponad 300 osób oglądało upadek dwutygodniowego rządu Morawieckiego na wielkim ekranie (a na YouTube śledziło to na żywo blisko 300 tys.). Zainteresowanie było tak wielkie, że Kinoteka planuje regularne projekcje.

Po wyborach zmieniło się coś więcej niż parlamentarna większość. Ludzie chcą obserwować pracę posłów, których wprowadzili do Sejmu. Tylko dlaczego?

Efekt przebudzenia

– *Zacznę od tego, że byłam mocno wkurzony na władzę PiS. Z wielu powodów, także z tego, jak traktowała osoby nieheteronormatywne, uznając nas za podludzi albo w ogóle nie ludzi* – mówi Hubert, pracownik biurowy z Poznania. Ma 37 lat, ale do tej pory nie śledził prac Sejmu. Ba, gdy jego matka – mająca podobne poglądy jak on – oglądała przy nim programy informacyjne i komentowała, denerwował się.

A później przyszedł 15 października, który dał mu poczucie wspólnoty zmieniającej polskie losy. Zrobiło się podniosłe. – *I zacząłem oglądać Sejm, bo poczułem wreszcie, że to też mój Sejm* – wyjaśnia Hubert. Szymon Hołownia w roli marszałka przypadł mu do gustu. – *Obrady, które prowadzi, ogląda się jak dobry serial na Netflixie czy naprawdę jakościowy stand-up. Jest przy tym bardzo kulturalny i pokonuje adversarzy inteligencją i erudycją* – ocenia Hubert.

Basia, lat 32, technolog żywności, polityką zaczęła się interesować krótko przed wyborami. – *Wcześniej niby wiedziałam, co się działo w kraju, ale nie zagłębiałam się w to. Miałam jednak tak dość dotychczasowej władzy, że gdy już przegrała, chciałam zobaczyć, jak odchodzi. Włączyłam pierwsze posiedzenie Sejmu i się wkręciłam* – opowiada.

Ogląda wszystkie obrady. Gdy jest w pracy, ma je włączone w tle na drugim monitorze. Później w domu wraca do tego, co ją ominęło. Najbardziej interesują ją głosowania – czy posłowie zagłosują zgodnie z dyscypliną partyjną czy nie. Denerwuje się, gdy przedłużają wypowiedzi ponad dozwolony czas oraz gdy znikają z sali plenarnej po głosowaniu. – *Po to ich wybraliśmy, żeby pracowali* – tłumaczy Basia.

Natalia zauważa, że świadomość polityczna stała się w ostatnim czasie bardziej cool. – *Od ostatnich wyborów prezydenckich z 2020 r. w moim gronie zaczęło się więcej mówić na ten temat, nie chciałam odstawać* – tłumaczy. Ma 26 lat i silne przekonanie, że ostatnie wybory parlamentarne były wielkim wydarzeniem społecznym, a masowe zainteresowanie obradami Sejmu naturalnym przedłużeniem tego doświadczenia. – *Patrzmy politykom na ręce i czerpiemy wiedzę z pierwszej ręki* – dodaje.

Ewa, od prawie 20 lat mieszka w Chicago, też ogląda obrady, ale opowie o mężu. – *Przyjechał tu z Polski 10 lat wcześniej. Z miejsca wsiąkł w sprawy amerykańskie, zaangażował się w tutejszą politykę. Polską zaczął się interesować osiem lat temu, gdy zaczął się KOD, ale szybko się*

zniechęcił, patrząc na kolejne zwycięstwa PiS. Teraz najlepsze: w październiku po raz pierwszy od emigracji przyleciał do swojego rodzinnego Gdańska, żeby z bliska obserwować wybory. Od kiedy ruszyła kadencja i cała ta szopka z rządem Morawieckiego, domaga się codziennego oglądania „Faktów” i fragmentów obrad Sejmu (ze względu na pracę i różnicę czasu nie może oglądać „na żywo”). Coś czuję, że następnym krokiem będzie odnowienie polskiego paszportu – ekscytuje się Ewa.

Wojtek, lat 28, zaczął śledzić obrady, bo – tłumaczy – lubi słuchać, jak pisowcom z żalu pękają tyłki. Siada sobie przed ekranem i napawa się tym, jak po latach przestają czuć się bezkarni. Nie tylko on.

Ola, 34 lata: – Oglądam wyłącznie dla widoku bezradności Kaczyńskiego i jego świty. Podejrzewam, że moje zainteresowanie skończy się, gdy tylko zaspokoje żądze zemsty. Piotr, 32 lata: – Świetnie patrzy się na niemoc pisowców. Szczególnie po tym, jak przez osiem lat okładali nas po twarzach swoim narodowo-katolickim fundamentalizmem. Robert, 31 lat: – Wyraźnie nie rozumieją, co się dzieje, dlaczego przegrali wybory i że z własnej winy. Morawiecki, który nagle stał się fanem in vitro, ciągle miotanie się – przyjemnie się to ogląda.

Efekt ośmiu gwiazdek

Niektórzy mają z poprzednią ekipą bardziej osobiste porachunki. Jak Ilona i Piotr, których syn – Miłosz – począł się dzięki in vitro. Dziś ma trzy lata, ale rodzice starali się o niego przez 10. – Ten czas to worek bez dna pełny łez, oczekiwań, rozczarowań, leczenia antydepresantami, w dodatku zakończony potężnym kredytem – mówi Ilona. I dodaje, że właśnie dlatego przygląda się obradom. Ze szczególną uwagą tym, na których debatowano o refundacji. – Naprawdę starałam się zrozumieć logikę przeciwników tej metody, ich tok myślenia. Ale ciężko, gdy słucha się takiego Brauna plotącego w tym kontekście coś o rampach oświęcimskich. Ciekawi mnie bardzo, czy gdyby jego żona miała problem z zajściem w ciążę, to usłyszałaby to samo, czy jednak punkt widzenia by się zmienił?

Michał z Olą, oboje po 32 lata, także spodziewają się dziecka. – Po porodzie niektórzy będą pewnie szukać bruzd na głowie naszej córki – zauważa z goryczą Michał. Dla niego oglądanie obrad jest dziś jak terapia po trwającym osiem lat szoku. – Jest coś do pośmiania, nieco ulgi, bo wreszcie obrady prowadzone są w cywilizowany sposób, ale też satysfakcja, bo uciera się nosa tym, którzy pluli na ciebie przez ostatnie lata. To pomaga – sumuje Michał.

Natalia, 37 lat, pierwsze obrady nowej kadencji oglądała z przyjaciółmi, trochę dla rozrywki, ale też upewnienia się, że 15 października wydarzył się naprawdę. – Musiałam się uszczypnąć, na własne oczy sprawdzić, że tych osiem lat dobiegło końca. A później sprawdzić, w jakim stylu przebiegnie zmiana. Nim się spostrzegłam, tak się wkręciłam, że żałuję, gdy obowiązki nie pozwalają mi na spędzanie godzin przed monitorem.

Efekt awantury

Oglądanie dla rozrywki ma już nawet swoją nazwę – sejmflix (od Netflixa). – Jak z serialem: czekasz na kolejny odcinek, a jak nie możesz go obejrzeć, to się wkurzasz, bo nie wiesz, co się stało, nie widziałas na własne oczy – tłumaczy Aga, 42-latka.

– Ciekawi bohaterowie, dużo różnych wątków, ciekawe zwroty akcji, chociaż trochę przydługie odcinki – żartuje Mateusz, lat 26, który ogląda Sejm, bo chce widzieć, jak historia dzieje się na jego oczach.

Klaudia ma 26 lat i obecnie jest na urlopie macierzyńskim. – Dużo siedzę w domu i pewnie oglądałabym Netflixa, ale przy dziecku staram się nie włączać telewizora. Ukochane audiobooki kryminalne po porodzie stały się dla mnie zbyt drastyczne i jakoś tak wyszło, że podłapałam bakcyla politycznego – relacjonuje. Przysłuchuje się wszystkim obradom i konferencjom prasowym z Sejmu. Dodatkowym bodźcem jest to, że jej znajomi też je śledzą, więc jest o czym pogadać. – To tak, jak wychodzi nowy sezon znanego serialu i wszyscy są tym podekscytowani – dodaje.

W niektórych biurach, jak u Wojtka albo Marcina, nie słucha się już radia, w tle leci Sejm, a między biurkami toczy się dyskusja. Piotrek ogląda z żoną na porodówce. Magda donosi, że jej 15-letni syn Konstanty słucha obrad podczas nauki albo gry na komputerze, a Monika z kolei nakryła ostatnio 82-letnią babcię na oglądaniu obrad na YouTube w smartfonie. Karolina strasznie się wkurzała, gdy jej ojciec oglądał Sejm, bo uważała, że to nuda. Dziś ma 33 lata i żałuje, że tata już nie żyje, bo oglądaliby sobie razem.

Maciek nie owija w bawełnę. – Sam proces legislacyjny jest nudny i tylko awantury sprawiają, że warto to oglądać – przyznaje 38-latek, który nie może oderwać się od monitora. Najbardziej ceni cięte riposty z obu stron sali plenarnej. Szczególnie tę marszałka Hołowni: „Zachęcam do pracy intelektualnej, obrazić też trzeba umieć”.

Klara też uwielbia sejmowy serial, ale zaczyna jej się trochę nudzić, gdy w czasie przewidzianym na pytania nie ma pytań,

tylko „milion praktycznie identycznych wypowiedzi”. Kasia najbardziej ceni „część kabaretową”. – Obrady w całości są nadal niezwykle nudne i o ile czasem ciekawi mnie wynik jakiegoś głosowania, np. kto został rzecznikiem praw dziecka, to nie mogę się zmusić do słuchania przemówień posłów PiS, a tym bardziej Konfederacji – przyznaje 41-latka.

Hanię polityka nie obchodziła, aż do niedawna, gdy w mediach społecznościowych natknęła się na fragment obrad Sejmu. – Nie mogłam uwierzyć, że w tak ważnej instytucji dzieją się rzeczy tak niepoważne – wyjaśnia. Porównuje to do swoich ulubionych reality show o zwyczajach obrzydliwie bogatych, zmanierowanych pań domu z różnych stron świata.

Efekt Hołowni

„Mamy mnóstwo pracy. Zaopatrzenie się w popcorn, bo przypuszczam, że będzie się działo”, „Czasami słowo »proces« tak ciśnie mi się na usta, że nie mogę się powstrzymać” albo „Panie pośle Matecki, rozumiem, że występuje pan na sali w charakterze billboardu?” – to tylko niektóre z cytatów Szymona Hołowni w roli marszałka, za które pokochał go internet.

– Nie głosowałem na niego. W zasadzie w ogóle nie traktowałem go poważnie – przyznaje Tomek, który przekałał się do nowego marszałka. – Doceniam umiejętność dynamicznej, celnej odpowiedzi. Aż przyjemnie posłuchać – wyjaśnia.

Jest jeszcze coś: – Moje poglądy są raczej antypisowskie, więc nie wiem, czy to obiektywna ocena, ale mam wrażenie, że marszałek stara się być uczciwy wobec wszystkich posłów, niezbyt stronniczy – tłumaczy 31-latek.

Wiele rozmówczyń i rozmówców POLITYKI, jeszcze przed dwoma miesiącami niekojarzących marszałka zachwyca się Hołownią w nowej roli. Cenią elokwencję, wyrafinowanie, doświadczenie telewizyjne i to, że „gasi pisowców jak pety na dworcu”. – Jest trochę jak wielkoformatowy amerykański polityk między tymi papudrakami zachowującymi się, jakby byli na imieninach u szwagra – ocenia Piotr, 32 lata. Na Hołownię nie głosował i w ogóle nie zgadza się z nim w fundamentalnych kwestiach. – Ale trzeba mu oddać, że po mistrzowsku radzi sobie z krzykami i wyskokami posłów pokroju Brauna. Doskonale piętkuje i podsumowuje tę zgraję. To jest potrzebne.

Dlatego kolejnych odcinków tego reality show nie odpuści.

Autor dziękuje profilowi Make Life Harder za pomoc w znalezieniu rozmówców.

Fałszerze lekarzy

PAWEŁ WALEWSKI

Polski kardiolog zaskakuje sekretem bezpiecznego oczyszczania naczyń krwionośnych. Urolog zachęca do kropli, po których ciało młodnieje i nabiera wigoru. Prawo zabrania lekarzom udziału w takich reklamach. Chyba że ktoś skradnie ich tożsamość.



Bły dni, kiedy telefon dzwonił kilkadziesiąt razy. Pomiędzy pilnymi rozmowami, przynajmniej kilkanaście dotyczyło pytań o preparat oczyszczający tętnice i stabilizujący ciśnienie krwi. – *Poza Warszawą jestem jak doktor Judy i pacjenci wiedzą, że w nagłych sprawach mogą się zwrócić o pomoc* – tłumaczy sens dyżurów telefonicznych dr Michał Sutkowski, lekarz rodzinny i rzecznik stowarzyszenia reprezentującego tych specjalistów w Polsce. – *Ale odkąd uwikłano mnie w reklamy suplementów, zaczęto dopytywać głównie o nie.*

Jak absorbujący może być rozgłos medialny, dr Sutkowski odczuł podczas pandemii, bo był jednym z lekarzy często zapraszanych do programów telewizyjnych, w których cierpliwie odpowiadał na pytania dziennikarzy. Szybko wzięli go na muszkę hejterzy antyszczepionkowcy, którzy też zdobyli numer jego komórki i zaczęli nękać, posuwając się nawet do gróźb wobec rodziny. Ale chyba najwyższą ceną, jaką płaci za zdobycie popularności, jest kradzież wizerunku i użycie go w reklamach, w których nigdy nie brał udziału. W jednej z nich, prezentowanej na najbardziej popularnych portalach internetowych, zachwala „sztuczne czerwone krwinki, stworzone z żywych molekuł witalnych roślin”. Ma formę wywiadu prowadzonego przez Piotra Kraśkę, ilustrowanego obrazami z prawdziwego studia „Faktów” TVN, tyle że na zupełnie inny temat. Rozmowa o suplementach diety oczywiście nigdy nie odbyłaby się w głównym programie informacyjnym tej stacji, ale twórca reklamy na takie detale nie zwraca uwagi, prezentując w niej obu panów bez ich wiedzy i wkładając w ich usta wymyślone wypowiedzi.

Oto próbka: „Chcesz powiedzieć – Kraśko zwraca się do dr. Sutkowskiego, jakby był jego dobrym znajomym (w rzeczywistości on również nigdy nie udzielił zgody na użycie jego wizerunku w tej reklamie) – że wszystkie nowoczesne leki na nadciśnienie są nieskuteczne?”

Odpowiedź: „Te, które oficjalnie się przepisuje, pompują pieniądze z kieszeni pacjentów do kieszeni oligarchów medycznych. To są legalne narkotyki – lek przestaje działać i ciśnienie znów rośnie”.

Piotr Kraśko: „Przecież ludzie latami stosują leki?”

Dr Sutkowski: „Uzależnieni od narkotyków też mogą żyć długo. Ale co to za życie? (...) Niektóre tabletki przy długotrwałym stosowaniu są onkogenne. Nie mówię o takich drobiazgach, jak problemy ze snem, szum w uszach, utrata wzroku i słuchu. A przyczyna tylko jest jedna – brudne naczynia krwionośne, których nikt nie leczy, pomimo że sposób już istnieje i wykazuje doskonałe efekty”.

Red. Kraśko drąży: „Co to za preparat? Dlaczego apteki reagują na jego nazwę jak wampiry na światło słoneczne?”

Dr. Sutkowskiemu przypisana jest wypowiedź, za którą mógłby zostać pociągnięty do odpowiedzialności nie tylko przed sądem lekarskim (za niedozwolone reklamowanie

preparatu medycznego), ale też powszechnym (za powoływanie się na nieistniejące placówki naukowe): „X (tu pada nazwa) stymuluje produkcję nowych krwinek czerwonych, które są zaangażowane w oczyszczanie i naprawę naczyń krwionośnych. To wynalazek polskiego Centrum Biologii Molekularnej, za który nasz zespół naukowców otrzymał międzynarodową nagrodę w dziedzinie biologii terapeutycznej za innowacyjny przełom w leczeniu nadciśnienia i patologii naczyńiowych”.

W oświadczeniu zamieszczonym na kanale YouTube lekarz tłumaczy, że doszło do narażenia tysięcy pacjentów na ryzyko utraty zdrowia. – *Bo to przecież nie tylko mój problem, związany z kradzieżą wizerunku, ale żal ludzi wierzących w te bzdury i kupujących pseudoleki niewiadomego pochodzenia.*

Dr Sutkowski próbuje bronić się sam. Na własną rękę ostrzega pacjentów przed fałszerstwem. Nie kwapi się do tego proku-

ratura, już dawno zawiadomiona o podejrzeniu popełnienia przestępstwa, ani żaden z urzędów mających dbać o jakość reklam farmaceutyków i bezpieczeństwo konsumentów: Główny Inspektor Farmaceutyczny, Główny Inspektor Sanitarny ani nawet UOKiK. To porażka tych instytucji, że nie potrafią zareagować na ewidentne łamanie prawa. A może jest w nim jakaś luka, skoro nie są w stanie stanowczo zareagować?

Autorytet od robaków

Prof. Michał Zembala, kardiochirurg, również na swoim profilu w mediach społecznościowych zamieścił informację, że padł ofiarą bezprawnego wykorzystania wizerunku. Prof. Adama Torbickiego, kardiologa, który nie korzysta z Facebooka ani Instagrama, wyręczyła w tym żona, znana dziennikarka Grażyna Torbicka: „Nie dajcie się nabrać, to są fake newsy! Profesor Adam Torbicki niczego nie reklamuje. Prawnicy zgłaszali to naruszenie wizerunku do prokuratury wielokrotnie, bezskutecznie niestety”.

– *Oszukują ludzi od 2020 r.* – oburza się profesor. – *Początkowo reklamy z moim udziałem pojawiały się na Facebooku, ostatnio także w dużych portalach internetowych. Nie mogę tego zostawić bez reakcji, bo wyglądałoby na to, jakbym rzeczywiście miał coś z tym wspólnego.*

W Onecie i Wirtualnej Polsce wizerunek prof. Torbickiego prezentowany jest przy rozmowie z nieznanym nikomu Marcinem Szczurkiem: „Panie Adam Torbicki, jaki jest najbardziej skuteczny sposób na oczyszczenie naczyń krwionośnych z cholesterolu, skrzepów i zwapnień? – Mogę wymienić tylko jeden środek o nieskazitelnej reputacji – X (tu pada nazwa). Przedłuża on życie o 12–17 lat, dodając energii i relaksu, i nie kosztem cierpienia i utraty witalności”.

W dalszej części wywiadu profesor barokowym językiem tłumaczy, jakie przynosi korzyści: „Nagromadzone latami zanieczyszczenia, które zatruwają życie, wypłukiwane są razem z X poprzez 1,5–2 miesiące regularnego przyjmowania. Bóle głowy rozpuszczają się razem z nimi. Mózg, odżywiany przez oczyszczone naczynia, zaczyna działać z prędkością superkomputera. Smaki stają się jasne i nasycone, ciągle ▶



Dr Michał Sutkowski

To przecież nie tylko mój problem, związany z kradzieżą wizerunku, ale też ludzi wierzących w te bzdury i kupujących pseudoleki niewiadomego pochodzenia.

► Iaknienie słodczy i tłuszczów zanika. Stawy śpiewają razem »dziękuję«, bo już nie boją”. Gdy pan Szczurek przechodzi do sedna, jak działa ów specyfik, wypowiedzi przypisane prof. Torbickiemu stają się stekiem bredni.

Wydawałoby się, że stylistyka wywiadów napisanych fatalną polszczyzną i zabawne teorie naukowe, przypisujące reklamowanym środkom nieprzeciętne wartości, odbiorcy szybko zdemaskują jako fałszywki. – *Możemy się pocieszać, że tak jest, ale odbierałem już telefony od kolegów lekarzy, którzy całkiem serio dopytywali, jakie mam doświadczenia z suplementem, do którego rzekomo zachęcam, i jak go należy dawkować* – wyznaje dr Sutkowski. Jeśli dla medyków jest autorytetem, to co mówić o rzeszy pacjentów, którzy bez trudu mogą przecież wygooglować w sieci, że za preparatem X stoi prezes Warszawskiego Oddziału Terenowego Kolegium Lekarzy Rodzinnych i Prodiękan Wydziału Medycznego Uczelni Łazarskiego. A prof. Adam Torbicki to były prezes Polskiego Towarzystwa Kardiologicznego. I czy zauważą, że np. prof. Krzysztof Simon – ten sam specjalista chorób zakaźnych z Wrocławia, który od początku pandemii często tłumaczy w mediach, jak chronić się przed Covid-19 – w reklamie specyfiku na męską potencję występuje jako urolog, „znany z leczenia nawet najcięższych przypadków impotencji”? – *To skandal, o którym wciąż zawiadamiam policję i prokuraturę, ale nic to nie daje* – wyznaje. – *W innych reklamach robiono już ze mnie kardiologa, leczylem robaki i wszyscy mają to w nosie.*

Nie mieli, gdy w szczycie pandemii w 2021 r. profesor postanowił zareklamować noszenie maseczek. – *Za co obierwałem solidnie, choć chciałem w szlusznej sprawie wesprzeć nie chiński, ale polski przemysł w sytuacji kompletnej zapaści. W dodatku maska to wyrób medyczny, a nie leczniczy, i jako lekarz mogłem je wtedy reklamować.*

Na profesora posypały się gromy ze strony prokuratury oraz Okręgowego Rzecznika Odpowiedzialności Zawodowej, gdyż uznano, że złamał Kodeks etyki lekarskiej, który zakazuje lekarzom „wyrażania zgody na używanie nazwiska i wizerunku dla celów komercyjnych”. Gdy teraz wizerunek i nieprawdziwe wypowiedzi bez jego wiedzy hulają po internecie, żadna instytucja się tym nie interesuje ani nie próbuje wykryć sprawców ewidentnego przestępstwa.

Udawana ochrona

W ustawie Prawo farmaceutyczne zawarto wyraźny zakaz prezentowania produktów leczniczych przez naukowców i osoby publicznie znane, posiadające wykształcenie medyczne bądź sugerujące posiadanie takiego wykształcenia. Od 1 stycznia 2023 r. zakazem tym objęto poza lekami również wyroby medyczne – to np. syropy na kaszel lub lizaki na ból gardła (choć zawierają substancje lecznicze, ich wytwórcy celowo rejestrowali je wcześniej w kategorii wyrobów medycznych, by móc korzystać w reklamach z opinii profesjonalistów).

Suplementy diety to jeszcze inna kategoria, traktowana jak żywność, więc nie dotyczą ich regulacje Prawa farmaceutycznego ani ustawy o wyrobach medycznych, ale zarówno Kodeks etyki lekarskiej, jak i branżowy Kodeks dobrych praktyk suplementów diety, podpisany przez organizacje zrzeszające ich wytwórców, zawiera identyczne dla lekarzy zakazy udziału w ich promocji. Czy jednak ktoś ma nad tym nadzór i chroni medyków, którzy są w nich prezentowani bez własnej zgody, albo konsumentów, których naraża się na oszustwo?

Państwowa Inspekcja Sanitarna ma wśród swoich kompetencji weryfikację reklam suplementów pod kątem oznakowania opakowań i treści. – *Chodzi o przypisywanie im właściwości leczniczych, co zgodnie z przepisami nie powinno mieć miejsca* – wyjaśnia Szymon Cienki, rzecznik Głównego Inspektora Sanitarnego. Kiedy dopytujemy, czy GIS podjął z urzędu kroki w celu wyeliminowania reklam z ukradzionym wizerunkiem autorytetów medycznych, odpowiada:

– *GIS nie jest właściwy do rozstrzygnięcia w tego typu sprawach. Lekarze, którzy padli ofiarą tego typu sytuacji, powinni zawiadomić organy ścigania.*

Identyczne stanowisko otrzymaliśmy od głównego inspektora farmaceutycznego (produkty, do których jakoby zachęcają w reklamach nasi bohaterowie, raz są suplementami, kiedy indziej lekami albo wyrobami medycznymi), więc skoro GIF sprawuje nadzór nad przestrzeganiem przepisów ustawy w zakresie reklamy produktów leczniczych, powinien jakoś zareagować. Nic z tego: „Reklamy z wizerunkiem prof. Torbickiego i dr. Sutkowskiego nie były przedmiotem zawiadomień i dokonując bieżącego monitoringu, nie stwierdzono w przestrzeni medialnej przedmiotowych reklam” – odpowiada Małgorzata

Gajęcka z Zespołu ds. Komunikacji, Promocji i Strategii GIF. Zatem może Urząd Ochrony Konkurencji i Konsumentów ma coś do powiedzenia? „Opisana reklama to oszustwo, czyli czyn zabroniony, którym powinny zająć się policja i prokuratura. Do tych służb powinien zgłosić się lekarz, którego wizerunek wykorzystany jest bez jego świadomości i zgody” – grzecznie informuje biuro rzeczniczki urzędu, nie interesując się losem konsumentów wprowadzanych w błąd.

– *Trzykrotnie od 2020 r. zawiadamiałem prokuraturę, bo już wtedy bezprawnie posłużono się moim wizerunkiem* – mówi prof. Adam Torbicki. Najpierw była to reklama jednego z preparatów konopnych, a w 2021 r. – specyfiku na serce. W obu przypadkach prokurator nie dostrzegł znamion przestępstwa i uzasadnił, że wykorzystanie wizerunku lekarza miało na celu podniesienie atrakcyjności produktu (*sic!*), a nie wyrządzenie temu lekarzowi szkody. – *Niestety sąd podzielił tę opinię, ale nie ustępuje i w związku z nową falą reklam, w jakich mnie umieszczono, złożyliśmy trzecie zawiadomienie* – informuje profesor, bo choć organy ścigania twierdzą, że jest to przykład oszustwa, w którym nie ma pokrzywdzonego – on i inni lekarze takimi się czują.



– A czy pokrzywdzonymi nie są osoby, które kupują reklamowane preparaty? – pyta dr Sutkowski. Kancelaria prawna, która w jego imieniu złożyła zawiadomienie do prokuratury, chcąc wyręczyć ją w poszukiwaniu winnych oszustwa, dotarła do przesyłek zamawianych w internecie przez odbiorców tych reklam – nie ma na nich nazwy ani adresu nadawcy albo podany na paczce jest nieprawdziwy. Osobne zawiadomienia trafiły do Rzecznika Praw Lekarza oraz NFZ. – *Wszyscy rozłożyli ręce, tłumacząc, że nie da się wskazać sprawców* – mówi dr Sutkowski.

Bezilni wobec bezprawia

Czy w takim razie współwinnym nie są portale internetowe, które zamieszczają kłamliwe informacje? Jeśli pojawiła się reklama alkoholu lub innego zabronionego artykułu, natychmiast by je ukarano – dlaczego na leki i paraleki jest przyzwolenie, choć ich szkodliwość może być równie wysoka? Wirtualna Polska i Onet, na których upubliczniane były w ostatnich tygodniach wizerunki dr. Sutkowskiego i prof. Torbickiego, zachowują się jak firmy paserskie, biorąc udział w płatnym rozprowadzaniu nieprawdziwych anonsów. Oczywiście każdy portal, jak i każda gazeta, informują czytelników, że nie odpowiadają za treść publikowanych reklam – ale powinny istnieć wewnętrzne procedury, by nie wpuszczać na łamy i strony internetowe ewidentnych oszustw, które naruszają w tym wypadku dobra lekarzy.

– *Moja pełnomocniczka przestała trzykrotnie Wirtualnej Polsce wezwanie do usunięcia reklam zawierających moje zdjęcia i wymyślone wypowiedzi, ale nie otrzymaliśmy na nie odpowiedzi* – dziwi się profesor. Co ciekawe, w maju 2022 r. ten sam portal opublikował artykuł pod tytułem „Mąż Grażyny Torbickiej padł ofiarą oszustów” (już wtedy chodziło o reklamy środka na nadciśnienie), a półtora roku później sam zaczął je publikować.

Okazuje się, że to nie rozdwojenie jaźni, lecz wina techniki, która w tzw. modelu programmatic umożliwia aukcyjny system zakupu powierzchni reklamowych w internecie za pomocą technologii automatycznych opartych na algorytmach. W tradycyjnych warunkach sponsor reklamy jest klientem, który płaci za wynajęcie strony w czasopiśmie lub kupuje określoną liczbę wyświetleń w serwisie internetowym. Klient lub w jego imieniu dom mediowy wysyłają prośbę o wycenę, a wydawca rezerwuje dla niego miejsce na reklamę, po czym wystawia fakturę i raport z wyświetleń (np. ilu użytkowników ją zobaczyło, ilu otworzyło, jak dużo czasu jej poświęcili). System programmatic zapewnia zlecającym, a więc również twórcom reklam z fałszywymi informacjami, anonimowość – takie firmy mogą działać nawet spoza Polski i przez pośredników zgłaszając w systemie komputerowym chęć wykupienia okien reklamowych w sieci. Duże portale mają ich dużo, więc miejsc do zagospodarowania jest mnóstwo, ale nie podpisują dwustronnych umów ze zleceniodawcami (bo zapytań ofertowych w ciągu minut nadchodzą dziesiątki) i dopiero po tzw. kodzie i numerze IP można dojść do tego, kto wykupił i umieścił swoje treści.

– *Mamy swoją czarną listę zainteresowanych okienkami reklamowymi, ale to żmudna praca, którą zlecamy firmie zewnętrznej, by nie dopuścić na naszą stronę oszukańczych reklam* – mówi szefowa działu reklamy jednego z wydawnictw. W interesie producentów szemranych leków i suplementów jest oczywiście, by na nią nie trafić, więc stale zmieniają w algorytmach słowa kluczowe i mylą tropy, by nie można było ich wyłowić. W dodatku w modelu programmatic kampanie reklamowe wykupywane są w wielu miejscach jednocześnie i trafiają do sprofilowanych użytkowników internetu – np. tylko tych, którzy, jak wynika z historii oglądanych przez nich stron, bardziej interesują się zdrowiem.

W tym wypadku życie wyprzedziło możliwość szybkiego reagowania – tego typu przestępstwa internetowe są jak nierozpoznane galaktyki, o których wiadomo, że istnieją, ale brakuje narzędzi, by się do nich dostać. Mec. Małgorzata Grzybowska, która m.in. szkoli prawników na temat pułap

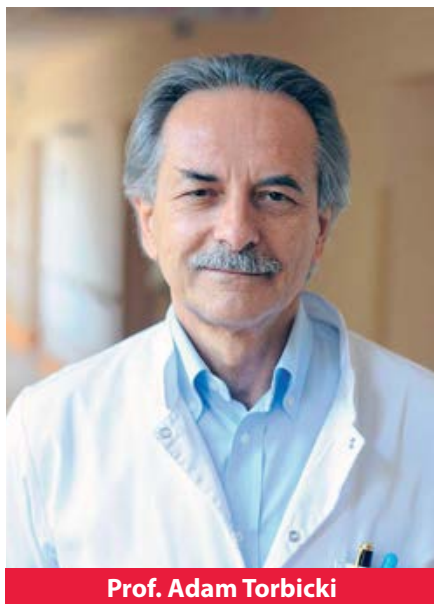
peku rynku reklamowego i reklam podprogowych, zwraca uwagę, że na mocy ustawy o świadczeniu usług drogą elektroniczną portal nie ponosi odpowiedzialności za udostępnianie reklamy naruszającej prawo lub czyjeś dobra osobiste, jeśli usunie ją po otrzymaniu informacji na ten temat. Zanim się tak stanie, po prostu na tym zarabia. Gorzej, gdy nikt nie zgłasza takiego zażalenia, bo lekarz nie wie, że ktoś wykorzystał jego wizerunek albo w roli ekspertów pojawiają się twarze z wymyślonymi tytułami lub afiliacjami.

Na przykład: dr Piotr Chołuz z Katedry Andrologii Instytutu Badawczego Urologii i Radiologii Interwencyjnej Światowej Organizacji Urologicznej w Polsce czy prof. Jerzy Kopczewski, kierownik Wielkopolskiej Kliniki Urologii, zastępca dyrektora Instytutu Badawczego Urologii i Zdrowia Rozrodczego (obydwaj medycy nie są wcale urologami, a ich rzekome miejsca pracy nie istnieją; ich zdjęcia w reklamie jednego ze środków urologicznych, jak wykryliśmy dzięki wyszukiwarce internetowej, przedstawiają lekarzy z Rosji).

– *Obecnie największą trudnością w ustaleniu sprawcy i dochodzeniu roszczeń jest niemożność szybkiego*

i skutecznego ustalenia choćby nr. IP podmiotu zlecającego taką reklamę, ponieważ portale na takie wnioski pokrzywdzonych po prostu nie odpowiadają, a próby ustalenia tych numerów na drodze postępowania karnego są długotrwałe, wręcz zachęcają sprawców do takich działań – wskazuje mec. Grzybowska. Jej zdaniem nałożenie na portal obowiązku natychmiastowego przekazania pokrzywdzonym danych podmiotu zlecającego fałszywą reklamę urealniałoby rzeczywiste zagrożenie karą za takie nieuczciwe działania: – *UOKiK powinien bardzo aktywnie się włączyć w sprecyzowanie takich zaleceń.*

A może czas także na kampanię Ministerstwa Zdrowia uświadamiającą pacjentów, że każda reklama z udziałem lekarza to oszustwo?



Prof. Adam Torbicki

Początkowo reklamy z moim udziałem pojawiały się na Facebooku, ostatnio także w dużych portalach internetowych. Nie mogę tego zostawić bez reakcji, bo wyglądałoby na to, jakbym rzeczywiście miał coś z tym wspólnego.

Zespół do zabierania dzieci

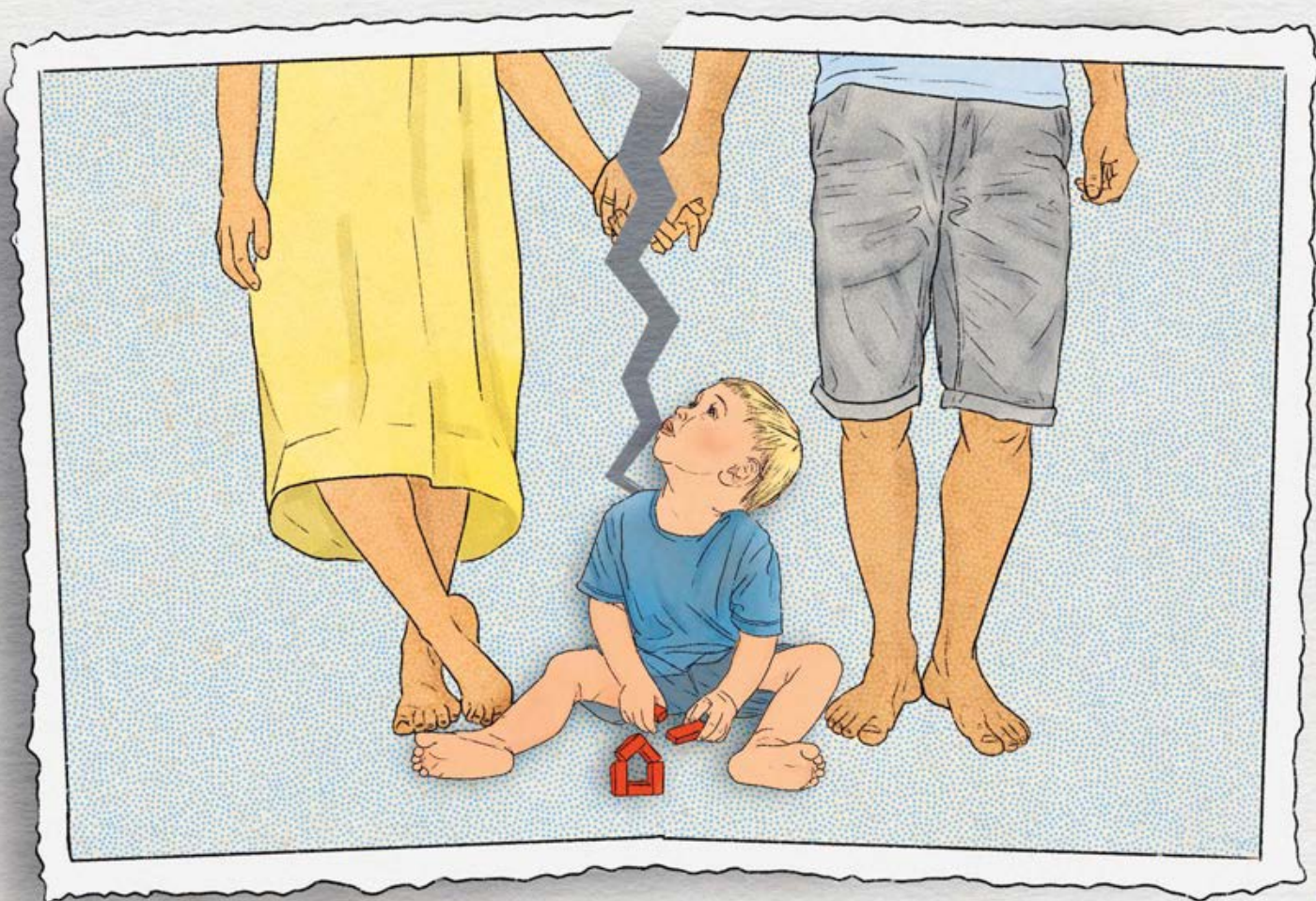
Opiniodawcze Zespoły Sądowych Specjalistów w sprawach rozwodowych decydują o życiu dzieci. Zbyt często nie wiadomo, na jakiej podstawie.

JOANNA CIEŚLA

Dla sześciolatki fotel był za duży, dostosowany dla dorosłego. Lena zapadła się do środka, gdy poważna pani kazała jej usiąść. Pani zajęła miejsce za szybą. A potem, razem z drugą panią, zadawały pytania. Lena pamięta tylko, że trudne. I że chciała do mamy. Gdy płakała, panie kręciły głowami. A później napisały w opinii dla sądu, że mama celowo Leną manipuluje i niszczy więzi łączące

ją z ojcem, a z kolei więzi z mamą są zbyt bliskie. Dlatego dziewczynka powinna się od niej wyprowadzić – do taty na wieś, 600 km od miasta, w którym mieszka. Lena wcześniej nie nocowała u taty. Bardzo się go boi. Panie napisały też, że tata w sytuacjach frustrujących ma kłopot z kontrolowaniem emocji i nie zawsze przewiduje skutki swoich działań. Ale często wyjeżdża ze względu na pracę, a w tym samym mieszkaniu jest babcia, która opiekuje się dorosłą niepełnosprawną córką, więc i na Lenę zerknie. Tak, w ocenie pań, będzie lepiej.

Ewę i Maćka panie z Opiniodawczego Zespołu Sądowych Specjalistów skierowały do rodziny zastępczej. Wcześniej ich rodzice przyszli do OZSS z pomysłem, żeby po rozwodzie Ewa mieszkała z mamą, a Maciek, który ma silny zespół Aspergera, z tatą. Jak tłumaczyli rodzice, tata ma większe możliwości, by zapewnić mu uwagę, bo pracuje zdalnie. Mieszkania są w odległości dwóch klatek od siebie, wszyscy codziennie się widują, w weekendy jedzą wspólne obiady. Specjaliści OZSS uznały, że skoro para chce rozdzielić rodzeństwo, jest silnie skonfliktowana



ILUSTRACJA IZA KUCHARSKA

i pobawiona kompetencji rodzicielskich. Oceńnię, że przeszłość rodziców, którzy własne dzieciństwo spędzili w domu dziecka, dodatkowo za tym przemawia. Dlatego zalecili, by odebrać dzieci.

Zespoły smutku

Opiniodawcze Zespoły Sądowych Specjalistów, działające w sądach okręgowych, mają prowadzić psychologiczne lub lekarskie badania dzieci i ich rodziców. Zleca to prokuratura albo sąd, m.in. gdy pojawiają się wątpliwości, jak podzielić opiekę po rozwodzie. Sędziowie nie muszą kierować się wnioskami OZSS, czasem biorą pod uwagę zażalenia na ich opinie, ale bywa, że przepisują do orzeczeń słowo w słowo stanowiska zespołów. Z opracowania Ministerstwa Sprawiedliwości sprzed kilku lat wynikało, że sądowe rozstrzygnięcia nawet w 80 proc. spraw są zgodne z propozycjami specjalistów.

W przeszłości takie diagnozy prowadziły Rodzinne Ośrodki Diagnostyczno-Konsultacyjne, ale w 2015 r. Trybunał Konstytucyjny stwierdził, że do wielu z nich pracownicy RODK nie mają kompetencji. RODK przemianowano więc na OZSS, a przy okazji pogorszyły się warunki pracy i samodzielność specjalistów. Rok w rok zatrudnieni psychologowie, pedagodzy i psychiatrzy odchodzą – w 2015 r. w RODK pracowało ich 670, w 2021 r. w 66 zespołach w całej Polsce zostało 487. Na badanie czeka się nawet ponad rok. – *Jakość wielu wydawanych opinii, które powinny przecież mieć za cel jak najlepsze zadbanie o dobro dziecka, wyraźnie pogarsza się w ostatnich dwóch latach: psychologowie np. podważają diagnozę autyzmu dziecka sporządzoną przez psychiatrę z uznanego na Mazowszu ośrodka. Albo po tym, jak szpital, w którym leczono dziecko po kontakcie z tatą, zawiadamia o tym organy ścigania, OZSS przypisuje matce zamiar izolacji dziecka od ojca poprzez wszczynanie spraw sądowych* – mówi Monika Mischczyszyn, psycholożka ze stowarzyszenia OPTA, działającego na rzecz rodzin w kryzysie. – *Źle przygotowane opinie, na podstawie których sądy rodzinne podejmują decyzje, to narażanie dzieci na ryzyko traumy i zaburzenia psychiczne, a w drastycznych przypadkach „wychowywanie” podopiecznych dla sądów karnych* – alarmuje.

Dr Iwona Pilchowska, która jako biegła z zakresu diagnozy psychologicznej również wydaje opinie dla sądu (bo sędziowie mogą zlecić to zadanie tzw. biegłym z listy, spoza zespołów), zwraca uwagę, że choć ogólne statystyki rozwodów są stabilne – ok. 60 tys. rocznie, to w dużych miastach

liczba pozwów rośnie. Przybywa też spraw o znęcanie się nad dziećmi. W ubiegłym roku skazań z art. 207 było ponad 3,4 tys., podczas gdy w 2018 r. – niecałe 3 tys., a w 2019 – 2,8 tys. – *To sprawia, że lawinowo przybywa też spraw do opiniowania. I przypuszczalnie przez to, że pracownicy OZSS nie nadążają, analizy bywają tworzone powierzchownie.*

Tylko w OZSS przy Sądzie Okręgowym dla Warszawy Pragi w ostatnich trzech latach wydano ponad tysiąc opinii – czyli nawet dwie na dzień. Każda wymaga przeczytania akt sądowych, kilkugodzinnego badania zazwyczaj kilkorga członków rodziny, wnikliwej analizy i dyskusji o uzyskanych wynikach. To praca na tygodnie dla dwuosobowego zespołu. A w praskim OZSS zatrudnionych jest dziewięć psycholożek i cztery pedagodżki, przy czym w ostatnich latach po trzy, cztery panie były długotrwale nieobecne z powodu urlopów macierzyńskich i zwolnień lekarskich.

Tajne przez poufne

O matce Roberta, Alinie, specjalistki OZSS napisały, że w testach prezentuje się jako osoba „zmierzająca do rozwiązania sytuacji trudnych przez modyfikację swoich postaw, potrafiąca dostosować się do zmian”. „W rzeczywistości jednak postępuje wyłącznie zgodnie z własnymi przekonaniem i potrzebami, bywa nieprzejednana” – oceniły, choć nigdy nie widziały Aliny poza budynkiem sądu. Uznały ją za „kreującą się na ofiarę przemocy domowej”, „aktywnie i celowo niszczącą więź dziecka z tatą” i zaleciły przekazanie syna pod stałą opiekę ojca. Na 16 stronach opinii nie ma ani jednej wzmianki o tym, że ojciec miał założoną Niebieską Kartę, a rodzina korzystała z pomocy dwóch fundacji. Nikt wcześniej nie podał w wątpliwość tego, że matka i syn byli ofiarami przemocy psychicznej.

W sprawie sposobu działania Opiniodawczych Zespołów Sądowych Specjalistów pod koniec ubiegłego roku zwracał się do Ministerstwa Sprawiedliwości rzecznik praw obywatelskich, przypominając przy okazji, że robili to także jego poprzednicy. Marcin Wiącek podkreślał, że obywatele wciąż zgłaszają się do Biura RPO m.in. z wątpliwościami, czy treść opinii faktycznie odpowiada przebiegowi badania. Zgodnie z przepisami nie można go nagrywać, klienci nie mają też wglądu do wyników testów, na podstawie których psychologowie i pedagodzy formułują wnioski.

O „narażeniu dobra małoletnich” z powodu nieprawidłowego funkcjonowania

zespołów alarmował nawet rzecznik praw dziecka Mikołaj Pawlak. Grupa kilku matek badanych w warszawskim OZSS dla Sądu Okręgowego Warszawa Praga napisała skargę do resortu sprawiedliwości. Podkreślały, że w sprawach, które mają bezpośredni wpływ na życie dzieci, straciły one podmiotowość. Bywa, że w opiniach umieszczane są wnioski na ich temat bez aktualnego badania, na podstawie danych zebranych kilka lat wcześniej. „Żaden lekarz nie postawiłby diagnozy na podstawie opinii o pacjencie sprzed dwóch lat” – argumentują kobiety.

– *Badanie w formie prowadzonej w OZSS – zazwyczaj jednorazowego spotkania trwającego kilka godzin – pozwala zaobserwować tylko próbkę zachowania. Nie sposób uchwycić dynamiki rodziny, jej konfliktu* – podkreśla dr Iwona Pilchowska. Z drugiej strony na rynku jest szeroka oferta usług przygotowawczych do badania. Za jedyne 249 zł można nabyć w internecie e-book pomagający dobrze wypaść, a w nim „168 stron wiedzy teoretycznej oraz praktycznej do wykorzystania przed i podczas badania OZSS”, z omówieniem zadawanych pytań. – *Nawet jeśli ktoś z rodziców stosuje przemoc, często jest w stanie skontrolować się i zapanować nad swoim zachowaniem w trakcie badania OZSS. I przejdzie sito* – ocenia psycholożka.

Powstrzymać alienację

Jednocześnie organizacje działające na rzecz kobiet zwracają uwagę, że w polskich sądach i opiniach biegłych zastanawiająco dobrze ma się koncepcja „alienacji rodzicielskiej” (stworzona przez psychiatrę Richarda Gardnera, który zasłynął m.in. wyrozumiałością wobec pedofilów). Jest ona z grubsza definiowana jako forma przemocy psychicznej polegająca na nastawianiu dziecka negatywnie wobec jednego rodzica – w domyśle: częściej ojca – przez drugiego rodzica, częściej matkę. Skutkiem mają być zaburzenia w rozwoju relacji i ogólnym rozwoju emocjonalnym. Teoria tych zależności została zakwestionowana m.in. przez Amerykańskie Stowarzyszenie Psychologów jako niepoparta naukowo, za to poręczna do uzyskania korzystnych rozstrzygnięć sądowych dla sprawców przemocy.

– *Z jej pomocą uzasadnia się, że dziecko za wszelką cenę musi mieć kontakt z ojcem, nawet jeśli jest on agresywny, oraz że akty przemocy ojca są winą matki. Było to spójne z podejściem resortu sprawiedliwości pod rządami Zbigniewa Ziobry,* ►

► *który na różne sposoby starał się utrudniać rozwody i wychodzenie kobiet z relacji zagrażających życiu i zdrowiu* – ocenia Agata Didusko-Zyglewska, warszawska radna i działaczka społeczna. Grupa Ekspertów Rady Europy ds. Przeciwdziałania Przemocy wobec Kobiet i Przemocy Domowej (GREVIO) dwa lata temu wezwała Polskę do podjęcia wszelkich kroków, aby m.in. w sądownictwie powstrzymywano się od używania koncepcji „alienacji rodzicielskiej” lub równoważnych. Praktyka jednak się nie zmienia.

O frustracji sposobem działania OZSS od dawna mówili też ojcowie w trakcie rozwodów. Oni z kolei wyczuwali w zespołach – mocno sfeminizowanych – stronnictwo na kanwie solidarności płci i stereotypów. W rzeczywistości według danych GUS za 2022 r. w ponad 70 proc. spraw rozwodowych sąd orzekł, że rozwiedzeni rodzice mają wychowywać dzieci wspólnie, w co czwartej sprawie przyznał opiekę wyłącznie matce (w 2000 r. tak było w dwóch trzecich rodzin), a wyłącznie ojcu – w 3 proc. Ostatecznie jednak i matki, i ojcowie często nie rozumieją ani przebiegu badania (chyba że naczytali się internetowych poradników), ani wyciągniętych wniosków.

Nie ma czego zarzucić

Badanie ojca Leny, który w przeszłości leczył się z choroby alkoholowej, pod kątem aktualnych nałogów odbyło się zdalnie. Psychiatra OZSS w funkcjonowaniu mężczyzny nie dopatrzył się nieprawidłowości. Podczas przesłuchania na sali sądowej przyznał jednak, że nie może na sto procent powiedzieć, czy badany jest uzależniony czy nie, bo formuła rozmowy online na to nie pozwala. Opinię, że nie jest, wydał więc na podstawie oświadczenia badanego.

Dariusz Kustra i Sławomir Lasek z OZSS przy Sądzie Okręgowym w Kielcach w artykule na łamach pisma „Dziecko krzywdzone” oceniają, że wiele osób podważających stosowane w zespołach metody badań oczekiwałoby po prostu używania testów, które zgodnie z ich wizją oddadzą obraz byłego partnera czy potrzeb dziecka. Autorzy przeanalizowali zastrzeżenia zgłoszone do 80 opinii wydanych przez OZSS w Kielcach, czyli do 20 proc. wszystkich opinii. Zdaniem Kustry i Laska krytycy najczęściej formułują niekonkretne i ogólnikowe zarzuty. Matki – a także ojcowie – odpowiadają, że często nie potrafią odnieść się do opinii konkretnie, właśnie dlatego, że – jak wspomniano – nie mają dostępu do danych, na podstawie których powstała.

Rzecznik praw obywatelskich zaproponował możliwość nagrywania badań. Psychologowie uznają to jednak za pomysł, z którego mogłoby wynikać więcej szkód niż pożytku. Ale już dostęp badanych do wyników własnych testów budzi mniej kontrowersji, a jeszcze mniej to, że odniesienia do tych wyników powinny znaleźć się w opiniach. – *Opinia powinna być wystandardyzowana i uporządkowana, z wyraźnym wskazaniem, jaki materiał z akt został wzięty pod uwagę, jakie zastosowano narzędzia, z informacją, skąd pochodzą wnioski. Dziś, niestety, bywa, że te pisma nijak się mają do standardów. Przypominają raczej donosy na jedną ze stron niż przejrzyste raporty dla sędziów* – podkreśla Monika Miszczyszyn.

Diagnosty dodają, że opinie, które potrafią zmienić bieg całego życia rodziny, a zwłaszcza dziecka, powinny być weryfikowane przez zewnętrznych biegłych. Dziś formalnie każdą z nich musi zaakceptować kierownik OZSS. Tylko że często tym kierownikiem jest pedagog, a nie psycholog.

Urzednicy Ministerstwa Sprawiedliwości, odpowiadając na wystąpienie RPO, wyliczyli, że w latach 2020–22 do resortu wpłynęło łącznie 119 skarg na działanie OZSS (można uznać, że niewiele, zważywszy, że opinii wydano tysiące). Na OZSS przy Sądzie Okręgowym dla Warszawy Pragi skarg było 19 – zostały rozpatrzone negatywnie, poza jedną. Skargi zbiorowej matek resort sprawiedliwości nie uwzględnił.

Pracownicy OZSS oczywiście działają w ogniu katastrof i zazwyczaj przynajmniej jeden z rodziców jest niezadowolony z ich opinii. „Często cenienni i doświadczeni specjaliści rezygnują z pracy, znajdując sobie lepiej płatne i mniej obciążające zajęcia” – przyznają Marta Jarząbek-Słobodzian z Sądu Rejonowego w Cieszynie i Anna Szczyrek-Bizoń z OZSS w Bielsku-Białej w artykule na łamach „Dziecka krzywdzonego”. Patrząc na to, ile znaczą przygotowywane diagnozy, sformułowane przez resort sprawiedliwości kryteria dopuszczenia nowych adeptów do tzw. konkursów na stanowiska w zespołach są, delikatnie mówiąc, liberalne. Wystarczy dyplom i trzyletnie doświadczenie w pracy. Jednocześnie zarobki specjalistów, również określone przez ministra sprawiedliwości, mieszczą się w widełkach od 2,7 tys. zł (tak, pensja minimalna!) do 5,85 tys. zł na rękę.

W OZSS dla SO Warszawa Praga od miesięcy odświeżają się coraz to nowe ogłoszenia o poszukiwaniu specjalistów

psychologii. Aktualnie do obsadzenia jest pięć etatów. We wcześniejszych latach do konkursów zazwyczaj stawała jedna osoba albo nikt (pedagogów znaleźć nieco łatwiej). Ci, którzy w OZSS wciąż pracują, nieraz równolegle prowadzą gabinety prywatne, co pozwala pokryć koszty życia. Ale otwiera też furtkę dostępu dla klientów, których sytuacja prędej czy później w zespole może być diagnozowana.

Rozmówcy POLITYKI proszą, żeby zaznaczyć, że w Opiniodawczych Zespołach Sądowych Specjalistów pracują także rzetelni fachowcy. Wielu z tych, którzy pracują źle, mogłoby to poprawić, gdyby było więcej czasu, porządne szkolenia i mniej frustrujące pensje. Ale są również ludzie, którzy po prostu krzywdzą dzieci.

Żeby ich łatwiej odsiać, trzeba stworzyć jasne i skuteczne procedury określające, jak powinni pracować specjaliści i jak sprawdzać, czy robią to dobrze. Choć zadań przed przyszłymi władzami i rzecznikiem praw dziecka jest ogrom, to musi się znaleźć w czołówce listy priorytetów. Bo w ostatnich latach o losach doświadczonych przez życie dzieci mogą rozstrzygać specjaliści, którzy na serio traktują ich dobro, ale mogą też osoby, które po raz kolejny dołożą im cierpienia. Zależy to głównie od tego, czy tym razem do dziecka uśmiechnie się szczęście.

Śmiech i płacz

Opinię w sprawie Ewy i jej brata Maćka, których OZSS zalecił przekazać do rodziny zastępczej, sąd w całości oddalił po lekturze opinii zewnętrznego biegłego. Biegły przeprowadził serię testów mierzących kompetencje rodzicielskie ojca i matki dzieci (na co w OZSS zabrakło czasu) i okazało się, że u obojga rodziców są duże. Ponadto ojciec przedstawił teczkę pełną zaświadczeń o zrealizowanych szkoleniach dla rodzica dziecka ze spektrum. Faktycznie ojciec z synem i matka z córką mieszkają w tym samym bloku, razem chodzą na większe zakupy. W weekendy jedzą wspólne obiady.

W sprawie Leny sąd na podstawie opinii OZSS uznał, że matka dziewczynki ma dobre umiejętności opiekuńcze. Mała jest zadbana, towarzyska i dobrze się uczy. Ale emocjonalną krzywdą jest brak kontaktu z tatą. Właśnie dlatego Lena, która nie widziała się z ojcem przez rok, a gdy wcześniej do niej przyjeżdżał, ze strachu płakała, ma się do niego przeprowadzić. 600 km, na wieś. Matkę dziewczynki pozbawiono władzy rodzicielskiej. Sąd uzasadnił, że ograniczy to okazje do konfliktu.

JOANNA CIEŚLA



Czarna seria

Polska jest krajem bezpiecznym, a policja cieszy się zaufaniem obywateli – tymi słowami gen. insp. Jarosław Szymczyk, komendant główny policji, pożegnał się ze swoimi podwładnymi. Wygląda na to, że nie mówił prawdy.

KATARZYNA KACZOROWSKA

Komendant rezygnację złożył niecały tydzień po tragicznej śmierci dwóch funkcjonariuszy zamordowanych we Wrocławiu. I równie tragicznej śmierci 14-letniej dziewczynki, której zaginięcie ojciec zgłosił na komisariacie w Andrychowie.

Szef wszystkich polskich policjantów pożegnał się ze stanowiskiem w czwartek 7 grudnia. O tym, że zamierza odejść, wiadomo było nieoficjalnie już tydzień po ostatnich wyborach parlamentarnych. 23 października Szymczyk zwołał niejawną spotkanie w Komendzie Głównej Policji, na które przyjechali komendanci wojewódzcy z całego kraju. Zapowiedział swoje odejście na emeryturę i zaproponował podwładnym, że mogą skorzystać z tego samego rozwiązania. Komendanci wojewódzcy, ich zastępcy i inni funkcyjni funkcjonariusze mieli dostać wyższe

dotatki do pensji zasadniczej, a to oznacza wyższe emerytury. Na 17 komendantów chęć pójścia w ślady generała zgłosiło 15. Na kilka dni przed oficjalnym pożegnaniem Szymczyka polską policją, a przede wszystkim polskim społeczeństwem, wstrząsnęło kilka wydarzeń, które każą postawić pytania o kondycję tej służby.

Strzały z przyłożenia

Maksymilian F., poszukiwany do odbycia półrocznej kary więzienia za drobne oszustwa. Zameldowany na osiedlu Nowy Dwór we Wrocławiu. Zatrzymany 1 grudnia ok. godz. 18.40 na ulicy Wrocławskiej w Kielczowie, jednym z osiedli przyległych do stolicy Dolnego Śląska. Policjanci, którzy dokonali tego zatrzymania, to st. asp. Łukasz K. i mł. asp. Michał K. Obaj z komisariatu Wrocław Fabryczna przy ul. Połbina. Zgodnie z procedurą przewieźli F. do swojej macierzystej jednostki. Do mediów trafiło zdjęcie, na którym mężczyzna stoi na korytarzu oparty

o ścianę. Jest ubrany w lekko rozchyłoną zimową kurtkę.

Z komisariatu F. miał zostać przewieziony do wybudowanej kilka lat temu dla Wrocławia Krzyki nowej komendy przy ul. Ślężnej. Wieźli go dwaj funkcjonariusze z wieloletnim stażem w policji – asp. szt. Daniel Łuczyński i asp. szt. Ireneusz Michałak. Na miejsce nie dojechali. Ok. godz. 22 Maksymilian F. strzelił do obu. Do jednego z przyłożenia w głowę, kula trafiła w pień mózgu. Drugi funkcjonariusz został trafiony w oko.

Samochód z rannymi policjantami zauważył przypadkowy kierowca, któremu auto zablokowało przejazd ulicą. To on wezwał na miejsce policję i pogotowie ratunkowe. Jak ustalił Onet, przyjechał m.in. zastępca komendanta miejskiego policji we Wrocławiu, mł. insp. Sławomir Wołk. Decyzji o rozpoczęciu poszukiwań zbiegłego z miejsca zdarzenia Maksymiliana F. nie podjęto jednak od razu. Komendant miał z nią czekać na przyjazd naczelnika wydziału ►

► dochodzeniowo-śledczego podinsp. Leszka Arendarczyka, co dało F. blisko godzinę przeważając nad policją.

Kiedy decyzję o obławie podjęto, do wrocławian rozesłano Alert RCB. Uciekiniera złapano ok. 9 rano w sobotę. Miał przy sobie telefon, replikę XIX-wiecznego rewolweru czarnoprochowego i woreczek z nabojami. Informacje o tragedii na Sudeckiej docierały do mediów falami, mnożąc coraz więcej pytań o okoliczności tragicznego zdarzenia. Rzecznik wrocławskiej policji zapewniał, że F. był skuty kajdankami, ale szybko pojawiły się spekulacje, że mógł ukryć broń w aucie, którym go przewożono. Nie mógłby jednak tego zrobić w kajdankach. Poza tym na monitoringu ogrodu zoologicznego, gdzie ukrywał się w nocy z 1 na 2 grudnia, widać go bez kajdanek na rękach.

W poniedziałek obaj postrzeleni funkcjonariusze zmarli. W środę „Rzeczpospolita” poinformowała, że F. na komisariacie przy Połbina został przeszukany „do majtek”, co błyskawicznie skontrolowali sami policjanci – na korytarzach komendy nikt takich przeszukiwać nie robi. Tego samego dnia Onet i „Gazeta Wyborcza” ujawniły, że F. został zatrzymany z bronią. Miał ją w kaburze, pod pachą. Tę broń widać też na zdjęciu z jego zatrzymania, które sama policja rozesłała do mediów w sobotę po zakończeniu obławy. Trzymają ją w dłoni funkcjonariusz pochylony nad F. leżącym na śniegu.

Bezwład i brak wyobraźni

Policjant X nie zgadza się na rozmowę przez telefon. Może się spotkać w centrum miasta. Mo nie zgadza się na nagrywanie rozmowy.

– *Procedura jest taka: zatrzymanego skuwa się kajdankami do tyłu, przesuwa. Przywozi do swojej macierzystej jednostki, tam jest przeszukiwany kolejny raz. Wypełnia się wszystkie dokumenty. Protokół zatrzymania, protokół przeszukania. I odstawia człowieka do izby zatrzymań, gdzie też powinien zostać przeszukany. Jeśli w tym przypadku protokół przeszukania jest, to znaczy, że został sfalszowany, bo inaczej F. nie mógłby mieć przy sobie broni. Znalaziono ją od razu po zatrzymaniu. Wystarczyło go dobrze oklepać – mówi X, dodając po chwili, że jego kolegów z komisariatu zabiło zaufanie. Bo zafalali dwóm innym, którzy F. przywieźli, że go przeszukali.*

Jak mówi X, Łukasz K. i Michał K. w wydziale kryminalnym byli od roku. Michał K. jeszcze rok temu był dzielnicowym i przybliżał dzieciom w szkołach tajniki pracy policji. Łukasz K. pracował

Ostatnie osiem lat to katastrofa. Upolityczniono policję w sposób niewyobraźalny.



w prewencji. Jego profil na Facebooku jest pełen rasistowskich, homofobicznych i antysemitycznych wpisów. – *Szeryfowie, niemający pojęcia o pracy kryminalnych. Dostali cynk, gdzie jest F., pojechali po drobnego oszusta i nawet go nie przeszukali, bo po co? – mówi X. Z każdego zdania X wyciera rozgoryczenie. Komputer w komisariacie jest jego prywatny. Pieniądzy nie ma na nic. – Jak komendant zaoszczędzi na nas, dostaje premię za wyniki – mówi X. I wyjaśnia wiele wątpliwości dotyczących okoliczności zdarzenia z piątku 1 grudnia na sobotę 2 grudnia.*

F. nie mógł zostać w komisariacie przy Połbina, bo nie ma tam izby zatrzymań. Ta, do której we Wrocławiu powinni trafiać zatrzymani, od kilku miesięcy jest w remoncie. Więc wozi się wszystkich do komendy na Ślężną. Jeśli jest miejsce. – *Bo jeśli nie ma, to zdarza się, że w środku nocy trzeba jechać z Wrocławia do Zgorzelca, pod niemiecką granicę. To ponad dwie godziny w jedną stronę – opowiada X.*

5 grudnia, dzień po śmierci postrzelonych policjantów, andrychowska policja poinformowała o zakończonej sukcesem akcji poszukiwania zaginionej 17-latki. Na komisariat zgłosiła się mama. Córka wyszła z domu bez telefonu, ubrana nieodpowiednio do mroźnej pogody. Dyżurny nie tylko zawiadomił przełożonego o wszczęciu poszukiwań, ale też rozesłał po mieście patrole, przewodnika z psem, wysłał informacje do strażaków i mediów. Wraz ze zdjęciem nastolatki. Dziewczyna się odnalazła. I to w ciągu godziny. Służby zawiadomił człowiek, który w autobusie usłyszał ją chwającą się, że właśnie uciekła z domu. Dyżurna odbierająca nr 112 przekazała policji nazwę przystanku, na którym wysiadła nastolatka.

Takie szybkie i zgodne ze standardami postępowanie to efekt tego, co się wydarzyło w Andrychowie 28 listopada. Jadąca do szkoły 14-letnia Natalia zadzwoniła do taty, że coś się z nią dzieje, robi jej się słabo i nie wie, gdzie jest. Była godz. 8.15. Prerażony ojciec przed godz. 9 zadzwonił na numer alarmowy 112, pytał, czy ktoś zgłosił wypadek z udziałem dziecka. Dzwonił do szkoły, do szpitali,

a po 9.30 na komisariat, na którym stawili się osobiście o 10 rano. Przez blisko trzy godziny czekał na jakiegokolwiek działania policjantów, prosząc ich, by przyjęli zawiadomienie o zaginięciu Natalii i namierzili telefon córki. O 12.36 policjanci wysłali ojca dziewczynki do domu po jej ubrania – dla psa tropiącego. Po 13 zamieścili w sieci komunikat o zaginięciu dziecka, ale szybko go zdjęto. Natalię znalazł przyjaciel rodziny. Nieprzytomną, leżącą na śniegu przy centrum handlowym. 500 m od komisariatu, gdzie jej ojciec prosił o rozpoczęcie poszukiwań dziewczynki.

Dziecko było skrajnie wychłodzone. Zmarło w szpitalu, a sekcja zwłok wykazała, że przyczyną był pęknięty krwirik mózgu i krwotok. Po ujawnieniu sprawy policja przekazywała, że dochowano wszystkich procedur, ale szybko się okazało, że zaginięcie Natalii zakwalifikowano jako tzw. zaginięcie opiekuńcze, czyli ucieczkę z domu lub poprawczaka. 5 grudnia przekazano, że komendant wojewódzkiej policji w Krakowie wszczął postępowanie dyscyplinarne wobec policjantów z Andrychowa. Śledztwo w sprawie nieumyślnego spowodowania śmierci 14-latki wszczęła Prokuratura Rejonowa w Wadowicach, zostało przejęte przez Prokuraturę Okręgową w Krakowie.

Biją i czasem zabijają

Wojciech Kasprzyk, radca prawny z Bolesławca, reprezentuje rodziny Bartka Sokołowskiego z Lubina i Łukasza Łągiewki z Wrocławia, którzy zmarli w wyniku policyjnych interwencji. Pytany o kondycję policji mówi wprost: – *Katastrofa. I tych spraw z policjantami przybywa. Z całej Polski.*

Ta najnowsza to szokująca historia 31-letniej Malwiny ze Świdnicy, która po zatrzymaniu i przewiezieniu do policyjnej izby zatrzymań we Wrocławiu została w niej znaleziona na drugi dzień martwa. Nikt nie powiadomił rodziny o jej śmierci. Policja zrzuciła odpowiedzialność na prokuraturę, ale zarówno prokuratura, jak i przepisy mówią jasno – to zadanie mundurowych. Rodzina Malwiny i reprezentujący ją prawnik twierdzą, że kobieta została pobita. Biegły stwierdził ponad 50 obrażeń na jej ciele.

Malwina w maju 2023 r. została zatrzymana w Biedronce podczas usiłowania kradzieży. Na monitoringu ze sklepu widać, jak towarzyszący jej mężczyzna wypycha jej pod bluzkę butelkę wódki. Ochrona wezwała policję.

– *A ta powiedziała: „zamieniono pani karę prac społecznych na karę pozbawienia wolności 5 miesięcy”. Zabierają ją,*

W Polsce jest ponad 13 tys. wakatów w policji, a w samej Warszawie ok. 2 tys.



a kamera wszystko nagrywa. Dziewczyna nie ma żadnych siniaków na twarzy i ciele. Świdniccy policjanci przekazują siostrze Malwinę, że ta została przewieziona do Wrocławia, i informują, że rodzina może ją odwiedzić za miesiąc, bo taka jest procedura – opowiada Wojciech Kasprzyk.

We Wrocławiu Malwina zgłosiła policjantom, że ma zapalenie trzustki i chyba jest w ciąży. Policja twierdzi, że zawiozła ją na SOR, a tam lekarz podpisał dokumenty, że może zostać zatrzymana w celi.

– To ja pytam, jak to możliwe, że 31-letnia kobieta umiera w celi na serce, a prokuratura nie zabezpiecza monitoringu z Biedronki? Zabezpieczyła tylko ten z pomieszczenia, gdzie leżała Malwina, ale na mój wniosek o wydanie płyty z nagraniem prokurator do dzisiaj mi nie odpowiedział – mówi Kasprzyk. Nie kryje, że kiedy rodzina po miesiącu, zgodnie z wytycznymi, jakie usłyszała na komendzie w Świdnicy, przyjechała do Wrocławia, do Zakładu Karnego przy Kleczkowskiej, przeżyła szok. Bo najpierw się dowiedziała, że Malwiny w ogóle tam nie ma i nigdy tam nie trafiła, a potem, kiedy jej matka poszła zgłosić zaginięcie córki, okazało się, że ta nie żyje, i zmarła, będąc de facto pod opieką policjantów.

Kasprzyk do tej pory złożył w tej sprawie 14 wniosków dowodowych, również o przesłuchanie lekarza, który badał Malwinę i podpisał zgodę na jej zamknięcie. – Prokurator nawet nie wystąpił o dokumenty medyczne ze szpitala, a nagrania z Biedronki zabezpieczył kierownik sklepu i wystąpiła o nie rodzina zmarłej. Najnowsza wersja policji jest taka, że Malwina była bezdomna i dlatego nie zawiadomili rodziny o jej śmierci. To, jak rozumiem, bezdomny nie ma matki, ojca, brata, siostry? – irytuje się Kasprzyk. I od razu dodaje, że w swojej pracy obserwuje dramat proceduralny i brak znajomości zasad stosowania środków przymusu bezpośredniego oraz postępowania w śledztwie.

– Ale mogę mówić też o szokujących zachowaniach. Komendantka policji w Lubinie zapowiadała w mediach społecznościowych, że da nagrody policjantom, którzy zatrzymali Bartka Sokołowskiego, bo są najlepsi na świecie. Podczas przesłuchania w prokuraturze policjanta uczestniczącego w interwencji, która zakończyła się śmiercią Łukasza Łagiewki, facet w mundurze bawił się przede mną bronią i puszczał oko z cynicznym uśmiechem. Zapytałem prokurator, czy też to widzi. Udawała, że niczego nie dostrzega – Kasprzyk zdradza też, że ten sam funkcjonariusz wysyłał esemesy na prywatny telefon siostry zmarłego Łukasza,

Wiktorii, studentki prawa na Uniwersytecie Wrocławskim. Z propozycjami randki... – Skąd miał jej prywatny numer, którego mu nie podawała? – pyta Kasprzyk. I wymienia kolejne sprawy.

To śmierć mężczyzny podczas interwencji w Płocku, gdzie policjanci spałowali go pałkami teleskopowymi, przyciskali na schodach głową w dół, leżąc na nim 40 minut. Wszystko nagrały kamery nasobne na ich mundurach. To sprawa z Gdańska, chłopaka, który na święta przyjechał do rodziny z Norwegii i na trasie zabrakło mu paliwa. Kiedy podszedł do dystrybutora z plastikowym kanistrem na paliwo, podjechał do niego radiowóz. Wysiedli z niego młodzi policjanci – kobieta i mężczyzna. Na zabezpieczonym monitoringu widać, że jest jakaś wymiana zdań, szarpanina. Funkcjonariusze przewracają mężczyznę na ziemię i biją go pałkami teleskopowymi. Nie przeżył.

A gdyby to było twoje dziecko?

Marcin „Miksza” Borys, były policjant Centralnego Biura Śledczego Policji, pierwszy poinformował o postrzelonych policjantach we Wrocławiu. Na platformie X, dawniej Twitter. Dzisiaj emocjonalnie mówi, że zawsze sercem jest za policją, że w takich tragicznych chwilach zadaje sobie pytanie, gdzie był Bóg, czy nie widział, że jeden z zastrzelonych kilka lat temu stracił żonę, która przegrała walkę z nowotworem, i sam wychowywał dwójkę dzieci, a drugi zostawił żonę, która już jednego męża pochowała. Też policjanta.

Ale też Borys nie gryzie się w język. O sprawie z Andrychowa mówił wprost, że tu nie powinno być postępowania dyscyplinarnego, ale zarzuty, a kiedy odebrał telefon od wysoko postawionego oficera Komendy Głównej z pretensjami, że krytykuje służbę w mediach, zapytał go bez wahania: „Co ty byś zrobił, gdyby to było twoje dziecko? Czego oczekiwałbyś od policji?”

– W policji są świetni ludzie i mniej świetni. Są tacy, dla których służba to całe życie, i tacy, dla których to tylko kariera.

Ale te ostatnie osiem lat to katastrofa. Upolityczniono policję w sposób niewyobrażalny. Kiedy prawica przejęła władzę, wymieniono wszystkich komendantów, posadzano znajomych, ludzi z polecenia. Czy to jest normalne, że w powiatowej komendzie wylatuje z roboty gliniarz, który wystawił mandat politykowi prawicy za złamanie przepisów? To jest demoralizujące, podobnie jak te ucieczki na emeryturę, najpierw komendanta głównego, a za nim niemalże wszystkich wojewódzkich – mówi Borys. I dodaje, że obecnie w policji dominują młodzi funkcjonariusze ze stażem pracy nieprzekraczającym 10 lat. Osiem z nich przypada na rządy zjednoczonej prawicy, uliczne protesty KOD, Strajku Kobiet, zgodę na zatrzymanie aktywistów, używanie przemocy podczas rozbijania demonstracji.

– Policja jest na ulicach miast, ale jest też na granicy. Wszędzie. A jednocześnie jest traktowana po macoszemu. O wszystko zawsze musiała żebrać. O podwyżki, meble do pokoi, komputery, papiery do drukarki. Ludzi trzyma tylko adrenalina, aż się nie zorientują, że emerytury będą mieli marne, bo marnie zarabiają. I wtedy uciekają z policji. Do wojska, do ochrony. Dlaczego nie mówi się o rekordowej liczbie samobójstw wśród policjantów? Już samo to powinno wszystkich zmusić do myślenia – podkreśla Borys. I dodaje, że minister Mariusz Kamiński chwalił się tym, że otwierane są komisariaty, które za PO były zamykane. – Tylko że nikt nie mówi o tym, że te komisariaty są zamknięte, bo nie ma ludzi do pracy.

W kraju jest ponad 13 tys. wakatów w policji, a w samej Warszawie ok. 2 tys. Biuro prasowe Wojewódzkiej Komendy Policji we Wrocławiu, na pytania dotyczące okoliczności śmierci dwóch funkcjonariuszy, odpowiedziało: „udzielenie na większość z nich odpowiedzi nie jest obecnie możliwe, m.in. z uwagi na prowadzone śledztwo przez Dolnośląski Zamięscowy Wydział Prokuratury Krajowej we Wrocławiu oraz fakt, że nie zakończyły się jeszcze czynności realizowane przez powołany decyzją Komendanta Wojewódzkiego Policji we Wrocławiu specjalny zespół składający się z najbardziej doświadczonych dolnośląskich policjantów, zadaniem którego jest kompleksowe i szczegółowe odtworzenie przebiegu czynności realizowanych przez policjantów w dniu 1 grudnia 2023 roku oraz wyjaśnienie ich okoliczności. Mając powyższe na uwadze, kompleksowe udzielenie Pani informacji będzie możliwe po zakończeniu prac wymienionego wyżej zespołu i uzyskaniu zgody prokuratury”.

KATARZYNA KACZOROWSKA

Życie na kredycie

O **Michale Wiśniewskim** znów się mówi. Najpierw głośno było o jego rozrzutnym życiu, a teraz o tym, jak za takie życie płacił. Sąd właśnie skazał go na 1,5 roku więzienia za oszustwo, gdy przed laty wziął 2,8 mln zł pożyczki ze SKOK Wołomin.

VIOLETTA KRASNOWSKA

Michał Wiśniewski w czasach świetności zespołu Ich Troje zarobił sporą fortunę. On sam szacuje, że 35 mln zł. „Graliśmy tyle koncertów, że nie wiadomo było, jak tę kasę nosić. Masz 100 tys. za koncert, jedziesz w trasę – 180 koncertów...” – mówił w wywiadzie dla Weszło.com. Zapytany o to, czy łatwo przyszło mu wydanie tych milionów, odparł: „No pewnie, że to jest łatwe. A jak myślicie? Policzmy. Te 35 mln zarobiłem przez 10 lat. Wychodzi po 3,5 mln rocznie. I co roku kupujesz sobie samochód za bankę, a koledze dajesz poprzedni. No to ile masz już baniek? 2,5”. I dalej: „To idzie oczywiście na głupoty, no bo na co możesz stracić takie pieniądze? Tu kupisz samochód, tu samolot, tam apartamenty w Tajlandii. W Tajlandii jeszcze nie jest tak drogo, ale zastanówcie się, ile kosztuje apartament w Warszawie”.

Wiśniewski chwalił się piękną rezydencją pod Warszawą, wycenianą przed laty na ok. 5 mln zł. Kupował też lokale m.in. na „prominenckim” osiedlu przy ul. Łuckiej w Warszawie, inwestował w nieruchomości, jak się później okazało, za bankowe kredyty. W sumie – wyliczył później skrupulatnie sąd – na dzień 14 września 2006 r. Michał Wiśniewski był zadłużony na prawie 3,5 mln zł.

I to wtedy pojawiła się propozycja wzięcia jeszcze pożyczki ze SKOK Wołomin, co okaże się brzemiennie w skutkach. Z taką ofertą przyszedł do Michała



Wiśniewskiego Jan L. w klubie Extravaganza w Warszawie, który piosenkarz odwiedził. Jan L. to biznesmen uważany za jednego z ojców polskiej mafii, jej zaplecze biznesowo-inwestycyjne, człowiek wiązany z Piotrem P., byłym oficerem WSI, uznawanym dziś za mózg afery SKOK Wołomin, związanej z wyprowadzeniem z niego w sumie 3 mld zł. W tej sprawie Jan L. został aresztowany pod zarzutem pośrednictwa w kontaktach między zarządem SKOK a naganiaczami „słupów”, którzy brali na siebie pożyczki.

Ale wtedy Jan L. był jednym z dwóch udziałowców spółki Pure, która prowadziła klub Extravaganza. Zaproponowali Wiśniewskiemu sprzedaż swoich udziałów, żeby przejął klub. Jan L. powiedział, że najprostszym sposobem sfinansowania transakcji będzie pożyczka ze SKOK Wołomin, a z tym nie będzie problemu, bo doskonale zna jego prezesa Mariusza G.

Pożyczka w gabinecie prezesa

7 listopada 2006 r. Michał Wiśniewski za swoją świeżo poślubioną żoną Anną, wokalistką zespołu Ich Troje, zostali przyjęci od razu w gabinecie samego prezesa. Te szczegóły wizyty odtworzył prokurator Michał Chałubiński z pionu przestępczości gospodarczej Prokuratury Okręgowej Warszawa-Praga. To tam w 2011 r. ruszyło pierwsze śledztwo dotyczące nieprawidłowości w SKOK Wołomin, które później zostało przekazane do prokuratury w Gorzowie, gdzie toczy się do dziś. Prokuratura praska zaś nadal rozlicza każdą dużą (na milion złotych i więcej) niespłaconą pożyczkę zaciągniętą na nierzetelnych dokumentach, czyli tzw. wątek wyłudzeń. Są już oskarżenia rzeczoznawcy, notariusz, 415 kredytobiorców i kolejnych 560 z postawionymi już zarzutami. – *Analizowaliśmy wszystkie kredyty niezwrócone i tak trafiliśmy na pana Michała Wiśniewskiego* – mówi prokurator.

W gabinecie oprócz prezesa G. był Piotr P. Wiśniewski chciał pożyczyc 2,8 mln zł. Prezes wezwał wiceprezes Joannę P. i to ona osobiście wypełniała kwestionariusz pożyczkowy, wpisując dane, które podawał jej artysta. I tak podał, a ona zapisała, że osiągał średni dochód w poprzednim roku w wysokości 125 tys. zł miesięcznie. Dołączył też, poza licznymi zabezpieczeniami, zaświadczenie, że jego żona Anna, która miała być poręczycielką, zarabia 20 tys. miesięcznie. W śledztwie kobieta zaprzeczyła, zeznając, że po ślubie nie osiągała żadnych dochodów. Grała razem koncerty, ale nie było osobnych

rozliczeń, nie miała własnych pieniędzy, gdy chciała iść na zakupy, to pieniądze dawał jej mąż.

To jeden z wielu dowodów – jak mówi prokurator Chałubiński – na to, że to było oszustwo kredytowe – przedłożenie nierzetelnych, poświadczających nieprawdę dokumentów, by dostać kredyt, zagrożone jest karą do pięciu lat więzienia. Prokurator wykazywał też, że i te 125 tys. dochodu jest wzięte z sufitu.

Michał Wiśniewski zaprzeczał. Twierdził, że pomylił dochód z przychodem, innym razem, że niewiele pamięta, sugerując, że nie był trzeźwy. I to weryfikowano i potwierdzono: fakt, alkohol u prezesa SKOK Wołomin był. Przesłuchiwany prezes G. przyznał, że „z panem Wiśniewskim spożywałem w późniejszym czasie alkohol, ale nie przypominam sobie jednak tej sytuacji gorszej percepcji na etapie składania wniosku”. Wiceprezes Joanna P., zaznaczając, że z artystą miała tylko kontakty oficjalne, zeznała, że „pan Michał na pewno był osobą, która imprezowała z prezesem G. w jego gabinecie, ale jeśli miałabym to podzielić, to część oficjalna była na trzeźwo, a co później panowie robili...”.

20 listopada 2006 r. Wiśniewski dostał 2,8 mln zł, do spłaty w 56 ratach, czyli ok. 68 tys. zł miesięcznie. SKOK od razu pobrał swoją prowizję: 126 tys. zł plus 14 tys. zł opłaty za rozpatrzenie wniosku i przygotowanie umowy.

Spłacają żony i bandyci

Na co poszedł ten kredyt? Michał Wiśniewski mówi, że na klub. Przeanalizowano dalszą drogę pieniędzy. W dniu otrzymania pożyczki Wiśniewski wypłacił 1,5 mln zł gotówką. Zapłacił z tego 750 tys. zł za udziały w spółce Pure (i jeszcze notarialnie zobowiązał się do dopłaty 500 tys. zł, ale później). A potem na sam klub – wynika z analiz prokuratury – poszło ok. 150–250 tys. zł, głównie na zakup stołów do pokera i ruletki.

Reszta pieniędzy znalazła się zaś na kontach firm Michała Wiśniewskiego. M.in. 359 tys. zł, które w ciągu kilku miesięcy rozeszły się przez wypłaty z bankomatów, wypłatę 100 tys. zł w gotówce i kilkukrotne spłaty karty kredytowej.

Przez cztery lata od wzięcia pożyczki Wiśniewski nie spłacił z niej ani złotówki.

Nawet gdy klub jeszcze przynosił dochód, bo niedługo padł. Dopiero na początku 2008 r., a więc dwa lata od wzięcia przez Wiśniewskiego kredytu, jego żona Anna zrobiła wpłaty na 211 tys. zł. Ale, na co zwrócił później uwagę sąd w wyroku, środki te pochodziły z kolejnej pożyczki

– w wysokości 240 tys. zł – w SKOK Wołomin. Tym razem wzięła ją Anna, dając jako zabezpieczenie własne mieszkanie. Które ostatecznie musiała sprzedać, żeby w 2016 r. spłacić tę pożyczkę na żądanie syndyka SKOK.

Potem znowu zaległa cisza. W 2010 r. Michał Wiśniewski dokonał siedmiu wpłat na prawie 400 tys. zł. I znów przestał płacić. I – co zaskakujące – w 2011 r. jego kredyt zaczął spłacać Piotr S. To kolejny członek grupy „okradającej” SKOK Wołomin, dziś z zarzutami. Prowadził tzw. salonik dłużnika, zajmujący się obrotem wierzytelnościami i oddłużaniem. Prezes SKOK Wołomin poprosił go, by pomógł spłacać pożyczkę artysty. Wcześniej Piotr S. spłacił kredyt bankowy obciążony hipoteką na rezydencji Wiśniewskiego pod Warszawą i przejął nieruchomości. I teraz, wraz ze współnikiem i przez swoją spółkę OWG, zaczął spłacać jego pożyczkę. Bez żadnej umowy, tak altruistycznie, jak sarkastycznie podsumował potem sędzia. Przez trzy lata wpłacili prawie 2 mln zł i nigdy nie wystąpili na drogę sądową o zasądzenie od Wiśniewskiego tej kwoty. Ale trzeba przyznać, że i sam Wiśniewski znowu zaczął trochę wpłacać: w 2013 r. w sumie 355 tys. i w 2014 kolejne 363 tys. zł.

I znowu – według prokuratury, a są też na to zwrócił uwagę – ponowne rozpoczęcie spłat zbiegło się z zaciągnięciem 1 mln zł pożyczki w SKOK Wołomin, tym razem przez Dominikę T., kolejną żonę Michała Wiśniewskiego.

Gdy już po upadku SKOK w 2018 r. syndyk wysłał jej powiadomienie o wszczęciu egzekucji, Dominika T. zawiadomiła prokuraturę, że została przez władze SKOK Wołomin oszukana. Tłumaczyła, że podpisała umowę o pożyczkę nieświadomie. Zeznała, że zadzwonił do niej Piotr P., żeby stawiła się z mężem. „Powiedział, że jest zagrożenie odebrania domu, w którym mieszka mój mąż, ale jeśli podpiszę jakieś dokumenty, to unikniemy tej egzekucji. Siedziałam tam cały dzień, dokumenty zostały przygotowane i je podpisałam” – opowiadała. Zeznała, że Piotr P. mówił, że ma być spokojna i niczym się nie stresować. Rozmawiała też z wiceprezes. Zapytała ją, czy ma się niczym nie martwić, ona potwierdziła. Dominika T. podpisała dokumenty, nawet ich nie czytając. Zeznała jeszcze, że nie otrzymała tych pieniędzy. Tyle że później od Piotra P. przyszedł przelew na 100 tys. zł. Ale to w sprawie teledysku – mówiła. Przesłuchiwany Piotr P. przyznał wprost, że „to szło na spłatę innych słupów”, bo pojawiła się obawa, że mogą być problemy z KNF. Potwierdził, że zapewniał ►

► Dominikę T., że nie będzie musiała re-gulować zobowiązań.

Prokurator umorzył śledztwo z za-wiadomienia Dominiki T., stwierdzając, że kobieta jednak wiedziała, co podpisuje. Dominika T. zaskarżyła to do sądu. A sąd zgodził się ze stanowiskiem prokuratora, dodając w uzasadnieniu: „Pojawia się nie tyle pytanie o to, czy pokrzywdzona zosta-ła wprowadzona w błąd, tylko czy nie była kolejnym tzw. »słupem«, który uczestni-czył w przestępczym wyłudzeniu kredy-tów na szkodę tej instytucji?”

Tymczasem Dominika T. już 22 lutego 2022 r. usłyszała wyrok za swoją pożyczkę, czyli za przedłożenie nieprawdziwych zaświadczeń o wysokich dochodach w firmie Emir 58. A dodatkowo, że „mając świadomość wymagalnych spłat i grożącej egzekucji, działając w celu udaremnienia roszczeń, podarowała (...) swoje nieru-chomości”. Została skazana na dwa lata więzienia z warunkowym zawieszeniem na cztery lata, 10 tys. zł grzywny i 16 tys. kosztów procesu.

Michał Wiśniewski ostatnią ratę w wy-sokości 72 tys. zł wpłacił 30 września 2014 r. Miesiąc później do SKOK Wołomin weszła prokuratura i na jaw wyszła szersza afera, w której zniknęło 3 mld zł. Potem Wiśniewski w ogóle przestał spła-cać kredyty.

Upadłość artysty

20 listopada 2017 r. pełnomocniczka Michała Wiśniewskiego złożyła do sądu wniosek o ogłoszenie jego upadłości. Wierzycieli naliczono kilkunastu. Zaczyna-jąc od starych kredytów: jeden z 2001 r. – do zapłaty 350 tys. franków szwajcar-skich; drugi, przeznaczony na zakup lokalu w 2002 r., z terminem wymagal-ności, który minął w 2008 r. – 135 tys. zł; trzeci – 206 tys. zł, plus pożyczka ze SKOK Wołomin ze zobowiązaniami wyliczony-mi na ten czas na 2 mln zł. Jeszcze 500 tys. za udziały w spółce Pure, jakieś 130 tys. zł człowiekowi z Łodzi, ponad 200 tys. za za-legły czynsz z ul. Łuckiej, 70 tys. zł za za-ległe alimenty, za prąd, urząd skarbowy, za ZUS niepłacony od 2007 r. Nazbierało się w sumie ok. 4,5 mln zł. I po te akta sięgnął sąd w sprawie pożyczki ze SKOK Wołomin, by zobaczyć całość historii fi-nansowych Michała Wiśniewskiego.

Sam wniosek o upadłość to wzruszają-cy opis historii wzlotów i upadków arty-sty. Jest o trudnym dzieciństwie, godnej podziwu determinacji i pasji, która wy-wiodowała go na szczyty, wielkiej sławie i karierze muzycznej. I o problemach, które – jak napisała pełnomocnik – za-częły się od działań urzędu skarbowego

w 2005 r., żądającego 600 tys. zł zaległych podatków i blokującego wszystkie konta artysty. „Nagle zahamowanie dopływu gotówki doprowadziło do pierwszych zaległości w płatnościach, jednocześnie powoli inicjując spiralę rosnących zadłu-żeń”. I dalej: „w tym czasie rozpoczęły się komplikacje z kredytami”. Przywo-łał to w swojej mowie końcowej proku-rator Chałubiński, wskazując, że biorąc pożyczkę w SKOK Wołomin, Wiśniewski był już w trudnej sytuacji. Potem – kon-tynuowała pełnomocnik – doszły proble-my rodzinne, rozwody, coraz mniej koncertów. Michał Wiśniewski nie ma nic – dodała, podając, że wszystkie prawa do wizerunku muzyka, do płyt, tantieni, zysków z koncertów Michał Wiśniewski przekazał spółce (według KRS to wła-sność jego obecnej żony Poli, prezesem jest od niedawna sam Michał). To ta firma płaci za dom, który kupiła od Pio-tra P. firma deweloperska, za rachunki, za wszystko, a on otrzymuje jakieś nie-wielkie procenty od zysków. Do tego, z uwagi na rozpoznawalność, za reklame dostaje różne usługi za darmo. „Za-dłużaniu się nie można przypisać winy umyślnej czy rażącego niedbalstwa, działania nigdy nie były nakierowane na celowe pomnażanie zadłużenia” – podsumowała pełnomocnik, a to jest niezbędna okoliczność, by sąd zgodził się na upadłość. I sąd się zgodził.

Do podziału między wierzycieli wyzna-czono 102 tys. zł. Tyle pozostało z majątku Michała Wiśniewskiego. Sędzia Kamila Wa-silewska ustaliła zasady zaspokojenia wie-rzycieli – najpierw jednorazowo z 500 tys. zaległych za akcje Pure wyznaczono do za-płaty 3 tys. zł, dwóm córkom – 65 zł ali-mentów, synowi – 10 zł, dla syndyka SKOK Wołomin – 15 tys. zł, do ZUS – 27 zł i ban-kowi – 12 tys. zł. A potem co miesiąc przez trzy lata Wiśniewski ma wydawać na spłatę wierzycieli 2 tys. zł. I tyle. Pozostałe zobow-iązania zostają umorzone.

Michał Wiśniewski w 2022 r. ogłosił radośnie, że szczęśliwie zakończył upa-dłość i zaczyna nowe życie. I oświadczył, że buduje nowy dom.

Proces i wyrok

Jednak przeszłość nie dała o sobie zapo-mnieć. Afery SKOK spowodowała, że wzię-to pod lupę pożyczki. Michał Wiśniewski został oskarżony o to, że „działając w celu osiągnięcia korzyści majątkowej, dopro-wadził SKOK Wołomin do niekorzystnego rozporządzania mieniem znacznej war-tości w kwocie 2,8 mln zł”. I to – co wy-kazywał prokurator w akcie oskarżenia – ze świadomością, że długu nie spłaci.

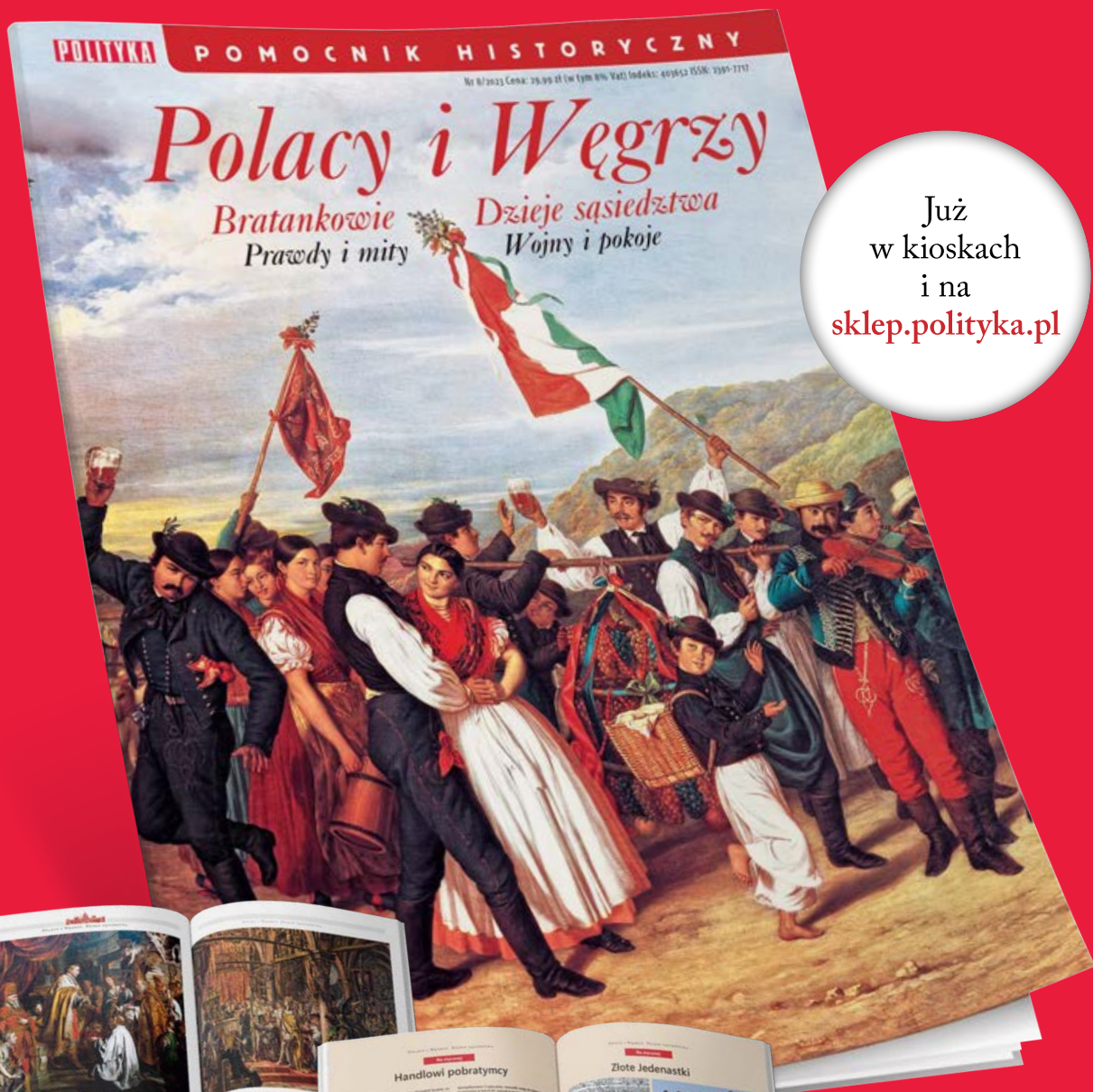
Wiśniewski przychodził na każdą roz-prawę, ale na ogłoszenie wyroku już się nie stawił. Sędzia Tomasz Kosiński uznał go bowiem za winnego zarzucanych mu czynów i dał nawet wyższy wyrok, niż chciała prokuratura: 1,5 roku bez-względnego więzienia, 80 tys. zł grzywny i 16 tys. zł na pokrycie kosztów procesu. Uzasadniając wyrok, sędzia zaznaczył, że wina Michała Wiśniewskiego „nie budzi najmniejszej wątpliwości”. Po pierw-sze – wyliczał – niezgodne z prawdą oświadczenia o dochodach oraz nie-płacenie rat przez kilka lat. Wiśniewski twierdził, że raty miały być spłacane koncertami na imprezach SKOK, ale nie istnieje żadna umowa mogąca to po-swiadczyć. Sąd nie miał wątpliwości, że oskarżony nie zamierzał spłacić tej pożyczki, o czym mówi jego historia kredytowa. „Oskarżony nie miał takich dochodów” – mówił sędzia. „Zresztą niewiele osób byłoby w stanie spłacać miesięczną ratę w wysokości 68 tys. zł. A kara i tak jest karą w dolnych grani-cach ustawowego zagrożenia za takie przestępstwo, które wynosi od roku do 10 lat więzienia”. Na koniec sędzia dodał, że nie orzekł obowiązku naprawy szkody, bo syndyk już dochodzi roszczeń na drodze postępowania cywilnego. Wy-rok jest nieprawomocny.

Michał Wiśniewski tego samego dnia opublikował na swojej stronie oświad-czenie, siedząc u podnóża wielkich schodów w swoim (?) domu. Zatytuło-wał je „Bezsilność. #niewinny”: „Zanim odbiorę telefony od dziennikarzy, warto zrobić krótki statement [oświadczenie] na ten temat. Mówię krótko – proszę państwa jestem niewinny. Ta informa-cja gruchnęła na mnie dzisiaj jak grom z jasnego nieba, kiedy jechałem na pró-bę, więc większość moich planów ru-nęła. (...) Przygotowuję materiał, który pozwoli obiektywnie upublicznić, mam nadzieję, akta dotyczące tej sprawy i li-czę na środowisko prawnicze, które być może wyprowadzi mnie z błędu, być może coś podpowie, ale na pewno będę apelował w tej sprawie. Ten wyrok jest okropny, straszny, ale z godnością znio-sę odsiadkę, jeżeli będzie taka potrzeba, bo odsiadka za niewinność to trochę jak przesładowanie”.

Mimo tej deklaracji Michał Wiśniewski odmówił POLITYCE rozmowy o tej spra-wie, więc postanowiliśmy sami spojrzeć w akta. Czy będzie apelacja? Czy ten wy-rok się utrzyma? O artyście Wiśniewskim znowu będzie głośno.

VIOLETTA KRASNOWSKA

I do szabli, i do szklanki



Już
w kioskach
i na
sklep.polityka.pl



Zapraszamy na profil <https://www.facebook.com/projekt-pulsar/>,
a także na polityka.pl/podkasty do wysłuchania rozmów
z cyklu „POLITYKA o historii”

Kto tu kręci?

Nowa koalicja postanowiła zacząć, jak poprzednicy, od porządków w energetyce wiatrowej. Zamierzała odblokować, co PiS zablokował. I natychmiast weszła na minę, którą jedni nazywają aferą wiatrakową, a inni błędem komunikacyjnym. Co jest w tych wiatrakach, że tak kręcą polityków?

ADAM GRZESZAK

Pomysł wydawał się prosty i dość oczywisty: wykorzystać ustawę o zamrożeniu cen prądu, ciepła i gazu w pierwszej połowie 2024 r. jako wehikuł do dowiezienia kilku dodatkowych rozwiązań z zakresu energetyki, które nowa koalicja uzgodniła już dużo wcześniej i uznała za szczególnie pilne. Dwa najważniejsze to przywrócenie tzw. obliża giełdowego, czyli obowiązku hurtowego handlu energią elektryczną na Towarowej Giełdzie Energii, oraz liberalizacja przepisów dotyczących budowy farm wiatrowych. Dopisanie ich do projektu ustawy „w celu wsparcia odbiorców energii elektrycznej, paliw gazowych i ciepła” nowi koalicjanci uznali za dobry pomysł także dlatego, że dawał duże szanse na uniknięcie weta prezydenta.

Dlatego nawet prezes Orlenu Daniel Obajtek nie sugerował prezydentowi weta, choć w błagalnym liście prosił go o „szczegółową analizę ustawy przygotowanej przez posłów Koalicji Obywatelskiej i Polski 2050” (...) „która może uniemożliwić przeprowadzenie transformacji energetycznej kraju”. Wszystko dlatego, że nowa ustawa zakłada, iż to Orlen sfinansuje koszt mrożenia przyszłorocznych cen energii. Ma na ten cel pójść z kasy koncernu 15 mld zł, co projektodawcy uzasadnili nadzwyczajnymi zyskami z krajowego wydobycia gazu osiąganymi przez PGNiG (obecnie należący do Orlenu). W 2022 r. płocki koncern zanotował 41 mld zł zysków, więc uznano, że czas, by się podzielił ze społeczeństwem, mimo iż Obajtek straszy grożącą firmie katastrofą. Takie opodatkowanie nadzwyczajnych zysków koncernów naftowo-gazowych zalecała już wcześniej Komisja Europejska, ale Orlen, dzięki politycznym wpływom swego prezesa, skutecznie tego unikał. Choć np. w Czechach musiał płacić.

Projekt był poselski, firmowany przez Koalicję Obywatelską i Polskę 2050, jako że rząd wciąż jeszcze był w rękach PiS, a ten złożył własny projekt mrożenia cen energii w przyszłym roku. Choć rząd nie wskazał źródła finansowania (co Obajtkowi bardzo się podobało), to wydawało się, że spór będzie się toczył wokół tego, kto lepiej zamrozi ceny i na jak długo. Choć nie wszyscy eksperci są przekonani, czy w ogóle mrożenie jest jeszcze konieczne. – *Przecież ta zamrożona cena na poziomie 693 zł/MWh dla odbiorców domowych jest już wyższa od ceny, za jaką dziś kupuje*



się energię na rynku hurtowym. Pod hasłem wspierania obywateli organizujemy system subsydiowania energetyki węglowej. Bo z nieznanых powodów ustalono, że wytwórców energii odnawialnej obowiązują inne, trzy razy niższe limity cenowe. Wszystko, co zrobimy ponad limit, musimy zwrócić na Fundusz Wyplaty Różnicy Ceny – wyjaśnia Grzegorz Wiśniewski, prezes Instytutu Energetyki Odnawialnej. O to jednak postawie się nie spierali. Panuje zgodne przekonanie, że energia jest droga i trzeba odbiorców subsydiować. Dlatego wybuchła wojna nie o ceny, ale o wiatraki.

Walka z wiatrakami

Energetyka wiatrowa to obsesja PiS. Partia Jarosława Kaczyńskiego w 2015 r. szła po władzę między innymi pod sztandarami walki z wiatrakami. Z Nowogrodzkiej dochodziły przecieki, że prezes został przez kogoś przekonany, że wiatrakami kręcą działacze PSL i to oni robią na nich największe interesy, więc uderzenie w energetykę wiatrową może być dobrym narzędziem do walki z PSL o wieś. Była to strategia o tyle skuteczna, że budżety wielu wiejskich gmin trzymały się na podatkach i opłatach lokalnych płaconych przez właścicieli farm wiatrowych.

Jeszcze będąc w opozycji, posłowie PiS stworzyli w Sejmie „parlamentarny zespół ds. energii wiatrowej bezpiecznej dla ludzi i środowiska” pod przewodnictwem przyszłej minister edukacji, a dziś europosłanki Anny Zalewskiej. To osobisty i wyjątkowy wróg energetyki wiatrowej, bo to samo zło, wiatraki są niezdrowe, niebezpieczne, a Polska ma przecież węgiel, więc energii z wiatru nie potrzebuje. Na portalu X swój niedawny kolejny



antywiatrakowy wpis Zalewska zakończyła hasłem: „Nie oddamy Turowa!”. W jej zespole znalazła się cała pisowska śmietanka polityków, którzy za chwilę mieli przejść do rządu: m.in. Andrzej Adamczyk, Elżbieta Witek, Henryk Kowalczyk, Jan K. Ardanowski, Antoni Macierewicz, Jan Szyszko, Jarosław Zieliński.

Nic więc dziwnego, że branża wiatrowa niemal natychmiast poczuła ciężką rękę nowej władzy. Na portalu stopwiatrakom.eu, głównym medium środowisk antywiatrakowych, pojawił się nawet żart w formie nekrologu: „Z żalem zawiadamiamy, że w dniu 16 lipca 2016 roku ENERGETYKA WIATROWA w POLSCE zakończyła rację swojego bytu. Żegnamy inwestorów i ich zwolenników raz na zawsze i na wieki wieków amen”. W tym bowiem dniu weszła w życie ustawa o inwestycjach w zakresie elektrowni wiatrowych, zwana ustawą odległościową, która blokowała rozwój najważniejszego polskiego sektora energetyki odnawialnej.

Jednym ze współtwórców ustawy był prawnik Marcin Przychozdzki, fundator fundacji prowadzącej portal stopwiatrakom.eu, który za rządów PiS awansował na stanowisko dyrektora departamentu prawnego w Ministerstwie Budownictwa i został skierowany do prac nad ustawą o odnawialnych źródłach energii.

Na branżę wiatrową spadły więc kolejne ciosy władzy. Jeden z nich wyprowadził Daniel Obajtek, wówczas świeżo mianowany prezes pomorskiego koncernu Energa, który zerwał wcześniej zawarte umowy na zakup zielonych certyfikatów od operatorów farm wiatrowych. Zakupy certyfikatów przez dystrybutorów energii od producentów OZE były wówczas elementem systemu

wsparcia przewidzianego dla wytwórców zielonej energii, bez którego inwestycje w farmy wiatrowe mogły skończyć się finansową kląpą. Obajtek dumny był z tego, co zrobił, choć po jego odejściu Energa przegrywała procesy sądowe i musiała płacić wiatrowcom odszkodowania.

Jednak wszystko to błędnie na tle osiągnięć ojca niedoszłej elektrowni węglowej w Ostrołęce, czyli ministra energii Krzysztofa Tchórzewskiego. On w polityce antywiatrakowej zaszedł najdalej. W stworzonej przez jego resort „Polityce energetycznej Polski do 2040 r.” zapowiedziano, że wszystkie istniejące już turbiny wiatrowe mają zostać zlikwidowane do 2035 r., a te, które są w procesie inwestycyjnym, niedługo potem. Polska stała się jedynym krajem w UE, który nie tylko nie planował rozwoju energetyki wiatrowej na lądzie, ale zakładał jej całkowitą likwidację. Zamiast tego mieliśmy stawiać wiatraki na morzu. Wielkie i kosztowne inwestycje, których realizację obiecały państwowe koncerny – Orlen i PGE – stały się zieloną maskotką ówczesnej władzy. Podobnie jak elektrownia jądrowa. Ich zaletą było to, że były imponujące, choć istnieją na razie tylko w opowieściach.

Zasada 10H

Pierwsze wiatraki pojawiły się w Polsce w 2001 r., ale największy rozwój i przyrost mocy farm wiatrowych nastąpił w latach 2008–16. W 2016 r. 55 proc. zielonej energii elektrycznej wyprodukowanej w Polsce pochodziło z wiatru. Przyjęta w tym samym roku ustawa odległościowa zmieniała radykalnie pejzaż energetyki odnawialnej. Wprowadzała regulę 10H, w myśl której ►

► elektrownie wiatrowe muszą być oddalone od budynków mieszkalnych na nie mniej niż 10-krotność całkowitej wysokości turbiny. To w praktyce oznaczało, że jeśli w promieniu ok. 2 km są jakieś domy, turbina wiatrowa tam nie stanie.

Przykręcanie śruby energetyce wiatrowej podobało się wielu energetykom, narzekającym, że z wiatrakami jest więcej kłopotów niż pożytku. Farmy wiatrowe są na ogół niewielkie, rozproszone, brakuje sieci przesyłowych, by je podłączać. Na dodatek są niesterowne i nieprzewidywalne. Jak zawieje, to dają prąd czasem nawet w nadmiarze, z którym nie ma co robić, więc bywa, że jego ceny stają się ujemne. A z kolei kiedy prąd jest potrzebny, to stoją, bo nie ma wiatru. Dlatego tradycyjne elektrownie węglowe trzeba trzymać w pogotowiu, na wszelki wypadek, i raz je włączać do sieci, a innym razem wyłączać.

Jednak rosnące ceny węgla i coraz wyższe koszty opłat za emisję CO₂ powodują, że energia z węgla robi się coraz droższa, zwłaszcza w Polsce, bo polski węgiel kopany przez śląskie kopalnie jest dziś najdroższym paliwem w Europie. Taniej było go sprowadzać z Kolumbii. W tych warunkach każda megawatogodzina z krajowego wiatru jest wybawieniem dla naszych kieszeni, bo paliwo jest za darmo i nie ma żadnej emisji CO₂.

Łamanie reguł

Wreszcie nawet w PiS zaczęto zauważać, że walka z wiatrakami nie ma sensu, bo świat idzie w kierunku energetyki odnawialnej, a Polska wlece się w ogień i nie wypełnia unijnych zobowiązań. Trzeba zapomnieć o węglu, choć mamy go ponoć na 200 lat, i postawić na bardziej dostępne paliwa – słońce i wiatr. UE zamierza do 2030 r. pokrywać co najmniej 42,5 proc. swojego zapotrzebowania na energię ze źródeł odnawialnych, przy czym najważniejszy będzie wiatr. W Polsce mamy na razie 1339 instalacji o łącznej mocy ok. 9,1 GW, na 26,4 GW, jakie mają wszystkie instalacje OZE (większość to fotowoltaika). Część farm wiatrowych powstała w ostatnich latach głównie dlatego, że inwestorzy dysponowali wcześniej uzyskanymi zezwoleniami, więc reguła 10H ich jeszcze nie dotknęła. Dotknęły ich za to inne przepisy, w tym podatkowe, oraz limity na ceny energii, które wpłynęły na ograniczenie opłacalności biznesu.

Powróciła więc dyskusja na temat złagodzenia antywiatrakowych restrykcji. Według nowej rządowej Polityki Energetycznej Polski do 2040 r. (PEP 2040) energetyka wiatrowa na lądzie w 2030 r. ma osiągnąć moc 14 GW, a w 2040 r. 20 GW. Tylko jak to zrobić przy regule 10H? Postanowiono przyjąć 500 m jako odległość, na którą wiatraki muszą być oddalone od domów. Dołożono do tego jeszcze inne przepisy, żeby wiatrakom nie było za łatwo i aby uspokoić nieco antywiatrakowych radykałów. Ci jednak łatwo nie odpuścili, zwłaszcza Janusz Kowalski i Jacek Ozdoba z Suwerennej Polski. Ziobryści przed wyborami poszli na zwanie z PiS i tak 500 m za sprawą napisanej na kolanach „poprawki Suskiego” zamieniło się w 700 m. Różnica pozornie niewielka, ale radykalnie ograniczająca możliwości nowych inwestycji.

Opozycja demokratyczna już dwa lata temu zgłosiła własny projekt ustawy odblokowującej wiatraki, który narodził się w Senacie po konsultacjach z ekspertami i interesariuszami, ale skończył w sejmowej zamrażarce. Inny projekt zgłosiła Polska 2050, proponując, by instalacje wiatrowe lokować, kierując się limitem hałasu, a nie konkretną odległością. On też trafił do zamrażarki.

I właśnie te dwie propozycje zostały dziś wykorzystane do opracowania projektu najnowszej ustawy mrożącej ceny energii.

Sklejono to dość pośpiesznie, bez wytłumaczenia, więc PiS takiej okazji nie mógł przepuścić. Tak narodziła się „afera wiatrakowa” z uzasadnieniem, że nowa koalicja idzie na pasku producentów instalacji wiatrowych, szczególnie niemieckiego (!) Siemens. I że zamierza prowadzić wywłaszczenia pod budowę wiatraków. Kto wie, czy nie było jakiegoś przekupstwa? Sprawdza to już prokuratura, ale PiS zaczął się domagać powołania wiatrakowej komisji śledczej.

Testowanie koalicji

Posłanka Paulina Hennig-Kloska z Polski 2050 typowana na przyszłą minister klimatu i środowiska musiała wszystko tłumaczyć, z czym miała problemy, a bardziej doświadczeni koledzy gdzieś znikli (PSL nabrał wody w usta). – *Zawiodła komunikacja. Nikt nie wytłumaczył, że to nie wrzutka, tylko rozwiązania zgłoszone w poprzedniej kadencji Sejmu. Nie będzie żadnych wywłaszczeń pod farmy wiatrowe, bo takie uprawnienie przysługuje jedynie państwu na cele publiczne, do jakich należy budowa sieci energetycznych, a nie wiatraków. Także limit hałasu, o który jest taka burza, nie oznacza, że turbiny będą stać tuż koło domów, ale w odległości 500 m, a czasem i dalej* – wyjaśnia Grzegorz Onichimowski, ekspert Instytutu Obywatelskiego, jeden ze współtwórców projektu senackiego.

Jego zdaniem połączenie rozwiązań mrozących ceny energii z liberalizacją przepisów wiatrakowych jest uzasadnione, bo Polska ma coraz większy problem z drożącym, a co gorsza deficytowym, prądem. Trzeba więc działać szybko, żeby opanować energetyczną drożyznę, bo w nieskończoność subsydiować cenę się nie da. A szybko można zbudować tylko nowe instalacje wiatrowe albo elektrownie lub elektrociepłownie gazowe. Gaz jest drogi i trzeba go importować, wiatr mamy na miejscu. – *Politycy PiS przekonują, że jest jakiś spisek niemieckich producentów, a nikt nie mówi, że na skutek wysokich cen polskiej energii tylko w tym roku kupiliśmy od Niemiec już 6,5 TWh energii elektrycznej za 700 mln euro! Mechanizm rynku europejskiego sprawia, że kupujemy zawsze, gdy u nas jest drożej niż u nich. To jest właśnie energia z niemieckich wiatraków. Więc jeśli ktoś szuka siemensgate, to znajdzie ją tu* – przekonuje ekspert.

– *Nie jest prawdą, że większa liczba turbin wiatrowych ma na celu wsparcie konkretnych producentów. Według Instytutu Jagiellońskiego 55–60 proc. wartości projektu tworzą polskie przedsiębiorstwa. Np. Siemens dużą część urządzeń do turbin wiatrowych, które trafiają do farm wiatrowych na całym świecie, produkuje w Szczecinie* – tłumaczy Janusz Gajowiecki, prezes Polskiego Stowarzyszenia Energetyki Wiatrowej. Prezes żałuje, że sprawa odblokowania możliwości budowy farm wiatrowych musi poczekać do przyszłego roku, bo każdy miesiąc to niepotrzebna strata czasu. – *Pomysł, by podstawowym kryterium do lokalizacji instalacji wiatrowych był hałas, a nie odległość, nie jest zły, ale ma tę wadę, że dla lokalnej społeczności jest nieczytelny. Odległość każdy jest w stanie zweryfikować, badanie hałasu wymaga specjalistycznej aparatury. Dlatego jako branża opowiadamy się za 500-metrowym limitem. Zależy nam na dobrych relacjach z lokalnymi społecznościami, samorządami i działaczami ekologicznymi.*

PiS, kręcąc wiatrakami, jednak osiągnął pewien sukces. Przetestował odporność nowej koalicji, bo ta uznała, że nie ma się co kopać z koniem. Lepiej ustawę rozpruć i przepisy wiatrakowe zgłosić już oddzielnie, normalną ścieżką, jako projekt rządowy. PiS będzie miał więc okazję, by raz jeszcze zakręcić wiatrakami i wrócić do „lex Siemens”.

ADAM GRZESZAK



Prosto znaczy uczciwie

KOMUNIKATY, KTÓRYCH UŻYWAMY, MÓWIĄ O NAS WIĘCEJ, NIŻ SĄDZIMY.

WARTO ZATEM ZADBAĆ O JĘZYK INKLUZYWNY, CZYLI TAKI, KTÓRY WSZYSTKICH ODBIORCÓW TRAKTUJE Z SZACUNKIEM I GODNOŚCIĄ. NAWET JEŚLI PRZEZ TO MUSIMY UŻYĆ NIECO WIĘCEJ SŁÓW.

Języka używamy każdego dnia, ale nie zdajemy sobie często sprawy, jak wiele niesie ze sobą treści o nas samych.

Przekonać się o tym możemy na przykład dzięki lingwistycy kryminalistycznej. Osiągnięcia tej dziedziny zaprezentowała podczas piątej już konferencji o prostym języku w ING prof. Jadwiga Stawnicka z Katedry Bezpieczeństwa Powszechnego Akademii Wychowania Fizycznego w Katowicach. Okazuje się, że w przypadku każdego z nas możemy mówić o tzw. językowym odcisku palca. Dzięki niemu śledczy są w stanie ustalić autorstwo w przypadku listów z pogroźkami, anonimowych wpisów w internecie czy prób żądań okupu. Przystępny i zrozumiały język to nie tylko kwestia bezpieczeństwa, ale także sposobu formułowania wypowiedzi. Nawet gdy próbujemy się podszyć pod kogoś innego, pewne słowa i frazy są w stanie zdemaskować rzeczywistego autora.

Na szczęście języka można używać też w dużo bardziej szlachetnych celach. Dzisiaj wielkie emocje wzbudza kwestia językowej inkluzywności. Jej przejawem jest nie tylko używanie feminatywów, ale także stosowanie sformułowań, które mają wzbudzić zaufanie odbiorcy. Często powtarzany jest zarzut wobec inkluzywności, że wypowiedzi są przez to dłuższe i bardziej skomplikowane. – *Tyle że tekst trochę dłuższy nie oznacza wcale: zbyt długi. Tymczasem korzyści z inkluzywności są ogromne: rośnie zainteresowanie komunikatem, a równocześnie zmniejsza się irytacja odbiorcy na bardziej kontrowersyjne frazy* – ocenia prof. Jacek Wasilewski, wykładowca



Scena 5. konferencji o prostym języku w centrali ING w Katowicach.

retoryki, socjolingwista z Uniwersytetu Warszawskiego, pod którego kierownictwem przeprowadzono niedawno interesujące badania. Wynika z nich, że firma używająca języka inkluzywnego w swoich komunikatach jest postrzegana jako bardziej przyjazna, a ankietowani chcieliby, aby ich dzieci pracowały właśnie w takim miejscu.

Wartości języka wciąż nieustety zapominają stanowiący w Polsce prawo. Problemem są bardzo skomplikowane teksty ustaw, które bada Natalia Zych, ekspertka ING. Podkreśla ona, że samo upraszczanie języka ustawodawstwa jest bardzo trudne, skoro tylko w 2022 r. średnio każdego dnia powstawało aż 125 stron nowych przepisów prawnych. Podstawowe problemy używanego w nich języka: ogromna przewaga rzeczowników nad czasownikami, zdania średnio dwukrotnie dłuższe niż w zwykłej polszczyźnie, a do tego ogromna liczba błędów i usterek językowych. Mimo to warto się nie poddawać. Natalia Zych przygotowała zdecydowanie

łatwiejszą do zrozumienia wersję ustawy o prawach konsumenta z 2014 r. Pomogły zabiegi wizualne (dodanie strony głównej, spisu treści i streszczenia, zastosowanie punktatorów), bardziej naturalna gramatyka, podział zdań na krótsze oraz zrozumiałe słownictwo. Na przykład „konsument” został zastąpiony „klientem”, „ma obowiązek” to po prostu „musi”, zamiast „kontaktować się przez telefon” wystarczy „dzwonić”, a „wyrazić zgodę” niczym nie różni się od „zgodzić się”. Szkoda, że nasi ustawodawcy nie zwracają wciąż wystarczającej uwagi na to, żeby treść ich pracy była rozumiana nie tylko przez prawników, ale też przez zwykłych obywateli.

pozytywne zmiany są już natomiast widoczne w administracji publicznej, o czym świadczy choćby sukces aplikacji mObywatel. – *Wartości, które nam przyświecają w pracach nad nią, to uniwersalność, zrozumiałość i precyzja, rzetelność oraz empatia. Oczywiście nie możemy stosować zbyt lekkiego języka,*

bo chcemy komunikacji prostej i przyjaznej – zapewniają Anna Dereń i Karol Owczarek z Centralnego Ośrodka Informatyki, który opiekuje się mObywatelem. Jak w praktyce wygląda wdrażanie tych zasad? Twórcy podkreślają, że piszą w sposób neutralny płciowo, stosują powszechnie znane słowa, unikają metafor i dbają o dostępność cyfrową. Uniwersalność oznacza otwartość na potrzeby różnych grup wiekowych, osób z różnym wykształceniem, mieszkających zarówno w dużych miastach, jak i na wsi. Trzeba pamiętać zarówno o tych korzystających na co dzień z nowych technologii, jak i tych bez kompetencji cyfrowych. Pewnych trudniejszych słów nie uda się uniknąć (to przecież materia urzędowa!), ale trzeba je po prostu wyjaśniać. Co najważniejsze, mObywatel nie jest nastawiony na sprzedaż produktów – nie ma w nim zatem marketingowych treści. Są za to ważne informacje – także te, które mogą zostać odebrane negatywnie. Jednak aplikacja ma jasną misję: nie przekonywać czy reklamować, a informować i wyjaśniać.

A propos aplikacji – to zespół upraszczający komunikację w ING, Paweł Szczepaniec i Marcin Grocki, przedstawili nową wersję Prostomatu. To aplikacja, dzięki której pracownicy banku mogą upraszczać swoje teksty automatycznie. Nowa wersja nie tylko mierzy teksty zgodnie z zasadami prostego języka, ale podpowiada, czy komunikat jest zgodny z tzw. głosem marki.

Językowej otwartości potrzebujemy nie tylko w specjalistycznych kontaktach z urzędami i instytucjami. Zasady prostego języka warto też wdrażać w naszej codzienności, wobec siebie nawzajem.



Efekty niemorawieckie

Po długim oczekiwaniu odpowiedzialność za stan gospodarki przejął wreszcie nowy rząd. Z jednej strony będzie musiał zmierzyć się z trudnym spadkiem po poprzednikach. Z drugiej będzie też niewolnikiem własnych przedwyborczych obietnic.

WITOLD M. ORŁOWSKI

Wiadomo, że Mateusz Morawiecki ma dość swobodne podejście do mówienia prawdy. Potrafił po przejechaniu autostradą wysiąść z limuzyny i poinformować zwolenników, że tej autostrady nie ma, bo poprzednicy jej nie zbudowali. Potrafił twierdzić, że to on negocjował warunki wejścia Polski do Unii Europejskiej, choć nikt z ówczesnych negocjatorów nie przypomina sobie jego obecności. Potrafił zapewniać, że pandemii już nie ma, kiedy dziennie umierało na covid kilkaset osób.

Skoro w tylu sprawach były premier mijał się z prawdą, dlaczego mielibyśmy wierzyć wspianemu obrazowi gospodarki odmalowanemu w jego exposé? Mówił o gospodarce, która znakomicie się rozwija, finanse są w znakomitym stanie, dochody rosną, a dług publiczny spada.

Rzeczywistość wygląda inaczej. Od roku gospodarka tkwi między stagnacją a recesją. Inflacja w ostatnich miesiącach rzeczywiście przygaśła, ale zawdzięczamy to efektom statystycznym i wytłumieniu światowego wzrostu cen surowców, a także (niemożliwym do utrzymania w nieskończoność) obniżkom podatku VAT, zamrożonym cenom energii i cudom na stacjach Orlenu. Natomiast w kwestii

finansów publicznych mieliśmy do czynienia z ciekawym dwugłosem: przed samymi wyborami rząd chwalił się nadwyżką w budżecie, a jednocześnie wysyłał do Brukseli informację, że deficyt finansów państwa wyniesie w tym roku rekordowe 192 mld zł.

Trzy rozwiercone filary

Bardziej od bieżących problemów martwi coś innego. W ciągu minionych trzech dekad Polska odniosła niezwykle sukces gospodarczy: jeszcze nigdy w historii nie zbliżyliśmy się tak mocno pod względem poziomu rozwoju do naszych zachodnich sąsiadów i nigdy w historii zmniejszenie dystansu nie nastąpiło w tak krótkim czasie. Ostatnie 8 lat to w sumie kontynuacja



ILUSTRACJE MARCIN BONDAROWICZ

poszukiwania kapitału na inwestycje i zarządzania firmami.

Drugim filarem polskiego sukcesu była dbałość o równowagę gospodarczą. W krótkim okresie oznaczała to przede wszystkim stabilny pieniądź, a w dłuższym wspieranie oszczędności i inwestycji oraz unikanie nadmiernego zadłużenia. Wybór pomiędzy tym, jak dużą część wytworzonego dochodu społeczeństwo ma konsumować, a jak dużą oszczędzać i inwestować, to najważniejsza decyzja mająca wpływ na perspektywy dalszego wzrostu gospodarczego. W polskiej polityce gospodarczej przez długi czas dominoowało przekonanie, że pieniądź powinien być stabilny, finanse publiczne powinny wspierać tę stabilność, a wzrost dochodu powinien nastąpić w wyniku wzrostu wydajności pracy.

Trzecim filarem była integracja europejska. Początkowo oznaczała to ogromny wysiłek w celu wejścia do Unii. Od 2004 r. było to już zbieranie owoców w postaci wzrostu produkcji i eksportu, a także radykalnej poprawy stanu infrastruktury. Według badań ponad połowę wzrostu gospodarczego osiągniętego w ciągu minionego dwudziestolecia Polska zawdzięcza właśnie członkostwu w Unii. Przy czym korzystne efekty udziału w jednolitym rynku europejskim okazały się znacznie większe niż efekty napływu funduszy (skądinąd też ogromnie ważne).

Ostatnie lata oznaczały jednak osłabienie wszystkich trzech filarów, na których zbudowaliśmy gospodarczy sukces. Sprawność wielu instytucji radykalnie spadła, spadło też zaufanie do prowadzonych przez nie działań. Trudno się dziwić, skoro główną aktywnością banku centralnego stały się propagandowe banery, urząd antymonopolowy nie reagował na jawne manipulacje cenami przez paliwowego monopolistę, Ministerstwo Zdrowia na podawanie pacjentom wadliwych szczepionek na covid, a Ministerstwo Finansów nie reagowało na zaciąganie przez ministra obrony gigantycznych długów, o których dowiadaliśmy się z koreańskiej telewizji. Mieliliśmy do czynienia z politycznym serwilizmem i złym przykładem idącym z góry. Ale niestety mieliśmy też do czynienia z czymś gorszym – z trwałym pogorszeniem jakości kapitału ludzkiego w służbie publicznej.

Widmo polexitu

Stabilność finansowa też przestała być dogmatem. Trwałe zwiększanie wydatków publicznych bez zapewnionego finansowania, bez troskie zaciąganie długów i dodruk pieniędzy przez NBP w celu

pokrycia deficytów musiały doprowadzić do podważenia siły złotego. Na razie widzimy to w postaci inflacji, za jakiś czas zobaczymy też osłabienie kursu i wzrost stóp procentowych.

Polityka gospodarcza prowadzona w latach 2016–23 dała znaczny wzrost PKB. Jednak promowanie popytu konsumpcyjnego (przez transfery społeczne, na czele z 500+ i „nastymi” emeryturami, a także gwałtowny wzrost płacy minimalnej) odbywało się kosztem spadku udziału inwestycji w PKB. Połączenie szybkiego wzrostu popytu i płac, zasilanego finansującym deficyt dodrukiem pieniądza, oraz zbyt małych inwestycji i wolno rosnącej, a ostatnio spadającej wydajności pracy to prosta recepta na inflację. Nie żadną „putinflacją”, która okazała się wygodnym wykrętem dla rządzących, ale inflacją wywołaną w głównej mierze własną polityką finansową. Warto przypomnieć, że inflacja wzrosła z 2,4 proc. w lutym 2021 r. do 9,4 proc. w styczniu 2022 r., a więc na wiele miesięcy, zanim Putin zaatakował Ukrainę (nie osiągnęła poziomu dwucyfrowego tylko dzięki pierwszej „tarczy antyinflacyjnej”).

No i oczywiście doszła do tego kłótka z UE. Konflikt o praworządność zablokował dostęp do 60 mld euro z tytułu Krajowego Planu Odbudowy, rosło też zagrożenie odcięciem od funduszy strukturalnych. Część z tych pieniędzy była zresztą już potrącana a conto niepłaconych przez Polskę kar nałożonych przez Trybunał Sprawiedliwości UE. Mnożyły się groźby polskiego weta i decyzje podejmowane wbrew prawu Unii, nasilała się antyeuropejska retoryka, raport Patryka Jakiego (bełkot z ekonomicznego punktu widzenia) przekonywał twardy elektorat, że członkostwo przynosi Polsce więcej strat niż korzyści. Widząc gotowość rządzących do rezygnacji z wielomiliardowych dotacji, byle tylko nie zrobić kroku wstecz w polityce wewnętrznej, raczej nie można było wątpić, że rozpoczął się polexit.

Harce w gospodarce

Spadek po rządach PiS jest nie do pozazdroszczenia. Przede wszystkim wygląda na to, że polska gospodarka ma w najbliższych latach ograniczone możliwości wzrostu. Kiedy PiS przejmował władzę, inwestycje stanowiły ponad 20 proc. PKB. Kiedy w 2017 r. premier Morawiecki ogłosił „Strategię odpowiedzialnego rozwoju”, za główny cel polityki gospodarczej rządu uznał zwiększenie tego udziału do 25 proc. Do wybuchu pandemii spadł on jednak poniżej 19 proc., a obecnie ►

tego sukcesu, choć rozpoczęta hasłem „Polski w ruinie” i obietnicami radykalnych zmian. Niestety, to co na początku wydawało się typową wyborczą retoryką, w znacznej mierze rzeczywiście zaowocowało działaniami gruntownie – i negatywnie – zmieniającymi polską gospodarkę.

Trzy dekady sukcesu bazowały na trzech filarach, których do 2015 r. nie naruszał żaden rząd, nawet jeśli werbalnie potępiał swoich poprzedników.

Pierwszym były systematycznie wzmacniane instytucje służące rozwojowi gospodarczemu. Ekonomści rozumieją słowo „instytucje” w sposób bardzo szeroki. To nie tylko urzędy odpowiedzialne za stanowienie prawa i dostarczanie usług publicznych. To również regulacje i procedury tworzące otoczenie rynkowe oraz instytucje nieformalne, np. dominujące na rynku zasady zawierania umów,



Nowy rząd może dać gospodarce to, czego jej najbardziej przez ostatnie lata brakowało: przewidywalność i stabilność.

► do najniższego w historii poziomu 17 proc. Jeśli gdzieś mamy szukać najbardziej oczywistego dowodu klęski polityki gospodarczej byłego premiera, to właśnie tu. Mimo silnego napływu inwestycji zagranicznych, znakomitej koniunktury w kraju i za granicą, łatwo dostępnego i taniego kredytu polskie firmy systematycznie ograniczały swoją aktywność inwestycyjną. Jedynym możliwym wytłumaczeniem były polityczne harce i stale utrzymujący się nastrój niepewności co do polityki rządu. A nic tak nie zniechęca do inwestowania jak niepewność.

Czynnikiem, który dodatkowo utrudnia szybki wzrost gospodarczy, jest sytuacja na rynku pracy. Dzięki kilkunastu latom nieprzerwanego rozwoju po wejściu do Unii, w połączeniu ze spadającą z przyczyn demograficznych podażą pracy, w Polsce praktycznie zniknęło bezrobocie. Jest to oczywiście nasz ogromny sukces (który, rzecz jasna, Mateusz Morawiecki przypisuje sobie). Ale oznacza też coraz większe kłopoty ze znalezieniem pracowników i silnie rosnące płace. Innym hamującym rozwój czynnikiem są rosnące koszty energii, po części wynikające z zaniedbań w polityce transformacji energetycznej. Z tymi wszystkimi problemami można by było sobie poradzić dzięki inwestycjom zwiększającym wydajność pracy i ograniczającym energochłonność. Ale tych inwestycji na razie nie ma, więc zamiast przyspieszonego wzrostu mamy raczej nieustającą presję inflacyjną.

Perspektywy gospodarcze nie wyglądają więc różowo. Z jednej strony dość słaby wzrost, z drugiej trudna do opanowania inflacja. Do tego dochodzą rosnące problemy finansowe. Choć finanse publiczne są rzekomo w znakomitym stanie, w rzeczywistości w ciągu ostatnich lat rząd utracił kontrolę zarówno nad dochodami (malejąca luka VAT to już, niestety, historia przyćmiona efektami nieudolnego Polskiego Ładu), jak i nad wydatkami, zwłaszcza tymi, które kierowane są na bieżące potrzeby konsumpcyjne. Efektem tego stał się gwałtownie rosnący deficyt i dług publiczny, zwłaszcza wtedy, gdy do beztrojskich decyzji rządu o kolejnych wydatkach doszła rzeczywista konieczność zwiększenia nakładów na obronę.

Już w obecnym roku odnotujemy zapewne jeden z najwyższych deficytów w historii, a rozpędzone wydatki i poczynione przed wyborami obietnice pchają nas w stronę jeszcze wyższego deficytu w roku przyszłym. Szczęście, że agencje ratingowe jak dotąd patrzą na to wszystko spokojnie.

Niespodziewane prezenty

Nowy rząd znajdzie jednak w gospodarce także kilka prezentów, które mogą mu ułatwić rządzenie. Pierwszym jest, paradoksalnie, inflacja. Inflacja zjada nasze oszczędności i psuje nastroje, ale akurat rządowi do pewnego stopnia pomaga w radzeniu sobie z rosnącym długiem publicznym. Tajemnica tkwi w tym,

że inflacja pożera część realnej wartości długu, dzięki czemu jego relacja do PKB pozostaje na umiarkowanym poziomie. To właśnie dzięki temu Morawiecki mógł twierdzić, że za rządów PiS dług nie wzrastał, mimo że nominalnie się podwoił: relacja długu do PKB w końcu 2015 r. wynosiła 51 proc., w zeszłym roku dzięki inflacji spadła do 49 proc., w obecnym zapewne wzrosła do 53–54 proc. I ten stosunkowo niski poziom zadłużenia ratuje nas przed groźbą kryzysu finansowego, wyjaśnia spokój agencji ratingowych i daje nowemu rządowi czas na to, by uporządkować finanse państwa.

Innym prezentem są czekające w Brukseli pieniądze z Krajowego Planu Odbudowy. Choć teoretycznie będzie można po nie sięgnąć dopiero po dokonaniu ustawowych zmian dotyczących przywrócenia niezależności sądownictwa (którym zapewne sprzeciwi się prezydent), nowy rząd będzie pewnie umiał się porozumieć w tej sprawie z Brukselą. Dysponuje bowiem potężnym atutem, którego nie mieli notorycznie łamiący swoje zobowiązania i rzucający gromy na Unię poprzednicy: kredytem zaufania. Pieniądze z KPO nie są remedium na wszystkie nasze problemy, ale na pewno mogą pomóc w ożywieniu gospodarki, wyrwaniu jej ze stagnacji i doprowadzeniu do poprawy nastrojów.

I to jest właśnie trzeci, być może najcenniejszy, choć niezamierzony prezent od poprzedników. Rząd Morawieckiego osiągnął mistrzostwo w zniechęcaniu firm do inwestowania i tworzeniu atmosfery stałej niepewności. Jeśli nowemu rządowi uda się to zmienić, możemy mieć w Polsce do czynienia z radykalną poprawą klimatu inwestycyjnego, a w ślad za tym stanem koniunktury. Taka poprawa nastrojów może nawet prowadzić do pojawienia się zdumiewających zjawisk, nazywanych przez ekonomistów efektami niekeynesowskimi – sytuacji, kiedy nawet program oszczędności budżetowych, który normalnie pogarszałby koniunkturę, powoduje jej poprawę dzięki wzrostowi zaufania do prowadzonej polityki. Nowy rząd raczej nie będzie miał w swoim arsenale obniżek podatków dla firm, ale może zaoferować ich uproszczenie, a przede wszystkim przewidywalność i stabilność. Inwestycje są dziś w Polsce tak niskie, że przy umiędnej i odpowiedzialnie wiarygodnej polityce gospodarczej można liczyć na ich szybki wzrost.

A jeśli wzrost gospodarczy przyspieszy, łatwiej będzie rozwiązać wszystkie inne problemy.

WITOLD M. ORŁOWSKI

Polityczne skrytobójstwa



Już w kioskach
i na
sklep.polityka.pl



Słuchaj także podcastu „POLITYKA o historii” na polityka.pl/podkasty
Zapraszamy na profil pełen historii: <https://www.facebook.com/projektpulsar>

Big zgaga

Na konferencji klimatycznej COP28 w Dubaju miejsce naftowych i gazowych lobbystów, od lat blokujących walkę o klimat, godnie zajęli przedstawiciele Big Meat, branży mięsnej.

PAULINA WILK

Stołówki i bufety w dubajskim Expo City, gdzie do 12 grudnia trwała konferencja klimatyczna ONZ, po raz pierwszy serwowały w większości dania wegańskie. Podawane były gorące bajgle z pastą z owoców nerkowca i marchewkowym „łososiem”. W fish & chips rybę zastąpiły panierowane kwiaty banana z groszkiem miętowym i sosem tatarskim. A na deser: ciasto marchewkowe na spodzie z mieszanki migdałów i orzechów włoskich, obficie przekładane „serową” masą z nerkowców. Były też kebaby z soczewicy i warzywne sushi.

Twórcami dań byli restauratorzy z Emiratów, jak PBX Lifestyle czy Switch Foods, promujący zrównoważoną kuchnię. Składniki czerpali od lokalnych wytwórców. A jadłospis był owocem współpracy ZEA – gospodarzy COP28 – z ProVeg International, globalną organizacją promującą świadome jedzenie.

Mięsne lobby przyjęło tę kartę dań z niezadowoleniem, bo jest uwierającym znakiem nowej ery. Takiej, w której na pierwszy plan w batalii o zachowanie porozumień paryskich z 2015 r. i zatrzymanie globalnego ocieplenia na poziomie 1,5 st. C wysuwa się miazdząca prawda: aby powstrzymać ocieplenie, konieczne jest nie tylko wyeliminowanie paliw kopalnych, ale także drastyczne ograniczenie produkcji mięsnej i mleczarskiej.

gorzej niż nacierze

Hodowla bydła na świecie odpowiada aż za 80 proc. emisji metanu. Jego potencjał cieplarniany w perspektywie 20 lat szacuje się na 80-krotnie silniejszy niż CO₂. Już sam poziom jego emisji z hodowli wystarczy, byśmy przekroczyli krytyczny próg ocieplenia atmosfery o 1,5 st. C.

Produkcja mięsa i mleka odpowiada za 15 proc. globalnej emisji gazów cieplarnianych (a jest to wskaźnik niedoszacowany – o czym dalej), czyli za co najmniej połowę emisji całej branży żywności. Aby wyprodukować kilogram wołowiny, trzeba wyemitować do atmosfery 30-krotnie więcej CO₂ niż przy produkcji kilograma tofu. Według badaczy z Johns Hopkins Hospital, produkcja składników diety roślinnej daje o 93 proc. mniej CO₂ niż produkcja wołowiny.

Tymczasem konsumpcja mięsa na świecie wzrosła od 1998 r. o ponad 60 proc., ten rynek jest wart już 1,4 bln dol. Po pandemii ceny żywności wzrosły, same ceny mięsa w USA – o ponad 12 proc. A JBS, największa na świecie wywodząca się z Brazylii firma produkująca mięso, w ubiegłym roku zanotowała wzrost zysków o 70 proc. Jest już na giełdzie w ojczyźnie, teraz

chce wejść na tę nowojorską, by zyskać dostęp do globalnego kapitału i rosnąć jeszcze szybciej.

Ambicje JBS są hamowane przez działaczy klimatycznych, zwracających uwagę na szkodliwe praktyki lidera branży mięsnej. Chodzi między innymi o korzystanie z mięsa bydła hodowanego na terenach poddanych nielegalnej wycince w Amazonii, zagarniętych wcześniej od rdzennych plemion. A także na ukrywanie przez firmę rzeczywistej liczby zabijanych zwierząt, a co za tym idzie – swojego śladu węglowego i metanowego.

Ich skalę można sobie jednak wyobrazić, skoro według GRAIN (działającej od lat 80. organizacji pozarządowej wspierającej małych rolników) trzy największe na świecie firmy mięsne – JBS, Tyson Foods i Cargill – łącznie powodują większą emisję gazów cieplarnianych niż koncerny paliwowe Shell i BP. Sama branża mleczarska, według szacunków ONZ, emituje więcej gazów cieplarnianych niż przemysł lotniczy.

Producenci mięsa i mleka znaleźli się więc na celowniku. Presja na wprowadzenie zmian w globalnym systemie żywienia roślinie. Dlatego na COP28 przyjechali przygotowani i zdecydowani, by przejąć kontrolę nad tym, co o szkodliwości



© ALF RIBEIRO/SHUTTERSTOCK

zjadania zwierząt usłyszy świat. W kulisach COP28 toczyła się kluczowa bitwa o przyszłość naszych jadłospisów.

Korytarze, sale konferencyjne i bankietowe COP28 usiane były lobbystami i przedstawicielami firm, których działalność stoi w sprzeczności z misją ratowania planety. Wśród 80 tys. tegorocznych delegatów było co najmniej 2,5 tys. lobbystów paliwowych. Ilu ludzi reprezentowało przemysł mięsny i mleczarski? Trudno to było policzyć, ale ich liczba gwałtownie wzrasta, odkąd ubiegłoroczna COP w Egipcie zwróciła szczególną uwagę na związek między produkcją żywności, zmianami klimatycznymi i spadkiem bezpieczeństwa żywnościowego.

Różowe przypinki

Reprezentanci branży mięsnej i mleczarskiej przyjechali na COP28 jako przedstawiciele firm (w tym gigantów JBS, Danone, Nestle czy producentów pestycydów – Bayer, Nutrien), lobbysci, a nawet jako członkowie oficjalnych delegacji państwowych. Z wycieku dokumentów stworzonych przez Global Meat Alliance (stowarzyszenie branży mięsnej) wynika, że działają w sposób skoordynowany, otrzymują wskazówki dotyczące

prowadzenia rozmów i kluczowych przekazów, wykorzystują wyniki badań naukowych tak, by stawały produkty odzwierzęce w pozytywnym świetle (np. jako kluczowe dla eliminacji głodu na świecie, jako korzystne dla środowiska naturalnego).

Dzięki upublicznionemu śledztwu serwisu fact-checkingowego DeSmog wiadomo dość dokładnie, jakimi metodami przedstawiciele branży mięsnej i mleczarskiej mogli posługiwać się w Dubaju. Po pierwsze, starali się przeniknąć do składu oficjalnych delegacji państwowych, bo w konferencji nie mogły uczestniczyć korporacje jako takie. Ale w 2022 r. przedstawicielami Kanady byli m.in. członkowie Kanadyjskiego Stowarzyszenia Bydła, a w 2017 r. w delegacji Brazylii zasiadali przedstawiciele JBS.

Różowa przypinka – znak członkostwa w delegacji krajowej – daje prawo udziału w najważniejszych rozmowach na COP. Czyli wpuszcza do serca ustaleń i powstających strategii przeciwdziałania zmianom klimatu. To oznacza bezpośredni dostęp do decydentów, możliwość rozmawiania z nimi i kształtowania narracji oraz wpływania na podejmowane decyzje.

Tę ścieżkę dostępu skutecznie przetarli wcześniej przedstawiciele branży paliwowej. Dawny szef BP był rok temu członkiem ►



► państwowej delegacji Mauretanii, a Kanada miała wśród swych przedstawicieli członkowie korporacji Suncor pozyskującej ropę z piasków bitumicznych.

Metoda druga to ideologiczny szturm na pawilony, czyli na 225 stoisk, którymi wypełnione były korytarze i aleje Expo City – tam odbywały się prezentacje, wystawy i wydarzenia towarzyszące. To istny lunapark możliwości piarowych, okazja do nieoficjalnych rozmów i forsowania interesów. W pawilonach Australii i USA odbywały się np. panele dyskusyjne z udziałem przedstawicieli branży mięsnej i mleczarskiej.

Można też cały pawilon wykupić (koszt około miliona dolarów) i wypełnić własnymi wydarzeniami. Tak zrobiło w tym roku choćby International Emissions Trading Association (stowarzyszenie firm o wysokiej emisji gazów cieplarnianych), którego członkami są firmy takie jak Bayer (producent pestycydów) oraz Cargill (trzeci największy producent mięsa). Inne organizacje, jak związek producentów pestycydów czy związek producentów mięsa z USA, dorzucają się zazwyczaj do sponsorowania mniejszych pawilonów.

Długi cień hodowli

Mięsno-mleczni lobbyści mają dwa główne cele. Po pierwsze, zasiać zwątpienie w naukowe ustalenia. Np. przez sponsorowanie i promowanie wyników badań przychylnych branży. Po drugie, blokowanie faktycznych zmian, czyli regulacji ograniczających dalszy wzrost przemysłu.

Początek tej ofensywy nastąpił w 2006 r., kiedy to FAO (Organizacja Narodów Zjednoczonych ds. Wyżywienia i Rolnictwa) wydała szokujący dla branży hodowlanej dokument „Livestock Long Shadow” (Długi cień hodowli). To on wprowadził dyskusję o wpływie przemysłu mięsnego do globalnej agendy klimatycznej. Branża mięsno-mleczarska potraktowała go jak niespodziewany cios w plecy. Powołana w 1945 r. FAO miała walczyć z głodem i niedożywieniem, długo uchodziła więc za sojusznika branży żywnościowej.

Natychmiast po publikacji raportu zaczęły się naciski na jej kadrę zarządzającą, ta zaś zaczęła blokować dalsze działania zespołów badawczych. Skutek? Od 2013 r. FAO w oficjalnych dokumentach stopniowo obniżała wkład branży mięsnej w emisję spalin – najpierw do 15 proc., a według najnowszej metodologii – do ledwie 11 proc. (inne ośrodki krytykują FAO, mówią raczej o skali emisji sięgającej 20–28 proc.).

Emerytowani już eksperci FAO po latach opowiedzieli „Guardianowi”, że po raporcie z 2006 r. byli szykanowani, lobbyści naciskali na szefów organizacji, a ci blokowali dalsze badania, cenzurowali je, a nawet ręcznie przepisywali tezy publikowanych raportów. Trzeba było strajków badaczy, by ocalić brzmienia kolejnych dokumentów. Ale np. wytyczne w sprawie wprowadzania diet roślinnych zostały zablokowane, ulotki promujące globalne bezmięsne poniedziałki nakazano zniszczyć, nie opublikowano też dokumentu stwierdzającego, iż produkcja mięsa i mleka to największy na świecie sektor zatrujący wodę.

Mięso w cudzysłowie

Nowa wiedza o wpływie przemysłu żywności, w szczególności firm mięsnych i mleczarskich, na klimat to bomba, która dopiero wybucha. W 2022 r. firma Boston Consulting Group (BCG) opublikowała głośny raport stwierdzający, że przestawienie świata na dietę roślinną jest najlepszą inwestycją w poprawę klimatu. Jeden dolar zainwestowany w alternatywę dla mięsa i mleka zapewnia trzykrotnie większą redukcję emisji gazów cieplarnianych niż dolar zainwestowany w ekologiczny beton, siedmiokrotnie większą niż inwestycja w tzw. zielone

budownictwo, 11-krotnie większą niż zainwestowany w zero-emisyjne samochody.

I biznes na całym świecie już o tym wie. Międzynarodowe inwestycje w alternatywy dla mięsa i mleka (czyli w produkty o pochodzeniu roślinnym lub hodowane laboratoryjnie mięso) podskoczyły z miliarda dolarów w 2019 r. do obecnych 6 mld. I choć dziś te alternatywy to tylko 2 proc. produktów żywnościowych, w 2035 r. mają stanowić już 11 proc. (co oznaczałoby redukcję gazów cieplarnianych równą emisjom całej branży lotniczej).

Zdaniem wielu ekspertów wskazany przez BCG wzrost jest niedoszacowany i może być dużo wyższy. Według innego raportu BCG z 2022 r. szczyt produkcji mięsa na świecie osiągniemy już w 2025 r., wtedy konsumpcja zacznie spadać. Inne globalne ośrodki konsultingowe, jak AT Kaerney, robiące wywiady z ekspertami, wskazują, że w 2040 r. już 60 proc. mięsa będziemy brać w cudzysłów, bo nie będzie ono pochodzić z rzeźni. W 2025 r. rynek zamienników mięsa będzie wart 28 mld dol., siedmiokrotnie więcej niż w 2020 r.

Jednocześnie zmienia się kultura jedzenia. Przybywa fleksitarian, wegetarian i wegan. Rośnie świadomość, że zmiana diety jest nie tylko zdrowsza (mięso zwiększa ryzyko chorowania na nowotwory, cukrzycę, nadciśnienie, otyłość), ale też korzystniejsza dla klimatu i łatwiejsza do wdrożenia niż np. bolesne zrezygnowanie z latania samolotami czy konieczność adaptowania domów do skutków zmian klimatycznych.

Sektor na sterydach

Giganci przemysłu mięsnego zdają sobie z tego sprawę. Dlatego np. przejmują firmy tworzące niemięsne alternatywy i je „wyciszają”. Tak samo robiły koncerny paliwowe, łącząc na rozwój energii odnawialnej. I koncerny spożywcze, wchłaniając marki produkujące alternatywną, ekologiczną żywność.

Ma to związek z koncentracją dotychczasowego przemysłu. Zarówno na poziomie państw – USA, Brazylia, Chiny łącznie produkują 51 proc. wołowiny, jak i biznesu – w USA zaledwie cztery firmy kontrolują 85 proc. rynku mięsnego. Przejęcie rozdrobnionej dziś jeszcze sfery alternatyw dla mięsa (w samych Stanach działa ok. 1300 start-upów opracowujących jego zamienniki) grozi więc zamrożeniem innowacji.

Według prof. Erica Lambina i dr Simony Vallone – badaczy ze Stanford University, którzy przeanalizowali, jak wielkie dotacje i ulgi podatkowe otrzymuje przemysł mięsny i mleczarski w USA i UE – „siła sektora hodowli rolnej oraz jej wpływy polityczne są wprost gigantyczne” i skutecznie wykorzystywane.

Unia Europejska od 2017 r. idzie im na rękę, zakazując np. używania terminu „ser” czy „mleko” dla roślinnych alternatyw. A także przekazując aż 97 proc. pieniędzy z funduszy na rozwój i badania w tej branży dużym producentom mięsa i mleka. Niemal całe te środki, jak ustalił dziennik „One Earth”, od lat idą na zwiększanie produkcji.

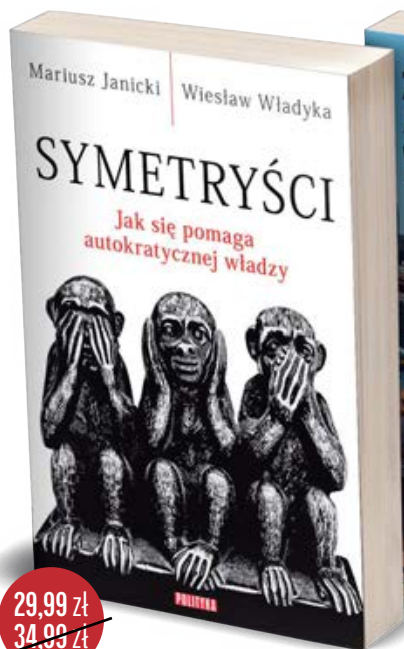
Jak tę wielką siłę mięsnych gigantów przełamać? Eksperci wskazują przede wszystkim na twarde regulacje polityczne, w tym wprowadzenie prawdziwych cen żywności, czyli np. wliczenie w koszt 1 kg wołowiny jej realnych kosztów środowiskowych. Potrzebne byłoby także nowe opodatkowanie oraz przesunięcie dofinansowania na rozwój alternatyw roślinnych.

Kluczowe jest też rzetelne informowanie konsumentów o tym, jak olbrzymią cenę płacą za powstawanie taniego i masowo produkowanego mięsa i mleka. Pochłaniają one aż 83 proc. całej ziemi uprawnej na planecie, ale dają nam zaledwie 18 proc. niezbędnych kalorii i tylko 37 proc. białek. W sumie więc bardziej opłaca się zjeść zboże, niż nakarmić nim krowę. Mięso aż staje w gardle.

PAULINA WILK



Wartościowe pomysły na prezenty świąteczne!



Mariusz Janicki, Wiesław Władyka
SYMETRYŚCI
Jak się pomaga autokratycznej władzy



Tomasz Zalewski
ŻYDOWSKA AMERYKA
Wczoraj i dziś diaspory w USA



Jerzy Baczyński
PRZYPISY
czyli krótka historia 8 długich lat

PRENUMERATA ROCZNA NASZYCH CZASOPISM



Tylko na sklep.polityka.pl

* ceny obowiązują przy zamówieniach złożonych do 31.12.2023

Rozmowa z Elizabeth Shakman Hurd, ekspertką od roli religii w stosunkach międzynarodowych, o tym, dlaczego Ameryka bezgranicznie kocha Izrael. I jak przywrócić racjonalność w tej relacji.

Ziemie nieobiecane

MARIUSZ ZAWADZKI: – Kiedy rząd Beniamina Netanjahu bombarduje Gazę, amerykańscy dyplomaci komentują, że „Izrael ma prawo do obrony”. Krytycy Izraela w USA są oskarżani o antysemityzm lub popieranie terrorystów. Ale kiedy popatrzeć na sondaże, obraz nie jest już tak jednoznaczny. A młodzi są nawet przeciwko Izraelowi – w ostatnim badaniu Gallupa dwie trzecie respondentów poniżej 35 lat stwierdziło, że nie popiera bombardowań Gazy. Najwyraźniej elity są dużo bardziej proizraelskie niż reszta społeczeństwa. Dlaczego tak jest?

ELIZABETH SHAKMAN HURD: – Trzeba się zastanowić, gdzie te elity były kształcone i jak się socjalizowały politycznie. Amerykański system edukacji, od szkół podstawowych do uniwersytetów włącznie, nie działa w politycznej próżni. Jest odbiciem naszej polityki zagranicznej. I – co nawet ważniejsze – jest osadzony w narodowej tożsamości. Twoja opinia o Izraelu jest jak papierek lakmusowy, którym sprawdzane jest twoje przywiązanie do wolności, demokracji, unikatowości Ameryki – do wszystkich wartości, które są najważniejsze w naszym projekcie narodowym.

Jakie są tego źródła?

Po pierwsze, pamięć zagłady Żydów, która jest mocno zakorzeniona w naszej świadomości. W USA jest kilkadziesiąt muzeów Holokaustu. Po drugie, polityczna potęga amerykańskiego chrześcijańskiego syjonizmu, z jego biblijną eschatologią, czyli wiarą, że drugie przyjście Chrystusa będzie możliwe tylko wtedy, kiedy Żydzi będą gospodarzami Ziemi Obiecanej i odbudują Świątynię Salomona.

Dlatego dla wielu Amerykanów słowo Izrael znaczy dużo więcej niż państwo na Bliskim Wschodzie. Pytanie o to państwo odbierają jako pytanie o ich tożsamość, o Boga, o prawo do szczęścia i do wolności. Żeby krytycznie spojrzeć na Izrael, musieliby wyjść z kulturowego proizraelskiego kokonu. Coś samodzielnie poczytać, poszukać, zapoznać się z alternatywnymi punktami

widzenia, wykazać się dociekliwością i cierpliwością.

Może narracja propalestyńska jest zbyt skomplikowana i emocjonalna? To niekończąca się debata o tym, „kto zaczął, a kto się tylko broni”. A przecież tu i teraz toczy się konflikt o niewielki kawałek ziemi, na którym mieszka dzisiaj 7 mln Żydów i 7 mln Palestyńczyków. Ale Izrael kontroluje 90 proc. tej ziemi i oczekuje, że Palestyńczycy pogodzą się z takim podziałem. Lepiej podawać takie proste i bezsporne informacje.

Zgadzam się w zupełności. Ale żeby ludzie takie informacje usłyszeli, ktoś musi je głośno i często powtarzać. Jeśli chodzi o popularnych polityków, dopiero Bernie Sanders, który ubiegał się o nominację Demokratów w dwóch ostatnich kampaniach prezydenckich, wyłamał się ze schematu i zaczął mówić o Izraelu trochę innym językiem. Używał słów takich jak „okupacja”, które były wcześniej niedopuszczalne w amerykańskim mainstreamu. Zapewne wiedział, że nie zdobędzie nominacji, ale w wielu sprawach – w tym właśnie w kwestii Izraela – chciał zmienić reguły i granice debaty w Ameryce.

Dlaczego dopiero Sanders?

Wielu obserwatorów nie zdaje sobie sprawy z tego, jak ważna jest socjalizacja w amerykańskiej polityce, ale również biznesie, mediach, edukacji. To swoisty kulturowy savoir-vivre: jeśli nie rozumiesz historii i polityki Bliskiego Wschodu, to na wszelki wypadek popieraj Izrael, bo inaczej mogą cię uznać za antysemitę.

A może chodzi o to, że „projekt Ameryka” jest ludzko podobny do „projektu Izrael”? Zaczął się od tego, że praojcowie narodu – czy to pielgrzymi z Anglii, czy Żydzi powracający z diaspor – przyплыли z morza i siłą odebrali ziemię tubylcom. W przypadku Ameryki kultura rdzenna została zupełnie zniszczona, w przypadku Izraela proces marginalizacji „tubylców” jest dopiero



Allegoria przedstawiająca amerykańsko-izraelską przyjaźń.

w stadium realizacji. Żeby Amerykanin popatrzył krytycznie na Izrael, musiałby krytycznie spojrzeć na siebie.

To prawda, że oba projekty oparte są na kolonizacji. Ale nieprawdą jest, że Amerykanie nie potrafią krytycznie spojrzeć na swoją przeszłość. Robimy jako naród wiele, żeby się z nią rozliczyć. Nie ukrywamy tego, co się stało z plemionami rdzennymi, i staramy się naprawić krzywdy. Moja uczelnia Northwestern University stworzyła 10 lat temu specjalny program badań i edukacji w tej dziedzinie. Zatrudniamy wykładowców wywodzących się z rdzennej ludności Ameryki...

To raczej wyjątek. Kiedy mieszkałem w Wirginii, moja córka chodziła tam



Elizabeth Shakman Hurd – rocznik 1970, absolwentka Yale i Johns Hopkins University. Jest profesorką nauk politycznych i religioznawstwa na prestiżowym Northwestern University. Zajmuje się kwestiami z pogranicza polityki i religii, religią w stosunkach międzynarodowych oraz historią i polityką USA na Bliskim Wschodzie. Publikuje m.in. w „The Atlantic”, „Foreign Policy” i „The Washington Post”.

w proizraelskiej narracji. A jeśli już, to odpowiedź jest taka sama jak w przedszkolu mojej córki.

Żeby zwalczyć takie uproszczenia, należy edukować, cierpliwie pokazywać kontekst i inną perspektywę. Nie ma innej drogi. Robimy to i udaje nam się docierać do coraz większej grupy ludzi. Ale pełna zmiana świadomości wymaga zmiany pokoleniowej. Młodzi ludzie w wieku 20–35 lat są dużo bardziej otwarci i mają inne spojrzenie na konflikt palestyńsko-izraelski niż mainstreamowe media w Ameryce.

Starsze pokolenie ich atakuje, co pokazała niedawna afera na Harvardzie. Grupa studentów ogłosiła w otwartym liście, że „Izrael ponosi wyłączną odpowiedzialność za atak Hamasu”. W odpowiedzi kilku biznesmenów darczyńców Harvardu zażądało od uczelni ujawnienia nazwisk studentów, żeby wpisać je na „czarną listę dla pracodawców”; wokół kampusu zaczął jeździć autobus z ujawnionymi nazwiskami i zdjęciami sygnatariuszy opatrzonymi podpisem „Czołowi antysemita Harvardu”.

To, co się stało na Harvardzie, jest echem sytuacji w Izraelu. Nie chodzi tylko o obecną wojnę, ale też o dwie dekady rządów skrajnej prawicy, która promuje agresywną ekspansję osiedli żydowskich. Nie jest wielkim zaskoczeniem, że izraelski ekstremizm wpływa na temperaturę debaty w USA i uderza rykoszetem w studentów Harvardu.

Zostawmy studentów, są pod opieką uniwersytetu, który ostatecznie nie uległ presji i ich nie potępił – w imię wolności debaty. Jak rząd USA powinien zareagować na wojnę w Gazie?

Powinien zrobić wszystko, żeby Izrael zakończył naloty i powstrzymał lądową inwazję. Masakra niewinnych ludzi, w tym dzieci, która odbywa się na naszych oczach, jest bezsensowną tragedią.

A co Ameryka może zrobić po wojnie?

Klucz do rozwiązania konfliktu nie leży w Ameryce. Nasze wpływy na Bliskim Wschodzie słabną, i to chyba nawet lepiej

dla Bliskiego Wschodu. Żeby pojawiła się szansa na pokój, Izrael musiałyby – sam albo pod presją społeczności międzynarodowej – zrezygnować z kolonizacji Zachodniego Brzegu.

Kiedy byłem na Zachodnim Brzegu, zwykle już po kilkunastu minutach rozmowy z żydowskimi osadnikami wyjaśniali mi, że kilka tysięcy lat temu Bóg dał im tę ziemię na własność. Byłem również w Strefie Gazy i rozmawiałem z działaczami i bojownikami Hamasu. Oni z reguły pomstowali na izraelską blokadę i zapowiadali, że prędzej czy później zniszczą Izrael. Ale nigdy nie mówili mi nic o Bogu. Dlatego nie wykluczam, że to osadnicy, a nie hamasowcy, są religijnymi fanatykami.

W USA w XIX w. pojawiła się koncepcja, że przeznaczeniem Amerykanów jest zajęcie całego kontynentu, który został im ofiarowany przez Opatrzność (tzw. *manifest destiny*). Teraz niektórzy uważają, że zostaliśmy wyznaczeni przez Boga do roli przywódców całego świata. Nie mam gotowej odpowiedzi, jak z takimi ludźmi rozmawiać. Ale wiem, że trzeba rozmawiać. To z pewnością trudne dla wielu agnostyków, świeckich, niereligijnych – czy jakkolwiek ich nazwiemy. Ale żeby rozwiązać problem izraelsko-palestyński, musimy znaleźć wspólny język z ludźmi, którzy postrzegają swoje miejsce na świecie w wymiarze eschatologicznym. Dotyczy to nie tylko religijnych Żydów, ale również chrześcijańskich syjonistów w Ameryce, przekonanych, że wydarzenia w Izraelu są spełnieniem biblijnej przepowiedni i odgrywają kluczową rolę w boskim planie zbawienia. Musimy wypracować język komunikacji, który nie obraża i nie wyklucza żadnej ze stron – ani świeckiej, ani religijnej.

Zapytam inaczej: jak rozmawiać z ludźmi, którzy są nieracjonalni?

Różni ludzie są nieracjonalni na różne sposoby. To, co wydaje się nieracjonalne tobie, jest całkowicie sensowne dla twojego sąsiada po drugiej stronie ulicy. Ale skoro mieszkacie obok siebie, musicie się nauczyć ze sobą rozmawiać. ■

do przedszkola. Jej wychowawczynie opowiedziały dzieciom, jak powstała Ameryka: pokojowo nastawieni i bogobojni pielgrzymi przyплыли z oceanu, żeby stworzyć nowy lepszy świat. Ale zostali zaatakowani przez tubylców i musieli się bronić.

Niestety, taka narracja pokutuje w niektórych szkołach, ale nie wszędzie. W wielu szkołach rozumieją, że historia Ameryki jest znacznie bardziej skomplikowana niż historia o „bogobojnych białych protestanckich osadnikach”.

Teraz scenariusz z Wirginii powtarza się w Izraelu. Żydzi, tak jak pielgrzymi, są nieustannie atakowani i muszą się bronić. Ale dlaczego są atakowani? To pytanie raczej się nie pojawia

Stoję obok

Janja, żona prezydenta **Luli**, odegrała kluczową rolę w jego powrocie do władzy. Dziś część Brazylijczyków widzi w niej „diablicę”, część – przyszłą prezydentkę.

ARTUR DOMOSŁAWSKI Z SÃO PAULO

Tuż po wyborczym zwycięstwie rok temu Lula, w dżinsowej koszuli à la Jacek Kuroń, wygłasza pierwsze przemówienie jako nowy prezydent Brazylii. Janja (czyt.: Żanża), niedawno poślubiona przez niego aktywistka i socjolożka, o długich blond włosach, wielkich okularach i sukience w kolorze dyni, przewraca kartki z tekstem przemowy. Kamera chwytą w jej oczach łzy szczęścia.

To właśnie Janja napisała scenariusz prezydenckiej inauguracji: Lula pokazał się w gronie przedstawicieli rdzennych mieszkańców, potomków niewolników, aktywistek i aktywistów ruchów oddolnych.

Dziś, rok po tamtych wydarzeniach, Brazylia wciąż dyskutuje na temat pierwszej damy. 57-letnia Janja – tj. Rosângela Lula da Silva – nie ma gabinetu w pałacu prezydenckim w Brasílii. Ale nikt nie ma też wątpliwości, że wyraźnie wpływa na politykę 78-letniego męża. Występuje do ministrów z apelami i prośbami; towarzyszy Luli w podróżach zagranicznych.

Jej wypowiedzi i tańce – Janja uwielbia tańczyć – bywają viralami na Instagramie (jej konto obserwuje ok. 2,5 mln użytkowników). Janja roztacza nad mężem opiekę, uprawia miękki piar. Ma swoje zdanie i bynajmniej go nie ukrywa, co nie wszystkim w otoczeniu prezydenta się podoba. Podczas oficjalnej wizyty w Lizbonie, gdy usłyszała od kobiety z protokołu dyplomatycznego, że ma stanąć za Lulą, odpowiedziała: „Nie, kochana, stoję zawsze obok niego”.

Obiady do więzienia

Poznali się w grudniu 2017 r., w czasie meczu seniorów, gwiazd polityki i kultury. Janja przyszła kibicować, mając nadzieję poznać piosenkarza Chica Buarque, który wraz z Lulą biegał po boisku. Wspólny obiad po meczu skończył

się prośbą innego mężczyzny o numer telefonu – rzekomo w sprawie służbowo-politycznej. Tym mężczyzną był Lula. Zadzwoił, umówili się...

Początkowo ich romans był owiany tajemnicą. Lula wciąż był w żałobie po zmarłej 10 miesięcy wcześniej żonie Marisie Leticii, z którą dzielił życie przez 43 lata. Jego pierwsza żona, Maria de Lourdes, zmarła w 1971 r., będąc w ciąży.

Cztery miesiące po pierwszej randce z Janją, w kwietniu 2018 r., Lula zostaje aresztowany pod zarzutami korupcji i handlu wpływami, a następnie skazany na 12 lat więzienia. Mimo aresztowania wciąż wyraźnie prowadzi w sondażach przed wyborami. Ale jako skazaniec nie może jednak brać w nich udziału. Elita polityczno-gospodarcza zblatowana z częścią sędziów za pomocą lipnych poszlak i nadużyć w postępowaniu dowodowym usunęła go z pola rywalizacji. Wybory w październiku 2018 r. wygrał Jair Bolsonaro – faszyzujący rasista, seksista i negacionista zmian klimatycznych.

O aresztowaniu Luli Janja dowiedziała się z radia. Zadzwoiła do niego – powiedziała tylko, żeby zachowała spokój. Przez następne półtora roku rozkwitała miłość korespondencyjna. Listy Janji zanosili codziennie do więzienia adwokaci Luli, a późnym popołudniem przekazywali jego listy do niej. Prócz listów przynosili też obiady, które Janja niemal codziennie gotowała dla przyszłego męża. Naprzeciw budynków więzienia w Kurytybie, gdzie trzymano Lulę, Janja wraz z jego sympatykami organizowała pikety, domagając się uwolnienia niesprawiedliwie skazanego.

Najgorszym momentem dla Luli w więzieniu była śmierć 7-letniego wnuka, Artura Araujo da Silvy (zapalenie opon mózgowych). Luli pozwolono wziąć udział w pogrzebie, pod dyskretną eskortą policji. Nie załamała się, przeciwnie – nowa miłość uskrzydliła go. Dużo czytał, dbał o kondycję fizyczną; o psychiczną



zadbała Janja. Prawnicy tymczasem walczyli o zmianę wyroku. Gdy jego obalenie było bliskie, znajomy Luli, ekonomista Luis Carlos Bresser-Pereira, ogłosił na Facebooku, że pierwszą rzeczą, jaką Lula zamierza zrobić po wyjściu z więzienia, jest wzięcie ślubu.

8 listopada 2019 r., po półtora roku za kratami, Lula pojawia się publicznie. Wydaje się młodszy niż przed uwięzieniem; tryska energią. Obok niego stoi Janja. „To moja przyszła towarzyszka życia – mówi i daje jej publicznie całusa. – To wycznę: znalazłem dziewczynę [siedząc w więzieniu]”. Zaraz później Janja pakuje walizki i jedzie z Lulą do São Bernardo do Campo, przemysłowego miasta na obrzeżach São Paulo, gdzie on ma mieszkanie. Gdy pandemia dogasa, Janja i Lula pobierają się w São Paulo.

Wszystko to nie pozostaje bez wpływu na rozpoczynającą się kampanię wyborczą. Lula chce wrócić do władzy, posprzątać po katastrofalnych rządach Bolsonaro. Janja nadzoruje jego bezpieczeństwo, logistykę jego spotkań. W czasie wieców ociera mu pot z czoła i podaje wodę. Apeluje do kobiet o głosowanie na męża. Wymyśla również główne hasła kampanii: „Miłość zwycięża nienawiść”.

W drugiej turze wyborów w 2022 r., do której przeszli Lula i Bolsonaro, rola Janji jeszcze urosła. Zasadnicze znaczenie miało to, kogo poprze Simone Tebet, która zajęła trzecie miejsce. Tebet to – według słów Janji – „konserwatywna feministka”, przeciwna m.in. prawu



do aborcji. To Janja zadzwoniła do Tebet i poprosiła ją o poparcie męża. Udało się i Lula wygrał.

Po wyborach Janja zadeklarowała, że jako pierwsza dama zajmie się najpierw trzema sprawami: przeciwdziałaniem przemocy wobec kobiet, zapewnieniem wyżywienia wszystkim Brazylijczykom (za rządów Bolsonaro do Brazylii powrócił głód) oraz walką z rasizmem. Za wyzwanie trzeciej już kadencji Luli uważa przebudzenie solidarności ze słabszymi. „Boli, gdy idę ulicami São Paulo i widzę, jak ludzie odwracają wzrok od całych rodzin żyjących na ulicy – powiedziała w wywiadzie dla telewizji Globo. – Społeczeństwo brazylijskie było w przeszłości bardziej solidarne, trzeba tę solidarność na nowo obudzić”.

Walcząc z paprotką

Kłopot, jaki napotyka Janja, polega na tym, że prawo brazylijskie nie definiuje roli pierwszej damy. Kultura macyzmu dookreśla ją za to aż zanadto: „Siedz cicho, najlepiej w kuchni, publicznie jesteś paprotką”. Ale Janja widzi tę rolę zupełnie inaczej. Grała pierwsze skrzypce w rządowej kampanii przeciw kobietobójstwom i miała wpływ na kilka ministerialnych nominacji, przede wszystkim piosenkarki Margareth Menezes na ministrę kultury. Niektórzy współpracownicy Luli uważają, że nikt inny nie ma na niego tak przemożnego wpływu jak żona.

W czasie wizyty Luli w Buenos Aires pozowała do zdjęć na balkonie Casa Rosada,

siedziby prezydenta Argentyny. To z tego balkonu przemawiała do tłumów ukochana przez biedotę Evita Peron. Tak samo jak Evitę, niektórzy nazywają Janję „prawdziwą wiceprezydentką” (formalnie jest nim konserwatywny polityk Geraldo Alckmin). W Brazylii taką publiczną rolę jako pierwsza dama odgrywała jedynie Ruth Cardoso, antropolożka, żona prezydenta socjologa Fernanda Henrique Cardosa (1995–2003). Inne pierwsze damy nie miały publicznej agendy ani głosu.

W maczystowskim społeczeństwie pozycja i wpływy Janji budzą irytację. Niechęcią, choć zazwyczaj skrywaną, darzą ją nawet mężczyźni z otoczenia Luli. „Pseudomodernistyczny dyskurs Janji jest powierzchowną, mdłą mieszaniną, pozbawioną ideologii i intelektualizmu” – powiedział jeden z nich francuskiemu dziennikowi „Le Monde”. Niektórzy widzą w niej hipsterkę, próżną instagramerkę, kobietę łąsą na rolę celebrytki, wreszcie – nowobogacką, która namówiła Lulę do przeprowadzki z proletariackiego São Bernardo do Campo do zamożnej dzielnicy Alto de Pinheiros w São Paulo.

Jeszcze jeden anonim doniesiony francuskiej gazecie: „Janja jest przerażająca. Prywatnie potrafi być brutalna, kapryśna i autorytarna”. Według tego samego źródła Lula nie korzysta sam z telefonu komórkowego (to informacja znana od lat) i to Janja dzwoni za niego, a w ten sposób wpływa na to, kto ma realny dostęp do męża. „Ona go izoluje” – twierdzi rozmówca „Le Monde”.

Szczera nienawiścią darzy Janję prawica. Mówią o niej „przekupna wampirzyca” i „prostytutka” – o czym ma rzekomo świadczyć ponad 20-letnia różnica wieku między nią i Lulą. Powstają podrabiane filmy i zdjęcia stworzone przy użyciu sztucznej inteligencji, na których jej twarz łączona jest z sylwetkami innych osób.

Prawicowcy przypisują też Janji praktykowanie afro-brazylijskiej religii candomble – jakby było w tym coś zasługującego na potępienie. Candomble to największe w Brazylii wyznanie o afrykańskiej proveniencji. Ale krytycy Janji, szczególnie z kręgu Kościołów neozielonościowych, które w większości popierają Bolsonara, łączą afroreligię z satanizmem i zabijaniem zwierząt. „To satanistka!” – mówią. Janja nie praktykuje żadnej religii, a jej ślub z Lulą był katolicki, ponieważ katolikiem jest Lula.

Ona ma imię

Urodziła się w 1966 r., w małym miasteczku w Paranie na południu kraju. Ojciec był sklepikarzem, mama – gospodynią domową. Zaczęła studiować socjologię u schyłku dyktatury wojskowej. Jako 17-latką zapisała się do Partii Pracujących – Lula organizował wtedy strajki przeciw juncie i był jej liderem. Potem pracowała w elektrowni Itaipu, gdzie odpowiadała za kontakty z rdzennymi mieszkańcami na terenach dotkniętych działaniami elektrowni.

Dziś Janja odmładza Lulę i rządzącą w Brazylii lewicę – dosłownie i politycznie: podważa wyobrażenia o roli pierwszej damy, i szerzej – kobiet w życiu publicznym. Coraz częściej mówi się, że za cztery lata to ona stanie w szranki o prezydenturę. I możliwe, że jej rywalką będzie... Michelle Bolsonaro, żona byłego prezydenta.

Janja ma też mały front walki w domu. Lula należy do pokolenia, które walczyło o prawa ekonomiczne i socjalne, a o prawa kobiet – dopiero od niedawna. Dzięki Janji Lula może powiedzieć, że jest „maczystą w fazie dekonstrukcji”, a Janja zapewnia, że pomaga w domu, czasem uczestniczy we wspólnym gotowaniu i parzy kawę. Razem ćwiczą, oglądają westerny, tańczą i kibicują.

Jak się przejawia macyzm Luli? – spytano kiedyś Janję. Po chwili namysłu odrzekła: „Czasem mówi o towarzyszcce życia kolegi z rządu »żona Haddada« [chodzi o Fernanda Haddada, ministra skarbu – przyp. red.]. Ja go poprawiam: »Ana Estela«, ona nie jest tylko żoną Haddada, ona ma imię”. ■



Mnisi patrioci

Buddyjska świątynia Ryongthong,
Kaesong, Korea Północna.

Nawet władze Korei Północnej uznały w końcu, że nie ma sensu walczyć z każdą religią. Dlatego coraz lepiej mają się tam buddyści – jako jedyni pasują do narodowej mitologii.

ROMAN HUSARSKI Z SEULU

Organizacja Open Doors, badająca prześladowanie chrześcijaństwa, od lat wskazuje Koreę Północną jako państwo o najbardziej agresywnej polityce wobec wyznawców Chrystusa na świecie. Zachodnie ośrodki badawcze niewiele uwagi poświęcają jednak obecności w tym kraju innych religii – z góry zakładając, że ich sytuacja jest tak samo tragiczna. A z tym bywa różnie.

Na przykład buddyści przez wiele dekad byli tam prześladowani. Ale od lat 90. ich sytuacja jest lepsza. Na nowo wspomina się ważne dla buddyzmu postacie historyczne. W filmach wychwala się buddyjską sztukę. A do odnowionych świątyń buddyjskich przyjeżdżają szkolne wycieczki.

Krytycy uważają, że to wyłącznie fasada, a buddyjscy mnisi w Korei Północnej

to przedstawiciele bezpieczeństwa, zakładający mnisi szaty wyłącznie na oficjalne spotkania. Inni argumentują, że buddyzm przetrwał dzięki licznym ustępstwom wobec państwa, a dziś jest po prostu użyteczny dla aparatu władzy.

Ryż to zjednoczenie

Nie ma chyba osoby lepiej zorientowanej w sytuacji północnokoreańskiego buddyzmu niż mnich Popta z Korei Południowej. Z powodu licznych projektów humanitarnych prowadzonych na Północy – był tam ponad sto razy – nazywany jest dążącym do stanu buddy Bodhisattwą Zjednoczenia.

Popta mieszka w górskiej pustelni, o godzinę drogi od świątyni Eunhaesa (prowincja Gyeongsang), której jest opatem. Buddyjskie pawilony są tu niezwykle ascetyczne, a odwiedzających wita pomnik

Bodhidharmy, mitycznego założyciela tradycji zen, o nietypowej w buddyzmie dzikiej aparycji.

– *Pastor? Ksiądz? Ludzie długo nie potrafili zrozumieć, kim jestem* – Popta wspomina swoją pierwszą wizytę w Korei Północnej. To był rok 1989, 13. Światowy Festiwal Młodzieży i Studentów w Pjongjangu, czyli północnokoreańska odpowiedź na igrzyska olimpijskie w Seulu. Pojawili się tam ponoć przedstawiciele 177 narodowości. I dla tych międzynarodowych gości wybudowano w stolicy dwa kościoły. O buddyściach zapomniano.

– *Gdy w końcu zrozumieli, kim jestem, zabrali mnie do świątyni pod Pjongjaniem. To było niezwykle przygnębiające wydarzenie* – wspomina Popta. Mnisi, których spotkał, ewidentnie niedożywieni, mieli nietypowe zwyczaje. Nie żyli w świątyniach, nie golili głów, nie znali tekstów buddyjskich hymnów. Ich rola sprowadzała się do otwierania świątyni odwiedzającym i przeprowadzania prostych rytuałów.

Po powrocie do kraju Popta zaczął działać na rzecz zjednoczenia. Jego aktywizm nie wszystkim się podobał. Prawica nazywała go „czerwonym mnichem”, a podczas nagonki na rzekomych sympatyków kimirsenskiej filozofii dżucze w 1994 r.

Popta trafił nawet do więzienia. Przełom nadszedł za prezydentury Kim Dae-junga (1998–2003), noblisty, twórcy „słonecznej polityki”, czyli próby zbliżenia obu krajów. Prezydent oficjalnie przeprosił mnicha za represje, a Popta zaczął regularnie jeździć na Północ.

Najpierw przy jednej z północnokoreańskich świątyni otworzył fabrykę makaronu. Chodziło o poprawę wizerunku buddystów, uważanych w socjalistycznym kraju za „darmozjadów”. Na zarzuty, że wspiera w ten sposób zbrodniczy reżim, odpowiadał hasłem „ryż to zjednoczenie” – ten slogan do dziś widnieje zresztą na drzwiach jego pustelni.

Wroga klasa

Zdaniem Popty na tle innych religii buddyzm miał w Korei Północnej więcej szczęścia. Represje religijne pojawiły się już w pierwszym okresie okupacji sowieckiej (1945–48), ale dotyczyły przede wszystkim chrześcijan i wyznawców czondoizmu (Niebiańskiej Drogi), synkretycznej religii koreańskiej. Oba wyznania miały zaplecze polityczne i mogły zagrozić komunistom. Dlatego niszczone je bezlitośnie.

Buddystów na Północy było niewiele. Ich ośrodki religijne znajdowały się zazwyczaj na głębokiej prowincji. Buddyzm w obu Koreach dopiero się odradzał, po wiekach prześladowań przez rządzących Królestwem Joseon neokonfucjaniistów. Aż do 1895 r. mnisi mieli zakaz przekraczania murów miejskich, a w miastach nie było świątyni. W efekcie osłabiony buddyzm nie stanowił zagrożenia dla nowej, komunistycznej władzy.

Jednak represje nie ominęły również wyznawców tej religii. Świątyniom odebrano ziemie, zakazano przekazywania datków mnichom, a wszystkie buddyjskie organizacje scalono w jedną, istniejącą do dziś Federację Buddystów Korei. Przywództwo w niej objęli „progresywni” mnisi – zainspirowani rosnącą popularnością chrześcijaństwa wśród Koreańczyków, próbowali modernizować swoją religię. Nie przestrzegali celibatu, odrzucali wiele zasad buddyjskich, które uważali za archaiczne. Chcieli buddyzmu ludowego, dlatego polityka północnokoreańskich komunistów wydawała im się bliższa niż działa prawicowego reżimu wojskowego na Południu. Wielu lewicujących mnichów po podziale półwyspu zbiegło na Północ.

Największy cios buddystom zadała wojna koreańska (1950–53). Świątynie, uznane za miejsca o wartości strategicznej, padły ofiarą amerykańskich nalotów bombowych. Były one tak niszczące, że węgierski dziennikarz i korespondent

wojenny Tibor Meray, który odwiedził Północ w 1951 r., zastanawiał się, „czy nie znalazł się na Księżycu”. Po wojnie koreańskiej żadna z 518 świątyni na Północy nie nadawała się do użytku. Niestabilny gospodarczo rząd stanął przed wieloma problemami, więc odbudowę dziedzictwa buddyjskiego odsunięto na później. A później było jeszcze gorzej. Wprowadzony w tajemnicy przed obywatelami system stratyfikacji społecznej, *songbun*, określał buddystów i ich rodziny jako „klasę wrogą”. Wraz z budową kultu Kim Ir Sena buddyzm został całkiem zmarginalizowany.

W Korei Północnej buddyzm nie doznał jednak podobnych prześladowań jak choćby w sąsiednich Chinach. Buddyjskie świątynie powoli odbudowywano, a nie ostrzeliwano z armat, jak podczas rewolucji kulturalnej w Chinach. Nieco wcześniej w Mongolii „Stalin ze stepu”, czyli Chorlogijn Czojbalsan, wymordował niemalże wszystkich buddyjskich lamów w liczbie ok. 17 tys.

W Korei Północnej, nawet w okresach antyreligijnych kampanii lat 60., w regionie Kapsan funkcjonowała buddyjska świątynia, która w dodatku kształciła nowych mnichów. W 1972 r. tamtejsze władze zezwoliły organizacjom religijnym na oficjalną działalność. Te z kolei zaczęły nawiązywać międzynarodowe kontakty. W latach 80. odbudowywane świątynie były już obowiązkowym punktem turystycznych wycieczek, a odwiedzających witali żywi mnisi. Zamiast o filozofii Buddy opowiadali jednak o zasługach Kim Ir Sena w odbudowie kraju i o okrucieństwach jankesów.

Dziś nie ulega wątpliwości, że wszyscy mnisi w Korei Północnej podlegają ścisłej kontroli państwa. Prozelityzm nie wchodzi w grę, a zostać buddystą można jedynie wówczas, gdy mieszka się w pobliżu świątyni lub jest się członkiem buddyjskiej rodziny. Ci najważniejsi muszą przejść szereg ideologicznych weryfikacji. Ale mogą liczyć na zarobki na poziomie lekarza, niektórym władze pozwalają nawet na zagraniczne wyjazdy.

Ta liberalizacja na Północy ma związek z ewolucją systemu komunistycznego. Od lat 90. negatywne rozumienie religii, budowane na ideach marksizmu-leninizmu, zostało zmienione na bardziej neutralne. Podkreśla się, że ideologia dżucze nie jest przeciwna religii. Dla mnichów cena takiego układu jest jednak wysoka. Buddyzm odnalazł się w Korei Północnej jako jeszcze jedna podbudowa koreańskiego nacjonalizmu. W efekcie promowana oficjalnie wizja buddyzmu jest bardzo

wąska, sprowadzona do opowieści o wojowniczych mnichach walczących z japońskim najazdem w XVI w.

Władze północnokoreańskie, być może nawet wcześniej niż chińskie, doszły do wniosku, że z religią lepiej nie walczyć. Można skutecznie kontrolować ją od środka. I choć buddyzm w Chinach ma ogromną liczbę wyznawców, to jego zwierzchnicy często nie ustępują w gorliwości politycznej tym z Północy, a to ogłaszając prezydenta Xi Jinpinga reinkarnacją Buddy, a to nawołując kler to bycia „mnichami Mao Zedonga”.

Wersja czeskosłowacka

– Najczęściej ludzie pytają mnie, czy mnisi w Korei Północnej są fałszywymi mnichami. Ja tak nie uważam. Nie są to tacy mnisi, jak u nas na Południu, ale pomimo wielu ograniczeń starają się podtrzymywać pamięć o buddyzmie – tłumaczy Popta. Podkreśla, że na przestrzeni lat północnokoreański kler wiele przejął od swoich braci z Południa. Używają szat uszytych dla nich na Południu, nauczyli się wielu religijnych pieśni i rytuałów, a nawet zaczęli na nowo mieszkać na terenie świątyni. Większość dalej jednak nie goli głów.

Popta jest optymistą. Ale i on nie wie, ilu tak naprawdę jest mnichów na Północy (oficjalnie 300). Nie jest też jasne, czy nie zaczęli naśladować tych z Południa tylko dlatego, żeby nie zostało przerwane finansowanie odbudowy świątyni. Thae Yong-ho, północnokoreański uciekinier, uważa, że mnisi w jego ojczyźnie odgrywają religijną rolę wyłącznie dla przyjezdnych. Kiedy ci znikają, religijność północnokoreańskich buddystów również wyparowuje.

Popta stanowczo zaprzecza: *– Zapytałbym się Thae Yong-ho, czy kiedykolwiek był w świątyni buddyjskiej i czy rozmawiał z mnichami, tak jak ja to robię. Wiem, jak rozpoznać buddystę.* Jednak nawet Popta od 2011 r. nie ma kontaktu z Północą. W ostatnich latach delegacjom buddystów z Południa trudno jest podejmować jakiegokolwiek działania nie tylko z powodu chłodnych kontaktów pomiędzy oboma państwami, ale też ze względu na ostre sankcje.

Pomimo tego informacyjnego muru można jednak przyjąć, że model relacji państwo–religia w Korei Północnej już dawno odszedł od maoistycznego wzorca i bardziej dziś przypomina ten z komunistycznej Czechosłowacji, gdzie władze antyreligijnego reżimu organizacyjnie i finansowo kontrolowały Kościół katolicki – jako element „dziedzictwa kulturowego”. ■



Rosjanie kradną ukraińskie zabytki, bo uważają się za ich właścicieli. Niszczą że w niepodległym kraju ludziom żyło się lepiej. W odpowiedzi Ukraińcy tym

D Kijów walczy o historię

AGNIESZKA KRZEMIŃSKA

Dzisiejsza Ukraina, obszar na styku Azji i Europy, to archeologiczne Eldorado. Znali je albo zamieszkiwali wszyscy, którzy wędrowali ze wschodu na zachód lub w drugą stronę. Stąd ślady Indoeuropejczyków, Scytów, Greków, Sarmatów, Gotów, Hunów, Awarów, Słowian i wielu innych ludów, które wprowadziły w dziejach sporo zamętu.

Paradoksem jest, że w Ukrainie nie można teraz studiować archeologii, co poniekąd jest jeszcze spadkiem po ZSRR. Władzom imperium nie zależało, by w jego prowincji tworzyć naukę, która mogłaby podważać narrację wielkoruską. A po uniezależnieniu się Ukrainy archeologia była jedynie specjalizacją w ramach studiów historycznych. W efekcie jeszcze niedawno było tam zaledwie 300 archeologów. Tyle że 100 z nich poszło na front,

a 20 zginęło. Jeśli doliczyć do tego osoby w zaawansowanym wieku, to okazuje się, że w tym dwa razy większym od Polski państwie na każde województwo przypada raptem kilku specjalistów. Podobne braki kadrowe są też wśród konserwatorów zabytków. Skala zniszczeń, jakich doświadcza ukraińskie dziedzictwo, sprawia zaś, że to właśnie tych ekspertów potrzeba najbardziej.

– *Pomimo lat doświadczeń na wykopaliskach i piastowania funkcji dyrektorki skansenu jestem „naukową sierotą”* – mówi Natalia Wojteszuk, archeolożka i muzealnica z ministerstwa kultury i polityki informacyjnej Ukrainy. W 2010 r. pracowała na stanowiskach w Dźwinogradzie pod Lwowem, jednej ze stolic księstwa halicko-wołyńskiego. Podczas przygotowań do jubileuszu 800-lecia powstania grodu badali go Rosjanie, ale Ukraińcom zależało na weryfikacji ich wyników. Wojteszuk wpadła



Sala wystawowa w obrabowanym przez Rosjan w grudniu ubiegłego roku Chersońskim Muzeum Regionalnym.

muzea i palą książki, bo nie mogą znieść, bardziej dbają o swoje dziedzictwo.

na pomysł, by przekształcić grodzisko w skansen, wykorzystując porosyjską infrastrukturę i nowoczesne technologie. – *Dziedzictwo to kapitał, który można spieniężyć, przy okazji chroniąc je i popularyzując wiedzę o przeszłości. Dlatego stworzyliśmy prezentację VR, która każdego, kto nałoży okulary, przenosi do grodziska z połowy XII w.*

Skansen stał się popularny po wybuchu wojny, gdy w okolicy Lwowa trafili uchodźcy ze wschodu. Zaczął wręcz pękać w szwach, bo wizyta w nim była sposobem na ucieczkę od wojennej rzeczywistości. Ale nie tylko.

Gabloty, które zieją pustką

W wojnie, w której chodzi o zniszczenie tożsamości narodowej Ukraińców, atak na instytucje kultury to część strategii Rosjan. Dlatego już 28 lutego 2022 r. zbombardowali muzeum prymitywistki Marii Prymaczenko, później wystrzelili rakiety w kierunku trzech muzeów w Kijowie oraz jednego w Czernihowie, a ostatnio w Odessie – tu na szczęście obyło się bez wielkich strat. Z regionalnego Muzeum Sztuki w Chersoniu uzbrojeni mężczyźni w cywilu wynieśli prawie 14 tys. obiektów, załadowali na nieoznakowane ciężarówki i wywieźli na okupowany Krym. W sumie na skutek działań wojennych ucierpiało jak do tej pory 2 tys. obiektów różnych instytucji kultury.

Tam gdzie Rosjanie doszli, wszystko to, co ukraińskie, niszczyli, palili książki, rzeczy wartościowe wywozili, a miejsca odwiedzone, jak grodziska, kurhany czy słynne z petroglifów stanowisko Kamienna Mogiła, zaminowywali. Wojteszuk uważa, że jest w tym niszczeniu i kradzieży przekonanie o prawie posiadania, ale i zazdrość, że Ukraina od rozpadu ZSRR tak się rozwinęła. – *Słyszałam, że gdy Rosjanie wchodzili do naszych wiosek z wyasfaltowanymi drogami i wygodnymi domami, mówili z pretensją: „Kto wam pozwolił tak charaszo żyć”* – relacjonuje.

Według Małgorzaty Ławrowskiej-von Thadden ze wspierającej muzea ukraińskie fundacji OBMIN dobrą ilustracją tego, że w tej wojnie chodzi o kulturę, jest przypadek słynącego ze scytyjskiego złota muzeum w Melitopolu. Pierwsze, co zrobili Rosjanie po wkroczeniu do miasta, to zaarrestowali dyrektorkę placówki Leilę Ibrahimową i uprowadzili jedną z pracownic (do dziś jest uznana ►

Część zabytków scytyjskich zwróconych Ukrainie po wieloletniej batalii sądowej z Rosjanami. Od 27 listopada 2023 r. znajdują się w Ławrze Peczerskiej w Kijowie.



► za zaginioną). – *Zrabowali wspaniałą kolekcję scytyjską z IV w. p.n.e. i zabytki z grobu władcy Hunów z V w. Uratowały się jedynie zbiory akurat przebywające na wystawie za granicą. Do Melitopola Rosjanie przyjechali z gotową propagandową wystawą pod hasłem „Jesteśmy jednym narodem”* – opisuje działaczka.

Na szczęście zbiory muzeów w Kijowie, Lwowie, Charkowie i Odessie spakowano i ukryto. Tym dziwniejsze jest, że gdy niemal puste muzea otwarto dla publiczności jesienią ubiegłego roku, zalały je tłumy, które chciały oglądać organizowane w nich wystawy zdjęć czy sztuki współczesnej. – *Główną przyczyną tego boomu jest chęć poznania własnej kultury i tradycji. Szczególną popularnością cieszą się muzea lokalne, które opowiadają historię regionu i jego mieszkańców, dają świadectwo ukraińskiej tożsamości* – podkreśla Ławrowska-von Thadden. I dodaje, że jednocześnie placówki kultury stały się miejscem wytchnienia i namiastką normalności, sposobem na radzenie sobie z traumą wojenną.

Pożar, który nie ma końca

Gdyby nie wojna, Natalia Wojteszuk nie zatrudniłaby się w ministerstwie. Propozycję dostała już wcześniej, ale miała plany związane ze skansenem. Poza tym w marcu 2022 r. zaczynało się jej stypendium w Międzynarodowym Centrum Kultury w Krakowie. Po kilku miesiącach doszła jednak do wniosku, że w ministerstwie przyda się osoba z praktycznym doświadczeniem i że konflikt zbrojny może – paradoksalnie – być dobrym momentem, by zmienić kulejący w Ukrainie system ochrony dziedzictwa.

– *Na razie pracujemy w stanie permanentnego alarmu, niczym strażacy, którzy starają się gasić ogień, ale nie widzą końca pożaru. Wojna stała się dla wielu z nas codziennością* – mówi Wojteszuk. Przyznaje, że sama ostatnio przestała schodzić do schronu, gdy w nocy zaczynają wyc syreny. A kiedy widzi lecącą raketę, wie, że zostanie zestrzelona, i tylko myśli, gdzie padną jej odłamki. Nawet na śmierć reaguje inaczej, przekonując samą siebie, że nie ma na nią żadnego wpływu. – *To samo dotyczy zabytków* – dodaje. – *Gdy jeżdżę na wschód na oględziny zniszczeń, ruiny nie robią już na mnie takiego wrażenia jak wtedy, gdy zobaczyłam je po raz pierwszy.*

Choć zaraz po wybuchu wojny różne kraje proponowały przechowanie ich zbiorów muzealnych, Ukraińcy się nie zgadzali ze względów psychologicznych. Teraz wystawy ze sztuki ukraińskiej krążą po Europie. Nie tyle jednak ze strachu, że ulegnie zniszczeniu w trakcie działań militarnych, ile po to, by przypominać o państwie i wojnie, którymi świat zachodni stracił zainteresowanie, odkąd jego uwaga zwróciła się w kierunku konfliktu izraelsko-palestyńskiego. – *W wojnie z Rosją kultura jest bezpośrednim celem, ale i największą bronią Ukraińców, bo to ona daje im siłę* – podkreśla prof. Katarzyna Zalasinska, dyrektorka Narodowego Instytutu Dziedzictwa (NID), który od początku wojny pomaga wschodnim sąsiadom chronić zagrożone dziedzictwo. – *Prężnie działające instytucje kultury czy prezentacja sztuki ukraińskiej w najważniejszych muzeach europejskich mają budować poczucie dumy z bycia Ukraińcem, ale i wpływać na świadomość Zachodu, który wreszcie zaczyna Ukrainę postrzegać już nie jako część Rosji, tylko suwerenny kraj.*

Po Europie jeżdżą nie tylko kolekcje, ale i ludzie. Wojteszuk przybyła do małego Płońska na zaproszenie burmistrza Andrzeja Pietrasika oraz miejskiego archeologa Marka Gierlacha, by wziąć udział w otwarciu wystawy o ukraińskiej archeologii. – *Pomyślałam, że zabytki z muzeum w Krakowie, które pokazują 5 tys. lat dziejów Ukrainy, to doskonały pretekst, by opowiedzieć, co obecna wojna robi z dziedzictwem mojego kraju.*

Jest to smutna opowieść, bo ministerstwo codziennie odbiera raporty z regionów położonych w pobliżu stale ostrzeliwanych



Sala wystawowa w Narodowym Muzeum Sztuk Pięknych w Odessie po ataku raketowym 5 listopada 2023 r.

terenów, a dzięki zdjęciom satelitarnym i opowieściom żołnierzy wiadomo, że są miejsca, gdzie nie został kamień na kamieniu, jak w historycznym mieście Bahmut w obwodzie donieckim. – *Na linii frontu i terenach okupowanych co drugie miasto wygląda jak Warszawa po powstaniu. Najtrudniej jest z monitorowaniem zniszczonych zabytków archeologicznych, bo te są ukryte* – stwierdza Wojteszuk. Wiadomo jednak, że pola, na których się znajdują, i kurhany w pobliżu miejsc bitew są podziurawione bombami niczym ser szwajcarski. – *Co najmniej 10 proc. powierzchni naszego kraju jest doszczętnie zniszczone, ale przecież to nie jest jeszcze koniec wojny.*

Pomoc, która bywa różna

Do Ukrainy od początku wojny przyjeżdżają małe grupy ekspertów z różnych organizacji międzynarodowych zajmujących się ochroną dziedzictwa. Dziela się swoją wiedzą, ale w większości ich doświadczenie dotyczy głównie klęsk żywiołowych i lokalnych konfliktów, bo od drugiej wojny światowej żaden kraj europejski nie doświadczył takiej skali działań wojennych i zniszczeń jak Ukraina. – *Dlatego tak ważne jest dla nas wsparcie Polaków. Mieliście doświadczenie w rekonstrukcji i restauracji zabytków na dużą skalę, a Warszawa i inne polskie miasta są żywym przykładem odbudowywania z popiołów historycznego obrazu zniszczonych symboli kultury narodowej* – nie ukrywa Wojteszuk. – *W Płońsku mówiłam o wspólnym projekcie naszego ministerstwa z waszym Narodowym Instytutem Dziedzictwa.* W jego ramach polsko-ukraiński zespół prowadził w obwodach chersońskim i czernihowskim inwentaryzację, wykorzystując doświadczenie polskich ekspertów i metody, jakie stosowali już w Iraku i Afganistanie.

Kraje nadbałtyckie i Polska jako pierwsze zaoferowały Ukrainie wsparcie. Poza transportami pomocowymi NID wysłał tam też ekspertów od dziedzictwa. I choć u nas dominował przekaz o ratowaniu *poloniców*, był to tylko jeden z aspektów współpracy – Polacy zajmowali się inwentaryzacją, dygitalizowaniem i zabezpieczaniem wszelkich strat. – *Nasi eksperci pracujący we współpracy z ukraińskimi służbami, instytucjami i specjalistami zrobili więcej w terenie dla ukraińskiego dziedzictwa niż takie*



organizację, jak UNESCO, dla którego jesteśmy zresztą strategicznym partnerem, chociażby w sprawach nielegalnego przewozu dóbr kultury – nie bez dumy mówi prof. Zalaszińska.

Polską obecność i kompetencje łatwo wytłumaczyć sąsiedztwem, znajomością ukraińskich uwarunkowań i osobistymi kontaktami z Ukraińcami, wynikającymi chociażby z lepszego zrozumienia na poziomie językowym. Nie można też zapomnieć, że mieliśmy swój wkład w lobbowanie przed Komisją Europejską na rzecz Ukrainy. Wiele międzynarodowych gremiów przemilczałoby tę wojnę, bo wiele z nich – w tym UNESCO – było pod silnym wpływem agresora. – *Od zajęcia Krymu aktywność Rosjan w tej organizacji wzrosła, co my odczuliśmy w 2021 r., kiedy wpłynęli na odroczenie wpisu Stoczni Gdańskiej na listę światowego dziedzictwa* – mówi prof. Zalaszińska. I tłumaczy, że kiedy wybuchła wojna, przedstawiciele Rosji byli już w każdym gremium UNESCO. Gdyby nie stanowcza reakcja ONZ, aktywność polskich dyplomatów i przedstawicieli innych państw regionu, kto wie, czy UNESCO znów nie odwróciłoby się od Ukrainy, jak kilka lat wcześniej, gdy zignorowało kwestię nielegalnego wywozu dóbr kultury z okupowanego Krymu.

Wojna jednak zmieniła optykę. UNESCO nie tylko zaczęło pomagać, ale też w 2022 r. wpisało na listę światowego dziedzictwa starającą się o to od lat Odessę. Co więcej, 14 listopada pierwszy raz Rosja została zmuszona do rezygnacji z przewodniczenia Komitetowi Światowego Dziedzictwa. Kto wie, czy szali goryczy nie przelało zbombardowanie 8 dni wcześniej muzeum sztuki w Odessie, które właśnie obchodziło 124-lecie. W przeciwieństwie do działań Polaków, czasami to, co robią międzynarodowe organizacje zajmujące się dziedzictwem, jest chaotyczne lub odklejone od rzeczywistości – jak wymóg UNESCO, by zawiesić tablice informujące o zagrożeniu zniszczeniem obiektu z ich listy na kamienicach Lwowa, jakby to miało odstraszyć spadające na miasto bomby.

Ukraińców frustrują i irytują urzędnicze priorytety czy biurokracja, ale według Małgorzaty Ławrowskiej-von Thadden wsparcie wymaga transparentności. – *Pamiętajmy, że do Ukrainy trafia ogromna pomoc finansowa i materialna, a branża kultury nie jest*

wolna od zjawisk korupcyjnych. Z drugiej strony tamtejsze instytucje funkcjonują w niezwykle ciężkich, wręcz ekstremalnych warunkach – zauważa działaczka. Czasami ją też zaskakuje brak wyobraźni oraz zrozumienia u zagranicznych organizacji pomocowych.

Ochrona, którą trzeba zbudować

Utrata dziedzictwa archeologicznego to problem, który Ukraina ma od dawna, a wojna go tylko pogłębiła. Już wcześniej złodzieje masowo szabrowali stanowiska archeologiczne, zaopatrywali miejscowych oligarchów-kolekcjonerów i zachodnie rynki antykwaryczne w złoto scytyjskie czy starożytną ceramikę. Wojna ułatwiła dzięki wykopaliska i handel zabytkami i zmieniła jedynie kierunek ich przetrzymywania – z zachodu na wschód.

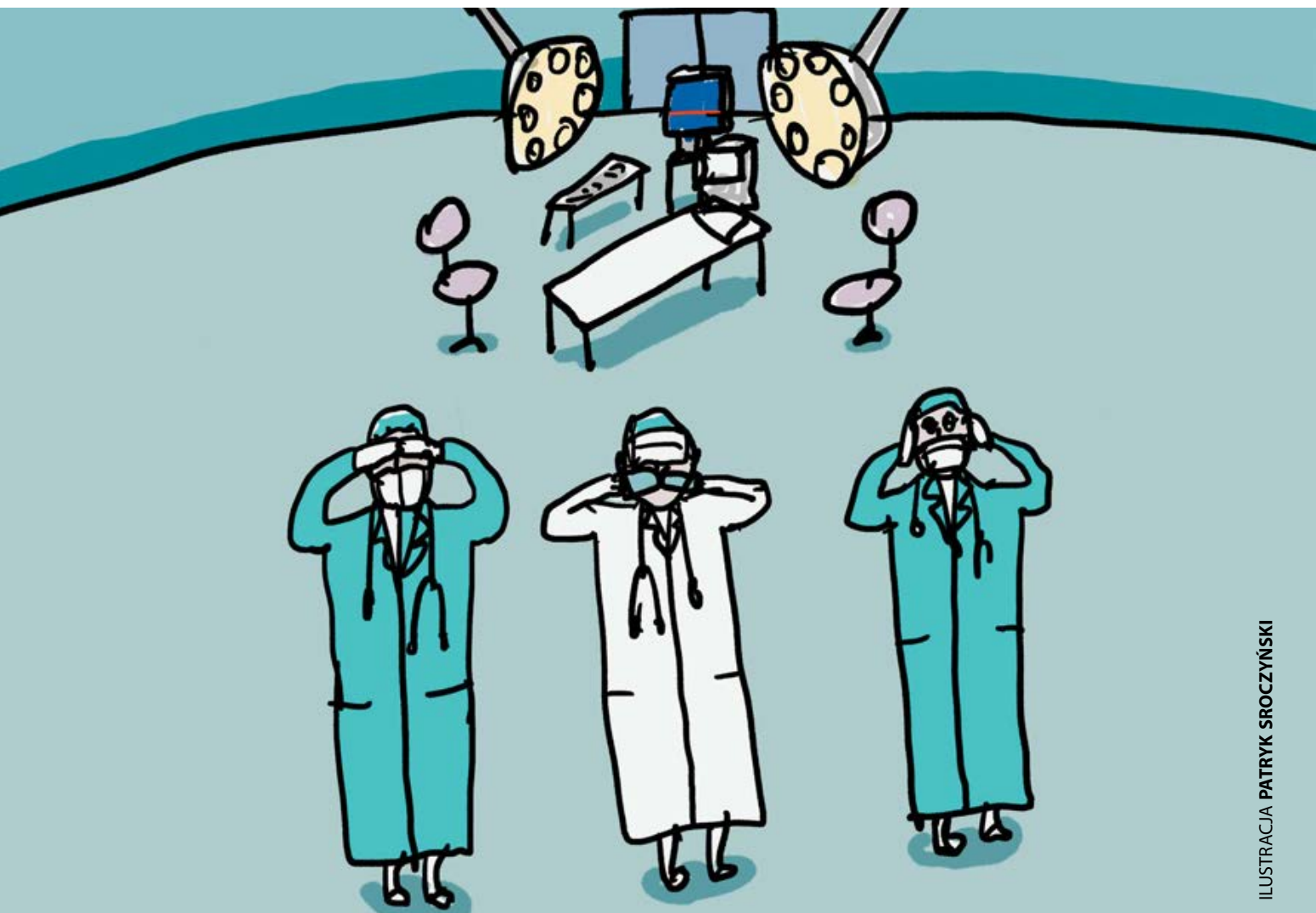
Rosjanie bez pardonu rabują okupowane przez siebie tereny nadczarnomorskie niezwykle bogate w pozostałości archeologiczne. Na razie niewiele można z tym zrobić, ale są pozytywne przykłady. Choćby fundacja OBMIN, która pomogła w badaniach znajdującemu się na wyspie na Dnieprze skansenowi Chortyca. To miejsce, gdzie powstała pierwsza sicz kozacka, jest ważne dla Ukraińców, ale po wybuchu wojny przestało być odwiedzane. Znajduje się 50 km od elektrowni atomowej i 30 km od frontu, przez co skansen stracił źródło dochodów. – *Tymczasem zaważenie się pobliskiej tamy spowodowało spadek poziomu rzeki, co odsłoniło wiele zabytków, w tym łódź sprzed 1000 lat. Dzięki sprzętowi do prac pod wodą dostarczonemu przez UNESCO udało się je wydobyć* – mówi Ławrowska.

Natalia Wojteszuk też stara się znaleźć w tej tragicznej sytuacji jakieś pozytywy, więc podkreśla, że dzięki wojnie stale powiększany jest rejestr zabytków nieruchomych. Odebrano np. zabytkowe budynki moskiewskiemu patriarchatowi (w tym Ławrę Peczerską w Kijowie) bez wchodzenia w poważny konflikt z kierownictwem tego ruchu wyznaniowego, mającymi przecież powiązania z rosyjskimi służbami bezpieczeństwa. – *Przed wszystkim jednak zaczęliśmy bardziej doceniać swoje dziedzictwo. Pewnie dlatego, że kiedy się dużo traci, to wartości nabiera to, co się ma* – opowiada Wojteszuk. Wcześniej mało kogo obchodziło, że jakiś stary budynek będzie wyburzony. Teraz ludzie piszą protesty i są gotowi walczyć o nie z deweloperami w sądach. – *Zaczynają też martwić się o dobra archeologiczne, bo już apelują, by ziemia, na której się znajdują grody i kurhany, przeszła z rąk prywatnych w państwo, co ułatwi ich ochronę.*

Najświeższym zwycięstwem władz jest zaś powrót do Kijowa 27 listopada kolekcji 600 zabytków z Krymu, które – podobnie jak część kolekcji z Melitopola – wyjechały do Amsterdamu na wystawę tuż przed jego zajęciem przez Rosjan w 2014 r. Złote naszyjniki oraz hełm Scytów, skarby gockie, huńskie i chińskie trafiły do Ławry Peczerskiej. Sądowa batalia o ich zwrot trwała latami, bo roszczenia wysuwały za poleceniem Rosjan też muzea na Krymie. 9 czerwca holenderski sąd najwyższy zdecydował ostatecznie, że wracają na Ukrainę. Niezadowolona Rosja zapowiedziała własne śledztwo i wzmocniła retorykę, że teraz krymskie zabytki zostaną rozkradzione przez ukraińskich oligarchów, bo państwo nie będzie potrafiło o nie zadbać.

Nie zmienia to faktu, że po wojnie, której końca nie widać, naszego wschodniego sąsiada czeka mnóstwo pracy: budowa systemu ochrony dziedzictwa, edukacja specjalistów, walka z dzikimi wykopaliskami i nielegalnym handlem zabytkami, próby odzyskania straconych zbiorów (choć będzie to droga przez mękę, z małymi szansami na powodzenie). Trochę potrwa, zanim Natalia Wojteszuk i inne osoby działające jak ona nie będą się już czuły „naukowymi sierotami”. A to będzie wymagało dalszego wsparcia i wysiłku. Również – a może i przede wszystkim – z naszej strony.

AGNIESZKA KRZEMIŃSKA



ILUSTRACJA PATRYK SROCYŃSKI

Edukacja do operacji

Prof. Piotr Ponikowski, rektor Uniwersytetu Medycznego we Wrocławiu, o rozmontowaniu przez PiS systemu kształcenia medycznego i koniecznych krokach do jego naprawy.

PAWEŁ WALEWSKI: – Czy zgodziłby się pan, aby funkcję prodziekana na wydziale lekarskim w pańskim uniwersytecie objął absolwent, który studia medyczne skończył zaledwie rok temu?

PIOTR PONIKOWSKI: – Nie sądzę, aby społeczność naszej uczelni zaakceptowała taki wybór.

Młody lekarz, który nie miał nawet prawa wykonywania zawodu, otrzymał powołanie na to stanowisko w jednej ze szkół wyższych w Zagłębiu, która otworzyła w tym roku kierunek lekarski.

Obowiązki dziekanów i prodziekanów wymagają doświadczenia. Oczywiście

nie muszą to być ludzie w moim wieku, wręcz nie powinni, natomiast nie można obejść się bez pewnych zdolności dydaktycznych i organizacyjnych. Dlatego nie wyobrażam sobie, aby pełnił taką funkcję ktoś, kto wcześniej nie miał okazji nauczać studentów.

Jak dziś zostaje się studentem, by móc być lekarzem?

Trzeba dobrze zdać maturę, najlepiej na poziomie rozszerzonym i z przedmiotów kierunkowych, takich jak biologia czy chemia. W uczelniach publicznych rekrutacja jest ujednolicona, ale każda ma możliwość wyboru, na wyniki jakich przedmiotów zdawanych na maturze

przez kandydata zwrócić szczególną uwagę. Na preferencyjnych warunkach traktujemy laureatów olimpiad naukowych, oczywiście nie z historii czy języka polskiego, ale biologii, chemii lub fizyki.

Kiedy pan i ja ubiegaliśmy się o indeksy, po maturze zdawaliśmy dodatkowe testy z tych przedmiotów i suma zdobytych punktów dawała prawo rozpoczęcia studiów. Bardzo to krytykowano, że testy nie są wystarczającą rękojmnią, by ocenić wartość kandydata. Teraz sama matura wystarczy?

Moim zdaniem też nie. Coraz częściej słyszę postulat, żeby dodać indywidualną rozmowę z kandydatem.

Już 40 lat temu planowano to zrobić.

Bo wciąż nie wiadomo, jak taki egzamin z miękkich cech maturzysty przeprowadzić, aby był obiektywny. Myślę, że Konferencja Rektorów Akademickich Uczelni Medycznych (KRAUM) powinna wystąpić z konkretną inicjatywą. Przyznaję, że sam nie wiem, jak ją wdrożyć, ale spotykam studentów, którym chyba już na egzaminie wstępnym należało powiedzieć, że nie będzie to kierunek dla nich odpowiedni. Kształtowanie osobowości przyszłego lekarza jest oczywiście zadaniem uczelni medycznych, ale nie tylko my jesteśmy za to odpowiedzialni. Dostajemy młodzież przynajmniej w połowie uformowaną przez wychowanie i otoczenie, nie można oczekiwać radykalnej zmiany po sześciu latach studiów.

Głośno dziś o tym, że w szkołach zawodowych, którym Ministerstwo Edukacji i Nauki pod wodzą Przemysława Czarnka i za zgodą Ministerstwa Zdrowia zezwala na otwieranie nowych kierunków lekarskich, poprzeczka dla kandydatów została obniżona. Na przykład w Łodzi nie trzeba było w tym roku mieć rozszerzonej matury z żadnego przedmiotu kierunkowego i w ogóle nie trzeba było ich zdawać, a jeśli się już zdawało, to wystarczyło zdobyć minimalną liczbę punktów. Więc skoro chemia i biologia są niepotrzebne, by dostać się na studia medyczne, może pozostaniemy przy samej empatii?

Standardy, które sprawdziły się na całym świecie, udowadniają, że wiedza na poziomie szkoły średniej z nauk przyrodniczych i biologiczno-chemicznych jest niezbędna, by rozpocząć studia lekarskie. Ale czy wyłącznie ja uważam, że nie tylko o podręcznikową wiedzę powinno chodzić? Powinna liczyć się również osobowość przyszłego lekarza – niezbędna, aby jak najlepiej wykonywał ten zawód i miał kompetencje społeczne, by umieć odnajdować się w trudnych sytuacjach.

Ponieważ PiS uznał, że najlepszym sposobem na zwiększenie liczby lekarzy będzie masowe kształcenie w szkołach zawodowych poza doświadczonymi ośrodkami akademickimi i mamy od października kierunki lekarskie aż w 36 uczelniach, to nikomu nie przeszkadza, że dużej części z nich nie zależy na poziomie kandydatów.

Ani na poziomie kształcenia. Bo jeśli sami studenci już po miesiącu od rozpoczęcia nauki skarżą się, że zajęcia są



© NATALIA DOBRZYŃSKA

Prof. dr hab. n. med. **Piotr Ponikowski** jest kardiologiem i rektorem Uniwersytetu Medycznego im. Piastów Śląskich we Wrocławiu. Od lipca 2021 r. kieruje Instytutem Chorób Serca Uniwersyteckiego Szpitala Klinicznego. Jeden z najbardziej wpływowych polskich naukowców w rankingu Thomson Reuters „The World’s Most Influential Scientific Minds”. Autor ponad 800 publikacji naukowych.

odwoływane albo nie mają dostępu do preparatów lub mikroskopów, to mamy do czynienia z fikcją nauczania. Musimy jednak zacząć kilka lat, by móc ocenić, jak wpłynie to na umiejętności przyszłych lekarzy, które będą weryfikować państwowe egzaminy specjalizacyjne.

Nowe wydziały w prywatnych szkołach powstają w odpowiedzi na potrzeby zgłaszane przez przedstawicieli władz samorządowych. Np. w Podhaląskiej Państwowej Uczelni Zawodowej w Nowym Targu do wniosku dołączono listy burmistrzów, starostów i lokalnych wójtów. Dlaczego dla nich to tak ważne, by mieć wydział lekarski w szkole sprofilowanej na zupełnie inne dziedziny?

To myślenie życzeniowe i pomylenie z popłataniem. Bo to, że w mniejszym mieście otwarto wydział lekarski, który wykształci 50 medyków, nie gwarantuje, że oni tam zostaną. Dla miasta może być to jednak nobilitujące. Po reformie administracyjnej wciąż utrzymuje się ponoć kryzys identyfikacji dawnych miast wojewódzkich, więc otwarcie kierunku lekarskiego jest pomysłem na ich rozwój. Ale z jakością studiów nie ma to nic wspólnego i obawiam się, że autorzy listów poparcia nawet nie wiedzą, jak przebieg studiów medycznych bardzo różni się od ekonomii, marketingu czy kierunków humanistycznych.

Ordynatorzy z regionalnych szpitali, które teraz staną się klinikami, doskonale powinni zdawać sobie z tego sprawę. A jednak nie protestują, bo dla nich to też nobilitujące?

Pewnie tak. Jednak ten, kto jest dobrym lekarzem, nie gwarantuje, że będzie dobrym nauczycielem. Można mieć doskonałe wyniki zawodowe, a o dydaktyce nie mieć pojęcia. Chwalenie się nimi należałoby przenieść do relacji mentorskich podczas szkolenia podyplomowego, a kształcenie przeddyplomowe jest zupełnie czymś innym i tego niestety wielu nie rozumie, mieszając jedno z drugim. Nauczanie studentów wymaga zrealizowania ustalonego programu, który jest standardem. Jestem kardiologiem i choć uratowałem kogoś po zawale serca, nie o tym powinienem mówić studentom, tylko zrealizować zaplanowany dla nich temat, np. o arytmii. Oferta dla szpitali pozaklinicznych, które będą teraz kształcić, po pewnym czasie je znudzi, ponieważ to są nowe obowiązki, na które zwyczajnie nie starczy im czasu. Czym innym jest bowiem leczenie, a czym innym dydaktyka.

Ale w uniwersytetach medycznych, nawet z najdłuższymi tradycjami, też nie ma często takiego rozdziału, na czym tracą pacjenci i studenci.

Zbliżając się do schyłku kariery zawodowej, zacząłem to lepiej rozumieć. Uczelnie medyczne są w Polsce nastawione na to, że w tym samym czasie można kształcić studentów, leczyć, zajmować się nauką, a potem jeszcze mieć czas dla chorych w prywatnej praktyce. Otóż nie powinno tak być! W naszym Instytucie Chorób Serca we Wrocławiu, należącym do Uniwersytetu Medycznego, wprowadziliśmy już zasadę, że w tych dniach, kiedy lekarze akademicy mają zajęcia ze studentami, nie zajmują się pacjentami. Bo jak kształcą, to nie powinni w tym czasie lub podczas zajęć wykonywać zabiegów i uzupełniać historii chorób.

W prywatnych szkołach, które porwały się na kształcenie lekarzy, brakuje nie tylko doświadczonych dydaktyków, ale też odpowiedniej bazy: na histologii nie ma mikroskopów, anatomii uczy się z plansz i programów komputerowych. Można tak?

W USA i na najlepszych uniwersytetach zachodnich można medycynę nauczać w dużej części wirtualnie, ale naszych uczelni nie stać na takie pomoce dydaktyczne. Mówię np. o wirtualnych stołach anatomicznych, a nie o planszach czy plastikowych modelach narządów, ►

► które są dobre do nauczania w szkole podstawowej.

W jednej z uczelni na Dolnym Śląsku zajęcia z anatomii prawidłowej mają być realizowane w szpitalu klinicznym w formie obserwacji. Wygląda na to, że na żywych pacjentach, np. na sali operacyjnej. To normalne?

Zły pomysł. Nie można jednocześnie przeprowadzać operacji i uczyć studentów. Nie wykluczam, że postęp technologiczny wymusi zmianę sposobu nauczania, bo nas też nie uczono w teatrach anatomicznych jak na słynnym obrazie Rembrandta „Lekcja anatomii doktora Tulpa”. Już teraz te zajęcia warto więc poszerzyć o praktyczne obrazowanie ultrasonograficzne, tomografii komputerowej lub rezonansu magnetycznego, by pokazać studentom, z czym się zetkną jako lekarze. Bo przecież nie z modelami sekcyjnymi ani wirtualną rzeczywistością.

A nauka medycyny online, którą zaproponowano studentom np. w Łodzi?

Wykłady – dlaczego nie? Podczas pandemii nauczono się tego całkiem dobrze. Pytanie o uczciwość – zarówno studentów, czy rzeczywiście będą w nich uczestniczyć, jak i prowadzących. Bo do nich też mam nieraz pretensję, gdy jednocześnie wykazują w kontraktach, że przez cztery godziny nauczają, i w tym samym czasie pracują gdzie indziej. Na taką legitymizację fikcji nie ma mojej zgody. Odkąd zostałem rektorem, sam wycofałem się z regularnej dydaktyki, bo nie miałbym na nią czasu.

Doprowadził pan za to do otwarcia filii Uniwersytetu Medycznego w Wałbrzychu. Czy dlatego, by nie ubiegła was jakaś zawodowa szkoła wyższa z tego miasta?

W Wałbrzychu jest Akademia Nauk Stosowanych Angelusa Silesiusa i świetnie współpracujemy, korzystając z jej bazy lokalowej. Ale otworzyliśmy tam kierunek lekarski pod szyldem naszej uczelni – dla 47 osób, czego nie da się porównać z takimi nowo otwieranymi wydziałami w ośrodkach zupełnie do tego nieprzygotowanych. To nasi nauczyciele akademicy jeżdżą do Wałbrzycha, tam jest wyposażona przez nas baza i świetne okoliczne szpitale w zasięgu dostępu komunikacji miejskiej. Polska Komisja Akredytacyjna (PKA) nie miała wątpliwości, wydając pozytywną opinię.

Która mało znaczy. Bo pozostałe uczelnie, które uruchomiły w tym roku kierunki lekarskie, nie otrzymały

od PKA akceptacji, ale zgodę od Ministerstwa Edukacji i Nauki też dostały.

System został postawiony na głowie i dlatego KRAUM oraz Naczelna Rada Lekarska potestują przeciw takiej polityce resortu.

Nikt tych apeli nie wysłuchał. A zarzuty PKA są w przypadku niektórych szkół poważne: programy studiów nie odpowiadają standardom kształcenia opisanym w rozporządzeniu ministra zdrowia, nauczyciele akademicy nie mają kwalifikacji do przypisanych im przedmiotów. Czy to nie jest oszukiwanie studentów?

Studenci nie wiedzą, na co się godzą, bo nie są w stanie tego ocenić. Przecież skąd maturzysta ma wiedzieć, jak

Jeśli sami studenci już po miesiącu od rozpoczęcia nauki skarżą się, że zajęcia są odwoływane albo nie mają dostępu do preparatów lub mikroskopów, to mamy do czynienia z fikcją nauczania.



powinny być zorganizowane dobre studia? Wie to Polska Komisja Akredytacji, która weryfikuje standardy. Oszustwo to być może za mocne słowo, ja widzę tu legitymizację fikcji.

Może studenci wolą, jak w jednej z prywatnych uczelni, zapłacić za semestr 23 tys. zł i nie mieć sal wykładowych, tylko uczyć się online z domu?

Co za dużo, to niezdrowo. Boję się, że może się to zemścić w przyszłości, bo akurat niedawno zauważyłem podczas egzaminu specjalizacyjnego z kardiologii, jakie skutki przynosi

zdobycie wycinkowej wiedzy z internetu. Niestety, niewielu zdających potrafiło samodzielnie myśleć, wyciągać dojrzałe wnioski, przekazywać je w sposób uporządkowany.

Czyli to jest zarzut pod adresem dotychczasowego systemu kształcenia, tego, który mamy w dziewięciu uniwersytetach medycznych. Tak właśnie broni swojego pomysłu Przemysław Czarnek: wy też źle przygotowujecie lekarzy do zawodu, więc pozwólcie spróbować innym.

Oczywiście, uniwersytety medyczne nie mają monopolu na wykształcenie najlepszych specjalistów, bo już mówiłem, że nie mamy narzędzi, które na starcie pozwalałyby ocenić przydatność kandydatów. Ale mamy szerszą infrastrukturę i doświadczenie, które w medycynie jest niezwykle potrzebne.

Weryfikacji zdobytej wiedzy powinien dokonać państwowy Lekarski Egzamin Końcowy, już teraz zdają go najlepiej absolwenci uczelni medycznych niekoniecznie z najdłuższymi tradycjami.

Czy chce mi pan powiedzieć, że w ogóle studia nie są potrzebne, że student zapłaci za indeks i samodzielnie będzie się przygotowywał do tego egzaminu? LEK zresztą dziś jest niewiarygodny, odkąd absolwenci mają dostęp do bazy pytań obejmującej 70 proc. zagadnień, a wystarczy przekroczyć próg 56 proc., aby go zdać.

Dlaczego inne uniwersytety medyczne, poza wrocławskim i śląskim w Katowicach, który tak jak wy w Wałbrzychu swoją filię otworzył w Bielsku-Białej, nie zdecydowały się na tworzenie filii? Dawałby gwarancję rzetelnego kształcenia i byłaby to odpowiedź na postulat zwiększenia liczby lekarzy.

Niektórzy już tego żalują. Spóźnili się, a wprowadzone przez resort edukacji i nauki zmiany w prawie, które obniżyły poprzeczkę dla szkół wyższych starających się o otwarcie wydziałów lekarskich, pomogły nie tym, co trzeba. Brakowało też zachęt, aby uniwersytety medyczne poszły w tym kierunku, jakby poprzedniemu rządowi zależało wyłącznie na tym, by potężne środki finansowe ulokować w wyższych szkołach zawodowych w mniejszych miastach, zupełnie nie biorąc pod uwagę interesu studentów.

Sądzi pan, że z powodów politycznych? Czyli tam, gdzie PiS chciał się przypodobać lokalnej władzy?

Każdy niech wyciągnie z tej fatalnej sytuacji własne wnioski.

ROZMAWIAŁ PAWEŁ WALEWSKI

Sieć z kantami



ILUSTRACJA MIROSLAW GRYN

Hakerzy poczynają sobie coraz śmielej. Ich ofiarą padli właśnie klienci ALAB Laboratoria, niedogodności odczuwają choćby czytelnicy portali polityka.pl czy projektpulsar.pl, które od czasu do czasu są blokowane. Co zatem powinniśmy wiedzieć o cyberbezpieczeństwie?

KAROL TOKARCZYK

Prokuratura Regionalna w Warszawie wszczęła śledztwo w sprawie wykradzenia wyników badań, które pacjenci wykonywali za pośrednictwem firmy ALAB Laboratoria. Do sieci trafiły dane kilkudziesięciu tysięcy osób (czy także państwa, możecie sprawdzić na stronie bezpiecznedane.gov.pl). Obejmują one lata 2017–23 i mają być tylko fragmentem bazy pozostającej w rękach cyberprzestępców. Jak podaje Polska Agencja Prasowa, żądają oni od firmy zapłacenia

do końca roku kilkaset tysięcy dolarów okupu, grożąc odtajnieniem informacji o pacjentach i badaniach. To jeden z poważniejszych w ostatnich latach incydentów bezpieczeństwa w polskim internecie. To jednak tylko jeden rodzaj cyberprzestępczości, z jakim się stykamy.

Przestępcy wyszukują i wykorzystują nasze słabe punkty. Mogą one dotyczyć wykorzystywanego sprzętu – komputera i urządzeń mobilnych – oprogramowania zainstalowanego na nich, a także naszych nieostrożnych nawyków i zachowań.



Jakie są najpopularniejsze rodzaje ataków hakerskich?

- **Ransomware.** To połączenie angielskich słów ransom (okup) i software (oprogramowanie). Polega na wykradzeniu bądź zablokowaniu danych, które mają istotny wpływ na działalność podmiotu. Przestępcy najczęściej publikują dowód na posiadanie poufnych informacji i żądają od ofiary pieniędzy bądź określonego zachowania (z tym ►

► właśnie mamy do czynienia w przypadku spółki ALAB Laboratoria).

- **DDoS (ang. distributed denial of service).** Inaczej: rozproszona odmowa usługi. Brzmi skomplikowanie, ale sprowadza się do czasowej niedostępności jakiejś funkcjonalności w internecie. Może chodzić zarówno o stronę internetową, jak i aplikację. Atak polega na zajęciu wszystkich zasobów serwera, który obsługuje daną usługę, poprzez wysłanie z wielu komputerów lub urządzeń elektronicznych jednocześnie pytań do atakowanego serwera. Przez to nie jest on w stanie obsłużyć ruchu generowanego przez klientów. Właściciele atakujących urządzeń najczęściej nie zdają sobie nawet sprawy z tego, że hakerzy wykorzystują ich zasoby do ataku na swój cel. Użycie z naszego urządzenia można zwykle poznać po nietypowym obciążeniu procesora i pamięci. Pomóc mogą podstawowe zasady higieny cyfrowej (nieotwieranie nieznanych załączników, nieklikanie w nieznane linki), a gdy wiemy już, że nasz komputer został tzw. zombie – aktualizacja oprogramowania antywirusowego i skan urządzenia.

- **Phishing.** Innymi słowy, łowienie (hasła), czyli wyłudzenie danych, które pozwolą przestępcom na kradzież pieniędzy lub dotarcie do innej osoby albo informacji. Hakerzy zwykle podszywają się pod osobę lub instytucję, która budzi zaufanie. Może chodzić o loginy i hasła do bankowości elektronicznej, numery karty płatniczej albo dane osobowe innych użytkowników (najczęściej rodziny i znajomych). Charakter wyłudzenia może być bardzo różny – od telefonu i oszustwa na tzw. wnuczka, dopłaty za nadaną przesyłkę kurierską, podszywanie się pod rodzinę potrzebującą naglej pomocy, reklamy inwestycji przynoszących wysokie stopy zwrotu, obietnice oszczędności na prądzie czy gazie, po fałszywe wiadomości wysyłane za pośrednictwem poczty elektronicznej lub komunikatorów. W przypadku wiadomości z linkami nieznanego pochodzenia bądź załącznikami dochodzi często do instalacji na urządzeniu ofiary specjalnego oprogramowania zbierającego informacje.

- **Włamania do systemów informacyjnych.** Zwykle jest to konsekwencja wcześniejszego udanego ataku phishingowego.

Pierwsze dwa typy ataków hakerskich są stosowane, ponieważ zwykle są głośno medialnie. Przykładem może być atak, którego dokonała grupa NoName057(16),

a którego ofiarą padły serwery firm z branży medialnej działających w Polsce, w tym serwery POLITYKI.

Cyberprzestępcy mogą również śledzić nasze pliki cookies, dzięki którym nie musimy logować się na nowo za każdym razem, gdy przechodzimy z jednej strony internetowej na drugą, np. sprawdzając różne oferty na platformach handlowych. Mogą podszywać się pod nazwy stron internetowych, śledzić to, co piszemy na klawiaturze, bądź łamać nasze hasła, używając programów szukających użytej przez nas kombinacji znaków (choć to, ze względu na rosnącą świadomość dotyczącą zasad tworzenia hasła, jest coraz trudniejsze).



Czy charakter cyberzagrożeń się zmienia?

Stereotyp mówi, że haker działa w pojedynkę przeciw wielkiej, często w jego oczach złej, organizacji albo opresyjnemu reżimowi. Taki obraz nie ma wiele wspólnego z rzeczywistością. Od kilkunastu lat hakerzy, których łączy określona ideologia (jak w przypadku najsłynniejszej na świecie Anonymus) lub motywacja finansowa bądź sensu stricto polityczna, tworzą grupy. Wśród nich jest wspomniana prokremłowska NoName057(16), która stała za atakami DDoS nie tylko na polskie media, lecz także na inne podmioty przeważnie w Europie Środkowej. Próbowano na przykład wpłynąć na wynik wyborów prezydenckich w Czechach. O swoich dokonaniach członkowie tej formacji informują za pośrednictwem kanału w komunikatorze Telegram, gdzie apelują również o wsparcie.

W ostatnich latach cyberataki można wykupić również jako usługę. Z tej możliwości korzystają czasami biznesowi konkurenci, a eksperci nazywają je Cybercrime-as-a-Service (cyberprzestępstwo na życzenie). Według niektórych szacunków nawet 90 proc. wszystkich ataków wykonywanych jest przy użyciu oprogramowania wynajmowanego od grup hakerskich. Usługi takie kosztują nawet mniej niż 10 dol. i mogą być wykorzystywane np. w nieuczciwej walce z konkurencyjną firmą.



Jak duża jest skala cyberzagrożeń w Polsce?

Mamy do czynienia z różnymi szacunkami. Te oficjalne przygotowywane co roku przez CERT Polska, czyli zespół

odpowiedzialny za bezpieczeństwo w sieci działający w strukturach NASK (Narodowa Akademička Sieć Komputerowa), wskazują, że w 2022 r. Polacy zgłosili do tej instytucji niemal 39,7 tys. incydentów. To o ponad 34 proc. więcej niż rok wcześniej, co świadczy o tym, że zaczynamy dostrzegać problem cyberprzestępczości.

Najczęstszym zgłaszanym zagrożeniem był phishing (25,6 tys., czyli 64 proc. wszystkich obsługiwanych incydentów). Najpopularniejszym sposobem wyłudzenia danych było podszywanie się pod firmy kurierskie (ponad 5 tys.), media społecznościowe (ponad 4,3 tys.) oraz platformy zakupowe (niemal 3 tys.). Prawie 3,5 tys. zgłoszeń (8,6 proc.) dotyczyło obecności na urządzeniach elektronicznych złośliwego oprogramowania. CERT Polska zarejestrował również 354 włamania do systemów informatycznych. Spośród wszystkich zdarzeń, do jakich doszło w 2022 r., instytucja sklasyfikowała 30 jako poważne, czyli zagrażające ciągłości działania bądź skutkujące znacznym obniżeniem jakości najważniejszych usług w kraju: 21 dotyczyło sektora bankowego, pięć – energetycznego, trzy – ochrony zdrowia, a jeden – transportu.



Kto czuwa nad naszym cyberbezpieczeństwem?

Przede wszystkim musimy my sami (więcej w dalszej części tekstu). Pomagają nam w tym różne instytucje i ludzie.

- **CERT Polska** (Computer Emergency Response Team) to pierwszy w kraju, powstały w 1996 r., zespół reagowania na incydenty. Poza ich monitorowaniem odpowiada za przekazywanie informacji najważniejszym instytucjom w Polsce o incydentach bądź ryzyku ich wystąpienia.

Poza tym działa kilka podobnych instytucji, czyli **CSIRT-ów** (Computer Security Incident Response Team), z których jeden przy Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego, a drugi przy Ministerstwie Obrony Narodowej. Jest także sektorowy CSIRT dla banków i ubezpieczycieli przy Komisji Nadzoru Finansowego. Policja ma zaś **Centralne Biuro Zwalczania Cyberprzestępczości**, którego celem poza zwalczaniem przestępstw jest zapobieganie im oraz wsparcie innych jednostek policji. Komórki zajmujące się bezpieczeństwem w sieci działają również w strukturach administracji publicznej oraz prywatnych firm.



Czy przepisy prawa mogą zwiększyć bezpieczeństwo w sieci?

Taki cel miała np. unijna dyrektywa NIS z 2016 r. (zaktualizowana w 2023 r.) oraz wdrażająca ją w Polsce ustawa o krajowym systemie cyberbezpieczeństwa z 2018 r. Zakłada ona m.in. zapewnienie przez państwa członkowskie bezpieczeństwa w sektorach, które mają zasadnicze znaczenie dla gospodarki i społeczeństwa, czyli np. energetyce, transporcie, bankowości czy opiece zdrowotnej. Taki również cel przyświecał rozporządzeniu o ochronie danych osobowych (RODO). Regulacje, które wprowadzono w Europie w tej dziedzinie, dziś stanowią wzór dla prawodawców w wielu innych krajach na całym świecie. Rzecz w tym, że stosowanie przepisów prawa bywa problematyczne.

Przykładem może być kara w wysokości 3 mln zł, którą prezes Urzędu Ochrony Danych Osobowych nałożył na Morele.net za nienależytą jego zdaniem ochronę danych. Po długiej batalii przed wywiadem sprawiedliwości Naczelny Sąd Administracyjny orzekł, że włamanie i kradzież bazy danych o klientach sklepu internetowego nie jest dowodem na to, że jego administrator nie dochował staranności. Sprawa opublikowania danych pacjentów spółki ALAB Laboratoria będzie kolejnym testem zarówno dla regulatorów, jak i wymiaru sprawiedliwości.



Czy atakom można przeciwdziałać?

Owszem, ale nie da się ich jednak wyeliminować całkowicie. Specjaliści mówią, że właściciele i zarządzający firmami nie powinni zastanawiać się, czy ich przedsiębiorstwo padnie ofiarą cyberprzestępstwa, tylko przygotować się na to, że taka sytuacja prędzej czy później nastąpi.

Warto więc przeprowadzić audyt cyberbezpieczeństwa i wdrożyć rekomendacje z niego wynikające. Najczęściej chodzi o wdrożenie procedur bezpieczeństwa oraz szkolenia dla pracowników, ponieważ to człowiek jest zwykle najsłabszym ogniwem.

W przypadku indywidualnych użytkowników kluczem jest zasada ograniczonego zaufania. Nie klikamy w linki, których nie znamy. Sprawdzamy, kto faktycznie wysłał nam wiadomość z 70-procentową promocją na ubrania. Regularnie aktualizujemy oprogramowanie oraz restartujemy urządzenia elektroniczne.



Czy nowa technologia może przyjść nam z pomocą?

Przestępcy coraz częściej automatyzują swoje ataki. Dziś są w stanie zwiększyć swoją skuteczność dzięki narzędziom sztucznej inteligencji. Coraz bardziej zaawansowane oprogramowanie służące np. do generowania głosu i obrazu sprawia, że phishing staje się o wiele łatwiejszy. Coraz częściej obserwujemy fałszywe wizerunki celebrytów nakłaniające nas do udziału w różnych kampaniach (czyli klikania w nieznane i potencjalnie niebezpieczne linki). Kwestią czasu jest więc również wykorzystanie do podobnych kampanii wizerunków lokalnych autorytetów (np. policjantów, działaczy społecznych, lekarzy, księży, urzędników, polityków). Takie narzędzia pozwalają również – np. na podstawie aktywności w mediach społecznościowych – na wygenerowanie głosu konkretnej osoby i wykorzystanie go do telefonicznego oszustwa.

Z drugiej strony AI może przyspieszyć rozpoznanie i analizę zagrożeń (jest doskonała w identyfikacji wzorców, co może ułatwić np. przypisanie ataku konkretnej grupie hakerów). Algorytmy potrafią także zapamiętywać to, w jaki sposób np. piszemy na klawiaturze lub poruszamy myszą. Dzięki temu może nas uwierzytelić nie tylko poprzez wpisane hasło, lecz także zachowanie. Według analiz virustotal.com oraz Google sztuczna inteligencja doskonale nadaje się także do analizowania kodu oprogramowania pod kątem złośliwych skryptów. Wykrywa ich o 70 proc. więcej niż człowiek.

Kolejnym narzędziem, które – prawdopodobnie w drugiej połowie tej dekady – znacząco wpłynie na bezpieczeństwo w cyberprzestrzeni, będą komputery kwantowe. Ich zdolność do wykonywania niezwykle skomplikowanych obliczeń w relatywnie krótkim czasie sprawi, że dotychczasowe metody szyfrowania oraz stosowane hasła staną się niewystarczające. Technologia ta jest zatem również napędem rozwoju postkwantowych zabezpieczeń, w tym nowego szyfrowania (POLITYKA 40).

Rośnie liczba urządzeń podłączonych do internetu (odkurzacz, pralka, oświetlenie, brama) i rozwoju tzw. internetu rzeczy (internet of things). Cyfryzacja kolejnych gałęzi gospodarki przyspiesza. Czeką nas zatem bezprecedensowy wzrost skali ataków (głównie DDoS), a co za tym idzie – konieczne będą większe nakłady na walkę z cyberzagrożeniami. W całej

tej sytuacji promowane będą duże firmy technologiczne, które, w przeciwieństwie do małych, lokalnie działających przedsiębiorstw, dysponują zasobami do walki z nimi przez całą dobę.



Czym grozi brak bezpieczeństwa w cyberprzestrzeni?

Cyberatak może pozbawić nas pieniędzy bądź ujawnić fakty, którymi niekoniecznie chcielibyśmy dzielić się z innymi – jak w sprawie ALAB Laboratoria. Przestępcy, publikując dane pacjentów, takie jak PESEL oraz wyniki ich badań, umożliwiają niepowołanym osobom stwierdzenie, czy ktoś jest np. zakażony wirusem HIV.

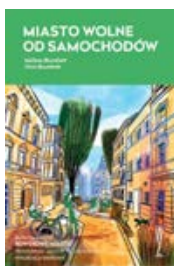
Zagrożenie może polegać również na zaszyfrowaniu danych, bez których firma nie może kontynuować działalności. Do takiego przypadku doszło w maju 2021 r., kiedy przestępcy wykradli i zaszyfrowali dane operatora rurociągu przesyłowego Colonial Pipeline w USA. Na skutek ataku firma nie dostarczała surowca swoim odbiorcom przez pięć dni, a władze jednego z najbardziej uszkodzonych stanów, Karoliny Północnej, ogłosiły stan wyjątkowy.

Do cyberataków na kluczową infrastrukturę dochodziło też – choć w mniejszej skali – w Polsce. W lutym 2022 r. ofiarą ataku padło Centrum Zdrowia Matki Polki w Łodzi, a w rok później – Centralny Szpital Kliniczny w tym samym mieście. Łatwo również można wyobrazić sobie próbę ataku na lotniska, koleje czy miejskie wodociągi. W każdym z tych przypadków skutkiem mogłyby być nie tylko czasowe niedogodności, ale także zdrowie i życie ludzi.

Dotychczasowe wycieki danych i ataki hakerskie w Polsce odbiły się relatywnie niewielkim echem w opinii publicznej. W przypadku spółki ALAB Laboratoria może być inaczej. Po pierwsze, skala tego działania cyberprzestępców może okazać się ogromna, a zatem dotknie niemal każdego z nas lub naszych znajomych. Po drugie, dotyczy informacji wyjątkowo wrażliwych. Prawdopodobnie na przełomie tego i przyszłego roku poznamy nazwisko nowego prezesa Urzędu Ochrony Danych Osobowych (kadencja Jana Nowaka zakończyła się w maju 2023 r.). Ta sprawa będzie pierwszym testem dla jego determinacji w egzekwowaniu RODO.

KAROL TOKARCZYK

Autor jest analitykiem ds. gospodarki cyfrowej w zespole POLITYKA Insight.



Wokół czterech kół

„Miasto wolne od samochodów” to nowa książka na stary temat. Czyżby kolejny lewacki atak na zmotoryzowaną tożsamość Polaków? Nie, ponieważ nie opowiada ona o samochodach, tylko o ludziach.

MARCIN SKRZYPEK

Politycy kochają nas miłością zardrosną i zaborczą. Upolitycznili, co mogli, nawet pragmatykę rozwiązań transportowych. Trudno wsiąść do auta lub na rower, żeby nie pomyśleć, że jest to wyraz poparcia dla którejś z partii. Jak się wyzwolić z tego matriksu? Choćby sięgnąć po „Miasto wolne od samochodów”, książkę, która opisuje coś więcej: nasze wspólne potrzeby wynikające z ludzkiej natury, niezależnie od poglądów politycznych.

To efekt osobistych doświadczeń dwójki autorów, Chrisa i Melissy Bruntlettów, którzy w 2019 r. z dwójką małych dzieci przeprowadzili się za pracą z Vancouver w Kanadzie do Delft w Holandii. Ponieważ wcześniej napisali „Rowerowe miasto. Holenderski sposób na ożywienie miejskiej przestrzeni”, Chris został zatrudniony w oferującej rowerowe know-how firmie Dutch Cycling Embassy, a Melissa w Mobycon,

projektującej zrównoważone rozwiązania transportowe na podstawie holenderskich doświadczeń.

Można by oczekiwać, że jako rowerowi aktywiści odtąd będą po prostu afirmować transport dwukołowy. Doszli jednak do wniosku, że wcale nie chodziło im o rowery. Odkryli, że jeśli miasto nie zmusza nikogo do bycia kierowcą, jest lepsze do życia. Zamiast ideologicznych pouczeń czytelnik dostaje więc coś w rodzaju reportażu lub pamiętnika. Bruntlettowie nie tyle chwalą holenderski styl życia, ile relacjonują, jak zmieniło się ich życie po przeprowadzce z Vancouver. Pozwalają czytelnikowi zastanowić się, czy miasto niepodporządkowujące ludzi ruchowi samochodowemu byłoby atrakcyjną opcją również dla niego.

Miasto, a jednak człowiek

Polski tytuł tej książki jest bardziej rydkałny od angielskiego „Curbing traffic” (okiełznać ruch samochodowy). Jest to ryzykowne, ale może ma głębszy sens, bo buduje nowe skojarzenia. Zaczynamy

myśleć o sobie, o rodzinie, sąsiadach i współobywatelach, a nie tylko o kierowcach oraz ich pojazdach i prawach. Aczkolwiek nie do końca. Wczuwamy się także w los kierowcy i w jego charakterystyczną klaustrofobię, która towarzyszy stanowi w korku czy szukaniu miejsca do parkowania, oraz we frustrację towarzyszącą obserwowaniu rosnących cen paliw. Aby funkcjonować, Atlanta potrzebuje 2960 litrów benzyny na osobę rocznie, a w Barcelonie wystarczy zaledwie 242 litry. Widelki możliwości są więc dość szerokie. Pojawia się pytanie, jakie koszty paliwowe narzuca nam polskie miasto? Możemy poczuć chęć wyzwolenia się z tych ograniczeń i zależności. Ale jak to zrobić i czy to w ogóle możliwe? W sukurs przychodzi nam pół wieku doświadczeń Niderlandów.

Jest to bowiem również książka o Holandii i mieście Delft, z którego pochodzi koncepcja słynnego holenderskiego woonerfu, czyli tzw. miejskiego podwórca (widniejącego zresztą na okładce). Według lokalnej legendy ten słynny już

uliczny format ruchu mieszanego pieszych, rowerzystów i aut (pokrewnego naszej „strefie zamieszkałej” oznaczonej znakiem D-40) stworzono pół wieku temu w odpowiedzi na bunt mieszkańców ulicy Ogrodowej. W pewnym momencie zaczęła ona służyć kierowcom za łącznik między dwiema większymi ulicami. Stała się przez to niebezpieczna dla dzieci, ale miejskich urzędników w Delft specjalnie to nie obchodziło. Dlatego pewnego dnia mieszkańcy zablokowali ją betonowymi słupkami i posadzili drzewa, tworząc podwórko do towarzyskich spotkań i zabaw.

Bruntlettowie rozwinęli ten temat. Opisują miasto towarzyskie, ufnie, dostępne, odporne, terapeutyczne, słyszące i zamożne oraz przyjazne dzieciom, kobietom i seniorom. Jest to piękna opowieść o naturze człowieka. O jego potrzebach, które uległy deprecjacji, ponieważ ich zaspokajanie kolidowało lub nie współgrało z rozwojem motoryzacji.

Konkurencja z innymi, a jednak ze sobą

„Miasto wolne od samochodów” w angielskiej wersji ma podtytuł „Ludzkie argumenty za mniejszą liczbą samochodów w naszym życiu”. Jeżdżenie własnym autem też przecież jest ludzką potrzebą, więc na jakiej podstawie kierowcy mieliby być wykluczeni z troski o ludzkie potrzeby w miastach?

Autorzy stawiają ten problem w zupełnie nowym świetle. Jeśli bowiem uznamy człowieka za podmiot zarządzania miast, musimy wziąć pod uwagę wszystkich ludzi, w całej ich różnorodności. Wtedy okaże się, że wielu z nich motoryzacja uniemożliwia lepsze życie, a przecież nie jest ona celem samym w sobie, lecz tylko jednym z wielu sposobów na załatwienie spraw.

Żadne miejskie rozwiązanie nie powinno faworyzować którejś z grup kosztem innych. Jeśli więc ruch uliczny uniemożliwia dzieciom samodzielne docieranie do szkoły, należy go uznać za czynnik dyskryminacji utrudniający życie osobom decydującym się na założenie rodziny. Lecz chodzi też o to, żeby nikt nie znalazł się w gorszej sytuacji życiowej, tylko dlatego, że straci możliwość jazdy lub nie będzie mógł korzystać z auta choćby z braku miejsca do parkowania. Niestety, książka ta nie podaje sposobu, jak o tym wszystkim rozmawiać w Polsce. Zachodni urbaniści nie rozumieją naszych argumentów, że samochód to rozwój i prestiż, a drzewa są złe, bo brudzą auta liśćmi czy pyłkiem.

Nasz problem sprowadza się więc do pytania, jak rozmawiać z kierowcami o zmniejszeniu ich liczebności? Każda uwaga, że aut jest za dużo, z miejsca uszczywnia kierowców, którzy zaczynają się zarzekać, że muszą – i kochają – jeździć. Taki argument w zasadzie ucina wszelki dialog. Dominuje dyskurs, który sprowadza użytkowników różnych środków transportu do „plemion”, które ze sobą walczą o terytorium. Paradoksalnie, to darwinistyczne myślenie podpowiada rozwiązanie pata. Wystarczy uświadomić sobie, że kierowcy konkurują o terytorium przede wszystkim sami ze sobą. Im również żyłoby się lepiej, gdyby było ich mniej.

Drogowa solidarność jest najgorszą strategią, jaką mogą obrać, bo prowadzi do kolejnych inwestycji w ruch samochodowy, które go zwiększają, co wymaga kolejnych inwestycji itd. Przypomina to walkę z otyłością przez popuszczanie pasa.

Przyczyną, dla której rozbudowa dróg nie likwiduje korków, jest tzw. ruch wzbudzony, czyli wzrost liczby pojazdów w odpowiedzi na zwiększenie atrakcyjności tego środka transportu w porównaniu z innymi. Dotyczą tego zjawiska aż trzy słynne drogowe paradoksy: Braessa, Downs-Thomsona i Lewisa-Mogridge’a.

Niemiecki matematyk Dietrich Braess przewidział w 1968 r. sytuację, w której połączenie dwóch dróg, co na zdrowy rozum powinno przyspieszyć podróżowanie, w rzeczywistości je spowolni i to bez możliwości odwrócenia tego efektu. Nie wiemy, czy z tego powodu zrezygnowano z jakichś inwestycji, ale są przykłady, kiedy to likwidacja arterii usprawniła ruch.

David Lewis i Martin Mogridge zaobserwowali podobne zjawisko w 1977 i 1990 r. na ulicach Londynu. Poszerzanie jezdni dawało tylko chwilowy efekt. Korki wkrótce wracały, gdyż na nowej drodze zwiększała się liczba kierowców. To samo zaobserwował na kilku warszawskich arteriach Wojciech Szymalski z organizacji Zielone Mazowsze.

Wpływ ruchu wzbudzonego na powstawanie korków podsumowuje paradoks Anthony’ego Downsa i Michela Thomsona. Ich badania z 1962 i 1977 r. dowodzą, że swoim autem jeździ się po mieście tym lepiej, im lepsza jest komunikacja publiczna. Zatem kierowcy powinni wspierać zbiorcom, bo jeśli jego pasażerowie też zaczną przesiadać się do własnych aut, to w dłuższej perspektywie doprowadzi to do ograniczenia kursów i efekt wzrostu liczby pojazdów staje się nieodwracalny.

Badający ten ostatni casus polscy inżynierowie Jan Paszkowski i Rafał Kucharz pokazali, czym jest ruch wzbudzony na konkretnym przykładzie. Oszacowali w 2017 r., że skrócenie czasu podróży przez budowę nowego fragmentu obwodnicy Krakowa może być zniwelowane przez zaledwie siedmioprocentowy wzrost liczby kierowców w pobliżu inwestycji. To tak, jakby do czternastu samochodów dojechał piętnasty, więc optycznie zmiana jest niezauważalna, ale to właśnie ona może uczynić całą inwestycję nieopłacalną.

Żeby temu zapobiec, badacze rekomendują – trochę jak przy przyjmowaniu antybiotyków razem z probiotykami – by inwestycjom w motoryzację towarzyszyły osłonowo proporcjonalne inwestycje w transport zbiorowy. Dodajmy do tego również rowerowy i pieszy. Wtedy przybędzie miejsca dla aut, ale nie przybędzie samych aut. Ale skoro istnieje już taka zależność, czemu by nie zredukować korków wyłącznie przez inwestycje w transport zbiorowy, rowerowy i pieszy oraz przez planowanie codziennych usług blisko miejsc zamieszkania, żeby nie trzeba było do nich docierać autem? Wtedy ci, co naprawdę „muszą i kochają” jeździć, wreszcie odetchną.

Praktyka, a jednak teoria

Holendrzy zaczęli odchodzić od samochodów, zanim my zaczęliśmy dostawać talony na małe fiaty. Dzieli więc nas mentalna i materialna przepaść. I tak też usprawiedliwia się tendencje w rozwoju polskich miast. Oni już wszystko mają, więc mogą teraz myśleć o potrzebach wyższych, a my musimy się najpierw dorobić – ten argument pokutuje w umysłach decydentów już od trzech dekad. Jak długo jeszcze będziemy go słyszeć? Gdzie się podziała nasza własna, polska wiedza urbanistyczna, która kiedyś tworzyła rozwiązania optymalizujące zbiorowe życie w miastach kilka pokoleń naprzód?

Kraków i Warszawa stały się liderami rozwoju transportu zrównoważonego w Polsce, ale mało się tym chwala. Nie widzą swojej roli jako animatorów postępu w tych dziedzinach, a szkoda. Holandia ma Delft, Dania Kopenhagę. Inne miasta mają się do czego odnieść. Nam również przydałby się taki miejski trendsetter, który oficjalnie uwiarygodniłby w praktyce to, o czym jak na razie możemy głównie poczytać w takich książkach jak „Miasto wolne od samochodów”.

Szerzej o paradoksach ruchu drogowego Marcin Skrzypek pisze na łamach portalu pulsar, w cyklu „Wymiary przestrzeni”.



Wódz węgierski, protoplasta dynastii Arpadów,
fragment cykloramy „Przybycie Węgrów”, XIX w.

O pokrewieństwach i obcości „dwóch bratanków”, wspólnych interesach i konfliktach opowiada prof. Paul Lendvai.

Podobni inaczej

TOMASZ TARGAŃSKI: – Utarło się, że Polacy i Węgrzy mają tysiącletnią tradycję wspólnoty interesów. Kiedy jednak uważniej przyjrzeć się historii obu narodów, okazuje się, że było nieco inaczej. Dziś na tle wojny w Ukrainie widać wyraźnie, że dzieli je stosunek do Rosji. Węgry są jednym z niewielu sojuszników Moskwy w Europie. Skąd ta różnica zdań?

PAUL LENDVAI: – Jest to skutek koniunkturalnej polityki Viktora Orbána, która ma się nijak do węgierskich tradycji historycznych.

Zwrot w stronę Moskwy jest anomalią, naruszeniem tradycyjnej węgierskiej polityki względem Rosji, która co najmniej od połowy XIX w. była naznaczona nieufnością. Pamiętajmy, to carskie wojska stłumiły węgierskie powstanie narodowe w 1849 r. Sto lat później, w 1956 r., wojska sowieckie zrobiły to samo w Budapeszcie. Węgrzy o tym nie zapomnieli, dlatego kiedy publikowane są kolejne badania opinii publicznej, Rosja tradycyjnie lokuje się wśród najmniej lubianych przez Węgrów krajów. Mam nadzieję,

że żadna państwowa propaganda tego nie zmieni. Zarówno w tej, jak i w innych kwestiach. Orbán jest po prostu cynicznym graczem, który wykorzystuje historyczne traumy społeczeństwa i sprzymierza się z autorytarnymi reżimami, aby utrzymać się przy władzy.

Kością niezgody między Ukrainą a Węgrami jest sprawa Zakarpacia.

To tylko pretekst, w dodatku słaby. Ruś Zakarpaska stanowiła część historycznych Węgier. Budapeszt utracił te terytoria na mocy traktatu w Trianon w 1920 r., kiedy weszły w skład Czechosłowacji. Później Węgry odebrały Pradze Zakarpacie jako sojusznik Hitlera. Natomiast po 1945 r. Stalin włączył je w skład sowieckiej Ukrainy. Dziś Orbán szermuje hasłem przywrócenia praw mniejszości węgierskiej na Zakarpaciu. Koniunkturalnie sięga po kwestie historyczne, bo wie, że poruszy w ten sposób czułą strunę. Powtórzę raz jeszcze: między Ukrainą a Węgrami nie ma realnego sporu. Jest tylko spór wygenerowany przez Orbána i jego nacjonalistyczną agendę.

Wracając do narracji o tysiącletniej przyjaźni polsko-węgierskiej. Co nas łączyło na najwcześniejszym etapie wspólnej historii?

Oba kraje powstały na przełomie tysiącleci. Nasi pierwsi królowie, Bolesław Chrobry i Stefan Święty, byli niemal rówieśnikami i wprowadzili swoje kraje na arenę dziejów. Polaków i Węgrów łączy zatem to, że musieli najpierw udowodnić Europie – papieżowi i cesarzowi – że mają w niej swoje miejsce jako niezależne byty. W przypadku Węgrów dodatkową trudnością było ich koczownicze pochodzenie. Jeszcze długo po chrzcie państwa postrzegano ich w Europie jako najeźdźców. Polska i Węgry miały zatem wspólne interesy względem Zachodu: chciały stać się jego częścią. Z drugiej strony spadały na nie podobne klęski, jak np. najazd Mongołów.

Mieliśmy wspólnych władców: Ludwika Wielkiego, nazywanego w Polsce Węgierskim, Władysława III Warneńczyka i Stefana Batorego. Czy te unie były raczej incydentem, czy też może dowodem wspólnoty interesów?

Traktowałbym je jako wynik bieżących interesów dynastycznych. Pod względem geopolitycznym średniowieczne Węgry i Polska miały różne strefy zainteresowań. Arpadowie, a po nich Andegawenowie ciągnęli w kierunku południa kontynentu. Interesował ich Adriatyk i Morze Śródziemne, nie zaś np. Gdańsk. Oczywiście miło jest pomyśleć, że władztwo Ludwika Wielkiego sięgało od Splitu po Bałtyk, ale była to efemeryda nieoparta na realnych podstawach. Z kolei dla Stefana Batorego, którego Polacy zapamiętali jako wielkiego wojownika, tron Rzeczypospolitej miał znaczenie o tyle, o ile pomagał mu umocnić pozycję ojczystego Siedmiogrodu. Nie zaprzeczam naszym wspólnym historycznym tradycjom – Polacy wspierali przecież Węgrów w czasie ich strasznych wojen z Turkami – mimo wszystko jednak operowaliśmy na nieco innych, nazwijmy to geopolitycznych, polach. Mieliśmy innych arcywrogów: dla Madziarów byli to Turcy i Habsburgowie. Dla Polaków egzystencjalnym zagrożeniem stała się Rosja. Z pewnością łączy nas za to doświadczenie utraty niepodległości: Węgry, tak jak później Polska, zostały w połowie XVI w. podzielone na trzy części.

W jaki sposób podział wpłynął na dalsze dzieje kraju?

Węgierscy historycy uznają przegraną bitwę z Turkami pod Mohaczem w 1526 r. za symboliczny początek utraty



Dukat Stefana Batorego oraz należąca do króla szabla z pochwą.



niepodległości. Podział trwał ponad 150 lat, ale uznaje się, że zjednoczenie dokonane przez Habsburgów było tylko kolejnym podbojem. Tym samym prawdziwe odzyskanie niepodległości nastąpiło dopiero po upadku cesarstwa Habsburgów w 1918 r. Paradoks polega na tym, że półwiecze poprzedzające pierwszą wojnę światową było być może najbardziej szczęśliwym i dynamicznym okresem rozwoju węgierskiej tożsamości.

Najbardziej brzemiennej w skutki konsekwencja zniszczenia królestwa po 1526 r. była stopniowa zamiana struktury narodowościowej na niekorzyść Węgrów. Mówiąc w skrócie: za sprawą Turków kraj najpierw się wyludnił, a później Habsburgowie sprowadzali na to miejsce osadników: Niemców, ale również Serbów. Koniec końców na historycznym terenie Wielkich Węgier mieszkało coraz mniej etnicznych Madziarów. Pod koniec XVIII w. było to ok. 40–50 proc. Wielu historyków uważa, że miało to wpływ na tragiczny traktat w Trianon w 1920 r., który oderwał od Węgier te tereny, na których madziarski żywioł był już od dawna osłabiony.

Pod względem struktury społecznej Polska i Węgry były podobne: dominowała w nich szlachta, król był obieralny, a mieszczaństwo było w większości niemieckojęzyczne. Oba kraje składały się z wielu narodów, ale spajała je wspólna tożsamość polityczna. W Rzeczypospolitej mówiło się Gente Rutheni, natione Poloni, czyli można było mówić po rusku i wyznawać prawosławie, lecz przynależać do szlacheckiego narodu politycznego. Czy na Węgrzech było podobnie?

Tak. Określenie *Natio Hungarica* obejmowało szlachtę nie tylko madziarską, ale też wołoską, słowacką czy chorwacką. Spajało ono w jedno członków narodu politycznego bez względu na etniczne pochodzenie. Korona Świętego Stefana była monarchią wielonarodową. Więcej, najbardziej chlubne karty w dziejach Węgier zapisali ludzie, którzy nie byli etnicznymi Madziarami, lecz zgłosili dobrowolny akces do *Natio Hungarica*. Weźmy wielkiego XV-wiecznego wodza Jánoša Hunyadyego. Jego ojciec był rumuńskim szlachcicem, który do Siedmiogrodu przybył z Wołoszczyzny. Nie sposób temu zaprzeczyć, choć obecnym nacjonalistom ciężko się z tym pogodzić. Kiedy Hunyady pełnił funkcję regenta królestwa, rodzima magnateria nie dała mu zapomnieć, że jest outsiderem i parweniuszem.

Inny przykład: Nikola Zrinski, który w 1566 r. oddał życie, broniąc Szigetváru przed Turkami, był etnicznym Chorwatem. Dziś jest on bohaterem dwóch narodów. Wbrew temu, co głosi urbanowska propaganda, węgierskość zawsze miała silny komponent internacjonalistyczny.

A związek węgierskości z katolicyzmem z jednej i protestantyzmem z drugiej strony?

Nigdy nie było na Węgrzech jednoznacznego powiązania wyznania z narodowością. Katolicy byli nawet w pewnym momencie uważani za podejrzanych – postrzegano ich jako popleczników Habsburgów. Reformacja odegrała na Węgrzech bardziej doniosłą rolę niż w Rzeczypospolitej. Na przełomie XVI i XVII w. luteranizm, a później kalwinizm wyznawała zdecydowana większość madziarskiej szlachty. W Siedmiogrodzie walka o wolność religijną, w szczególności wolność od katolickiej kontrreformacji pod egidą Habsburgów, była hasłem równie ważnym, co ponowne zjednoczenie Węgier. Ówczesni książęta Siedmiogrodu byli protestantami i węgierskimi patriotami zarazem. Siedmiogród odegrał wówczas ►

► heroiczną rolę w dziejach państwa. Można powiedzieć, że to dzięki niemu i tamtejszym księżtom, jak np. Gábor Bethlen, idea zjednoczonego kraju przetrwała. Węgry mają zatem szczególny dług wobec protestantyzmu. W XVIII w. nastąpiła stopniowa rekatolizacja kraju przez Habsburgów. Największe rody arystokratyczne dokonały konwersji po raz drugi w ciągu zaledwie 150 lat. Być może właśnie dlatego religia nie uchodzi na Węgrzech za podstawę tożsamości narodowej.

W pozornie bezkonfliktowym polsko-węgierskim sąsiedztwie są epizody, o których Polacy wolać nie pamiętać. Jak choćby ten, że to naciski Węgrów popchnęły Marię Teresę do zagarnięcia Spisza, długo przed podpisaniem aktu pierwszego rozbioru. A w 1772 r. to węgierski generał Andras Hadik zajął Lwów w imieniu Habsburgów.

Cóż, bywało i tak. Ale jako że w historii Węgier wszystko ma swoją drugą stronę, to węgierscy historycy wolać nie pamiętać, że ta sama Maria Teresa prowadziła bardzo intensywną akcję kolonizacyjną, jeszcze bardziej zmieniając skład narodowościowy na niekorzyść Madziarów.

Na początku XIX w. Węgry były austriacką kolonią pięknych pozorów. Madziarzy byli popularni na cesarskim dworze i w armii, ale ich ojczyzna znajdowała się w opłakanym położeniu. Wszystkie węgierskie miasta razem wzięte liczyły tyle samo mieszkańców, co Wiedeń. Przez ślepy opór szlachty, która nie płaciła podatków i utrzymywała resztę ludności w poddaństwie, pod względem gospodarczym i społecznym kraj wciąż tkwił w średniowieczu.

Dlatego ugoda austriacko-węgierska z 1867 r. była niebywałym skokiem cywilizacyjnym przede wszystkim pod względem gospodarczym. Choć węgierscy radykałowie uważali tę ugodę za zdradę. Według nich każdy, kto uznawał się za Węgra i mówił w tym języku, musiał zostać uznany za Węgra – bez względu na rzeczywistą etniczność. Był to powrót do idei *Natio Hungarica*, czyli narodu politycznego. Górę wziął madziarski nacjonalizm. Polityczne elity uwiodła idea Wielkich Węgier. Tak więc w ciągu ledwie półwiecza Węgrzy z narodu uciskanego stali się uciskającym.

Za największą katastrofę w dziejach Węgier uchodzi traktat z Trianon 1920 r., który odebrał im dwie trzecie ziem historycznego królestwa.

Trianon było tragedią, ale nie bez winy węgierskiej klasy rządzącej. Okazała się ona wcześniej niezdolna do przyznania mniejszościom równych praw. Zaniedbała kwestie społeczne, jak reforma rolna, poświęcając je dla narodowych mrzonek. Z drugiej strony Węgry nadawały się do roli kozła ofiarnego: mąły naród na obrzeżach Europy, o niezrozumiałej historii i niezrozumiałym języku. Dodatkowym elementem, który wzmocnił nieufność Ententy, było powstanie wiosną 1919 r. państwa Béli Kuna, pierwszej komunistycznej republiki w Europie poza Rosją. Francuzi i Anglicy doszli do wniosku, że Węgrzy są nieprzewidywalni, więc bezpieczniej będzie relegować ich kraj do trzeciej ligi.

Drogi Polaków i Węgrów rozminęły się w tamtym okresie. Polska chciała powersalski porządek utrzymać. Węgry chciały go obalić.

Polityką Węgier po Trianon był otwarty rewizjonizm, a dzieckiem rewizjonizmu – nacjonalizm. Z punktu widzenia rozwoju społecznego Trianon okazał się dla Węgier fatalną przeszkodą dla demokracji. W Polsce Piłsudski również wprowadził rządy autorytarne, ale pierwiastek liberalizmu nie



Medal upamiętniający węgierskie powstanie z podobiznami Lajosa Kossutha i Józsefa Bema, 1849 r.

został zniszczony. Tymczasem na Węgrzech debatę publiczną śmiertelnie zainfekowało szukanie winnych. Częściowo upatrywano ich wśród przywódców Ententy, ale przede wszystkim obwiniano Żydów, którzy, jak mówiono, masowo poparli reżim Béli Kuna. Była to oczywiście nieprawda. Duża część czerwonych komisarzy miała żydowskie pochodzenie, ale jeszcze więcej węgierskich Żydów – przemysłowców, urzędników, drobnych przedsiębiorców – znalazło się wśród ofiar reżimu Kuna.

Konsekwencją tragedii Trianon i zrodzonego przezeń rewizjonizmu i nacjonalizmu była następna tragedia – sojusz z Hitlerem. Z perspektywy Budapesztu III Rzesza dawała nadzieję na odzyskanie utraconych terytoriów.

Po 1945 r. Węgry tak jak Polska trafiły spod okupacji niemieckiej pod sowiecką. Na czym polegała różnica w położeniu obu krajów?

Polacy mogli chodzić z podniesionym czołem, bo cały czas byli po właściwej stronie, zapłacili za to cenę, ale jednak. Tego luksusu Madziarzy nie mieli. Dodatkowo obciążała ich kwestia deportacji węgierskich Żydów: latem 1944 r. ponad 400 tys. zostało szybko i sprawnie odesłanych do obozów śmierci. Tragiczny paradoks polega na tym, że większość węgierskich Żydów popierała postulat odbudowy Wielkich Węgier. Nienawidzili Trianon na równi z najbardziej zagorzałymi nacjonalistami. Kiedy w 1938 r. Budapeszt do spółki z Hitlerem wziął udział w rozbiórce Czechosłowacji, Żydzi z południowej Słowacji z entuzjazmem witali powrót swoich ziem do Węgier. Sześć lat później to samo państwo bez skrupułów wydało ich Niemcom na śmierć.

W jaki sposób węgierskie doświadczenie okresu komunistycznego różni się od polskiego?

Inaczej niż w Polsce, po 1945 r. władze komunistyczne podporządkowały sobie Węgry bez oporu. Madziarzy wstępowały do partii masowo, jakby chcieli dokonać zbiorowego samoczyszczenia i puścić w niepamięć wstydlivą przeszłość. Zainspirowane wydarzeniami w Polsce powstanie 1956 r. było pięknym wolnościowym zrywem, które pogrzebało stary system komunistyczny – na tym polegał jego częściowy sukces. Zakończyło się jednak budową nowego systemu. Również komunistycznego, ale bardziej „ludzkiego”. Na jego czele stanął János Kádár, który bez wątpienia miał w sobie cechy wielkiego polityka. Jego sumienie obciąża krew setek ludzi, ale później zaoferował Węgom kompromis: dobrobyt i w miarę dostatnie życie w zamian za posłuszeństwo. Ten system przetrwał nienaruszony do 1989 r.

Czy jest coś, co wyróżnia dzieje Madziarów na tle innych narodów Europy?

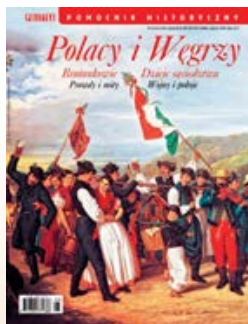
Strach przed wyginieciem. Jest wiele narodów mniejszych niż Węgry, ale tylko oni zadrezczają się pytaniem, czy przetrwają. Być może to kwestia języka – bardzo bogatego – ale niezrozumiałego dla nikogo poza Węgrami. Samotność jest wielkim tematem madziarskiej literatury.

ROZMAWIAŁ TOMASZ TARGAŃSKI

Prof. **Paul Lendvai** – ur. w 1929 r. w Budapeszcie historyk, pisarz i publicysta. W 1957 r. przeniósł się do Austrii, gdzie podjął pracę w wiedeńskim oddziale „Financial Times”. Jako przyjaciel Polski w 1999 r. otrzymał od prezydenta RP Krzysz Komandorski Orderu Zasługi.

Rozszerzona wersja wywiadu oraz inne teksty o dziejach Madziarów w Pomocniku Historycznym POLITYKI

„Polacy i Węgrzy. Dzieje sąsiedztwa”, do kupienia w dobrych punktach sprzedaży i na sklep.polityka.pl od 13 grudnia.



Na Wielkim Gościńcu Litewskim

Najważniejszym **traktem Rzeczypospolitej Obojga Narodów** jeździli królowie, kupcy i poczmistrze. Gdzie się zatrzymywano, co jedzono i kogo gryzły pluskwy, wiemy dzięki wspomnieniom podróżnych.



MARTA PANAS-GOWORSKA, ANDRZEJ GOWORSKI

Zgrabna, dwudziestoparoletnia dziewczyna, ubrana w dwuczęściowy strój kąpielowy, dostawia pustak do wznoszonej ściany, kładzie zaprawę i znów kolejny pustak. Sama buduje dom na skraju wsi Kotły, leżącej 1,5 km od Hryniewicz. Obie wsie rozdziela niegdysiejsza magistrała I Rzeczypospolitej, karmicielka Podlasia, i *last but not least*, pas transmisyjny idei – Wielki Gościńc Litewski. Dziś jest tu zaledwie wyasfaltowana drożyna.

Królewska poczta

Początki Wielkiego Gościńca Litewskiego sięgają IX w., kiedy przez Mazowsze i Podlasie prowadziła odnoga bursztynowego szlaku. Później droga służyła kolonizatorom osiedlającym się na Grodzieńszczyźnie. Do XVI w. nie było jednak ustalonej marszruty – zmieniała się zależnie od polityki miast na wschód od Wisły. Jeśli władzom zależało na ściągnięciu kupców, oferowali im jak najlepsze warunki. Prym wiodły Drohiczyn i Bielsk (dziś Bielsk Podlaski), gdzie snuto ambitne projekty. Mimo to jakość podróży z pewnością nie interesowała włodarzy. Trakt wił się, przesuwał, wiosną czy jesienią bywał nieprzejezdny, bo nawierzchni nie utwardzono. Nie przycinano gałęzi przy drodze i oprócz kilku wyjątków nie zbudowano mostów, a podróżni przeprawiali się brodami lub promami.

Zapowiedzią zmian stało się powołanie poczty. W Rzeczypospolitej regularne kursy ruszyły w połowie XVI w. i wtedy pierwsze wozy zaczęły transportować przesyłki oraz pasażerów między Krakowem, Wiedniem i Republiką Wenecką. Po unii lubelskiej (1569 r.) dołączono nitkę do Wilna i to były narodziny Wielkiego Gościńca Litewskiego.

Jego znaczenie wzrosło na początku XVIII w. za sprawą króla Augusta II Mocnego, który w pierwszym okresie panowania podpisał umowy na przewozy pocztowe z państwami ościennymi. Najważniejsza, z 1709 r. z Rosją, dotyczyła także transportu pasażerów. Później w 1717 r. król wpłynął na przyjęcie przez sejm ustawy pocztowej. Zawierała wytyczne, jak mają wyglądać stacje na traktach: główny budynek z pomieszczeniami gościnnymi w środku prostokątnego placu, po rogach stajnie, wozownie i budynki techniczne. Ustalono też, że stacja taka powinna łączyć funkcje urzędu pocztowego, zajazdu oraz serwisu dla pojazdów z usługą, jak byśmy dziś powiedzieli, horse-sharingu, czyli wypożyczenia koni. Określono przebieg dróg, ustalono terminy dostarczania poczty. Wóz docierał ze stolicy nad Wisłą do stolicy nad Wilią w tydzień, pokonując ok. 540 km. A po drodze przejeżdżał przez Węgrów, Sokołów, Drohiczyn i Bielsk oraz Białystok, Supraśl i dalej Grodno, skąd jechał przez Druskienniki i Troki do celu.

Po stronie Korony znamy przebieg szlaku. Po stronie litewskiej odcinki między miejscowościami zostały narysowane domyślnie. Obok: godło stacji pocztowej z XVIII w.

Do ostatecznego ukształtowania się Wielkiego Gościńca przyczynił się Stanisław August Poniatowski. Król już w pierwszym roku panowania (1764 r.) zobowiązał się tak „zorganizować pocztę, aby obywateli mieli z niej wygodę, a nie tylko ponosili ciężary związane z jej utrzymaniem”. W tamtych czasach za drogi i mosty odpowiadali lokalni feudałowie lub władarze miast. Król próbował to zmienić – z jego inicjatywy sejm powołał komisję do oceny stanu dróg oraz chwalił roczny fundusz 200 tys. zł na naprawę traktów pocztowych. Zachowały się archiwalne cenniki i w oparciu o przelicznik „konja spałego” i „wieprza karmnego”, a więc ówczesną wartość odchowanych zwierząt *versus* dzisiejsze ceny, 200 tys. odpowiadałoby obecnie 60 mln zł. Poza tym wydano „Uniwersał w sprawie poczty” i instrukcje szczegółowe określające sposoby przekazywania przesyłek, transportu ludzi, prowadzenia stacji, ustalono ich lokalizację, pojawiły się charakterystyczne mundury i trąbki pocztylionów.

Jerozolimy i Holandie

Uregulowano też kwestie związane z bezpieczeństwem – zarządzanie bieżącymi sprawami pocztowymi przejęła Komisja Policji. Jej jurysdykcji miały podlegać 22 istniejące w kraju trakty o łącznej długości 750 mil polskich, więc ok. 5350 km, oraz ponad 200 stacji pocztowych. ▶

► Na tych zmianach skorzystał Wielki Gościniec Litewski, a ulokowane przy nim miasta przeżywały okres rozwoju. Białystok, wtedy własność Branickich, cieszył się renomą Wersalu Północy. Taką laurkę wystawił mu przyszedł car, wielki książę Paweł Piotrowicz, który w 1782 r. incognito, jako Hrabia Północy, przejeżdżał tamtędy w drodze na zachód. Rozwijało się i Grodno, które w latach 1765–80 dzięki podskarbiemu wielkiemu litewskiemu Antoniemu Tyzenhausowi zwano „Holandią kwitnącą”. Podobnie Wilno, od początków XVIII stulecia, w dużej mierze za sprawą Żydów, przeżywało naukowy i kulturalny boom; w Europie zwano je Jerozolimą Północy.

Wielkie znaczenie dla gościńca miały relacje z Rosją. Ta zasmakowała w polityce europejskiej i m.in. w czasie wojen o sukcesję polską (1730–33), austriacką (1740–48) oraz wojny siedmioletniej (1756–63) wysyłała wojska na zachód. Do tego potrzebne były sprawdzone drogi. A w czasach pokoju traktaty, którymi Petersburg, będący stolicą od 1712 r., słały listy i dyplomatów. Dlatego caryca Katarzyna II naciskała na Stanisława Augusta Poniatowskiego, aby zapewnił bezpieczeństwo i ochronę dla ich poczty i niewątpliwie sama inwestowała w to jakieś kwoty. Mało znaczący, prowincjonalny trakt przeobraził się w najważniejszą arterię I Rzeczypospolitej w jej schyłkowym okresie.

Kura i dziewczyna

W Warszawie wyruszało się spod pałacu Wesselów przy Krakowskim Przedmieściu, gdzie od 1780 r. przez niemal wiek mieściła się siedziba poczty królewskiej, zwanej też saską. I stąd w poniedziałki i środy odjeżdżały pojazdy do Wilna, a poczta znad Wilii docierała tu w środy i soboty. Co do samych pojazdów, najprawdopodobniej nie były to dylżanse, raczej mniejsze, odpowiednio wzmacniane karety lub wozy, o czym wspominali podróżni, w tym polsko-niemiecki przyrodnik Georg Forster, jadący tamtędy w listopadzie 1784 r. Potwierdzeniem są również zapiski Adama Naruszewicza, który w 1784 r. towarzyszył Stanisławowi Augustowi Poniatowskiemu na Wielkim Gościńcu Litewskim. W „Dyjaryjusz podroży Jego Królewskiej Mości na sejm grodzieński” opisał pojazdy pocztowe jako „karety” w „cugu”, a więc zaprzęgach czterokonnnych lub „poszóstnych”, zmienianych na stacjach.

Podróżni przejeżdżał Wisłę mostem Ponińskiego, czyli tzw. przeprawą łyżwową, wspartą na łodziach, i przez Pragę opuszczał stolicę. Stacje wyznaczane były na odcinkach od dwóch do sześciu mil, więc od 14 do 42 km. Pierwsza



Orszak magnacki w podróży, obraz Jana Chełmińskiego, 1880 r.

z nich znajdowała się 25 km za Warszawą w prywatnych dobrach Okuniew. Tam po dwuipółgodzinnej jeździe zatrzymał się Poniatowski.

Kolejne przystanki rozlokowano m.in. w Węgrowie i Sokołowie i ten ostatni także poznajemy dzięki wspomnianemu Forsterowi. Miasteczko uznał za „czyście” i „miłe”, murowane domy przy rynku określił mianem „bardzo ładnych”. W budynku samej stacji w „bardzo ładnym pokoju dla gości” docenił ryciny przedstawiające siedem cudów świata i delectował się kurą upieczoną specjalnie dla niego, co podkreślił, „w dzień postny”. Dzięki niemu możemy też zajrzeć do stacji w Pobikrach, na odcinku między Drohiczyńskiem a Brańskiem, oraz do zajazdu w Wojszkach nad Narwią, na północ od Bielska. W pierwszym z nich zatrzymał się na noc „w pokoju dość dobrym” i został nakarmiony znów „kawałkiem kury” oraz zupą piwną. Przed snem „tęga pani poczmistrzyni” prowadząca stację zaofiarowała jeszcze „dziewczynę”, ale Forster nie skorzystał. Wieś Wojszki zapamiętał zaś jako biedną, w środku „dużych lasów”. Za to przejeżdżający tamtędy sześć lat wcześniej szwajcarski astronom i matematyk Johann III Bernoulli pisał o „porządnej polskiej gospodzie” oraz o pobliskiej „rzeczce [Narwi – przyp. aut.], w której łowiono duże szczupaki”.

I właśnie nieopodal Wojszek Wielki Gościniec Litewski pokrywał się z drogą łączącą Królewiec z Lublinem i dalej prowadzącą do Lwowa. Nie miała ona statusu traktu pocztowego, ale służyła kupcom

i najwyraźniej opłacało się wznieść tam most przez Narew. Była to bodaj jedyna taka konstrukcja między Warszawą a Wilnem, bo nawet w Grodnie na Niemnie nie było stałej przeprawy; wcześniejszą zniszczono w XVI w. Zatem most między Bielskiem a Białymstokiem musiał być wyjątkowy i jedną z ostatnich decyzji Jana Klemensa Branickiego była jego rozbudowa; prace zakończono w 1771 r.

Jeszcze przed remontem w 1767 r. pojawiła się tu Komisja Skarbu Koronnego, aby określić stan mostu i oszacować, ile zysku może przynieść. Najprawdopodobniej król planował już poddanie takiej infrastruktury centralnemu zarządowi. Nie zachował się cały raport z kontroli, ale z istniejących dokumentów wiadomo, że przeprawa liczyła 681 łokci warszawskich, co odpowiadałoby 405 m. Obecnie Narew w tym miejscu nie jest szersza niż 15 m, ale zapewne dawniej tereny były bagniste i wymagały takiej długości. Komisja zweryfikowała także wysokość opłat tzw. mostowego. Przeprawę tę uznano za „kosztowniejszą”, czyli zaliczono do grona mostów polskich, wymagających więcej nakładów i tym samym pobierano na niej wyższe opłaty. Branicki zadanie to zlecił Żydowi, który, przykładowo, od przeprowadzanych tędy 10 baranów albo 5 wieprzy lub jednego konia żądali miedzianego grosza, co dziś mogłoby odpowiadać 10 zł, zaś od każdego zwierzęcia jucznego, konia albo wołu brali 3 gr miedziane. Oprócz tego oczekiwano należności w naturze i handlarz przewożący wóz tarcicy płacił 3 gr oraz

musiał oddać długą deskę, a ktoś transportujący warzywa albo owoce dawał ich część, ustalaną arbitralnie jako koszt. Wyższe stawki obowiązywały przybyszów z zagranicy.

Kupcy, deklarujący sprzedaż towarów na targach w Białymstoku, Bielsku, Orli albo w dalszym Tykocinie, mogli liczyć na ulgi. Wszystko to później spisywano i dzięki zachowanym rejestrom wiemy, co i kto przewoził przez most na Narwi. W książce Aliny Sztachelskiej-Kokoczek „Magnackie dobra Jana Klemensa Branickiego” czytamy, że oprócz zwykłych towarów pojawiały się na podlaskich jarmarkach przywożone przez Niemców „płótna holenderskie, pruskie, szwabskie, a także kitajki, wstążki i tasiemki” oraz luksusowe „sukno falendysz”. Można było kupić cytryny, anyż oraz struny do instrumentów, a od kupców kijowskich i ruskich czapki.

Czysto i miło już było

Forster zachwyił się Białymstokiem, a tamtejszy pałac Branickich nazwał Ermitażem. Po czym zatrzymał się w Buksztelu (od lat 50. XX w. część Czarnej Białostockiej). Posilił się, wypił szklanekę wina i ruszył do Sokółki, a stamtąd do Kuźnicy, gdzie stanął „w wiejskim domu pocztowym”. We wszystkich tych trzech miejscach obsługiwali go Niemcy, którzy zajmowali się pocztą i prowadzili stacje „czysto” i „miło”.

Kolejny przystanek – Grodno. W 1784 r. kończył się już czas „Holandii kwitnącej” i Forsterowi wydało się ono płataniną „błotnistych ulic”, na których, jak zaświadczał inny podróżnik, ceniony przez Goethego literat Fryderyk Schulz, bruk „ledwie się może nazywać tym imieniem, bo po najmniejszym deszczu strumienie błota go zalewają”. Zmniejszyła się też liczba grodnian. Jerzy Urwanowicz, badacz dziejów regionu, wyliczył, że w 1794 r. było ich 6,6 tys., a na początku XIX w. Rosjanie podawali już tylko 5 tys. Zapewne kilkadziesiąt lat wcześniej liczba ta sięgała 8–9 tys., bo za sprawą wspomnianego Tyzenhausena na obrzeżach zaplanowano dzielnicę przewidzianą dla kilku tysięcy mieszkańców. „Horodnica została zorganizowana jako miasto w mieście – pisze o tym dystrykcie białoruska historyczka Natallia Sliż. – Jedną część terytorium była przeznaczona na budynki administracyjne, druga – budynki edukacyjne, trzecia – manufaktury i domy pracowników”. Po krótkim okresie prosperity pod koniec lat 70. XVIII w. padła ona ofiarą zbyt szerokich planów inwestora. Znakiem tamtych czasów, oprócz reprezentacyjnych budynków, ogrodu botanicznego czy

akademii medycznej, był otwarty jeszcze w latach 60. kaffenhauz, czyli kawiarnia. Na całym trakcie poza Warszawą i Wilnem można tam było wypić dobrą małą czarną z czekoladą.

Odcinki do litewskiej stolicy nie są już tak szczegółowo opisane i z samych tylko wspomnień Ferstera wyłania się obraz przygnębiający. Na stacjach rozgardiasz i bród, jak w Ratnicy (dziś litewska Ratnyčia), gdzie „cały rój czarnych Mirmidonów [pluskiew – przyp. aut.] nadgryzających niczym ludożercy (...) żywe ciało”. A także wszechobecny alkoholizm i tu *casus* leżących w połowie drogi między Grodnem a Wilnem Oran, gdzie „Poczmistrz, stary pijany Żyd pił wódkę z roslým tęgim proboszczem wiejskim”.

W opracowaniach poświęconych traktowi nie znaleźliśmy informacji, gdzie w Wilnie zatrzymywała się kareta. Od połowy XIX w. siedziba tamtejszej poczty znajdowała się na Starym Mieście w pałacu Radziwiłłów, zwanym Kardynalia, u zbiegu ulic Zamkowej i Świętojańskiej; dziś stoi tam trzypiętrowy blok. Ale w przewodniku z 1880 r. natrafiłszy na wzmiankę, że kiedyś przy Dominikańskiej działała inna „stara poczta”. Można więc przyjąć, że jedna z tych dwóch lokalizacji byłaby tą, której szukamy.

Cień świetności

Już w XXI w. w Sokołowie Podlaskim powstało Muzeum Wielkiego Gościńca Litewskiego, a wokół niego wiele inicjatyw, od wydawniczych, przez turystyczne po kulinarne. Wielki Gościńiec Litewski służył nie tylko transportowi ludzi i towarów, ale również wartości niematerialnych. Jak ważny, a zarazem nieoczywisty był on dla Europy, świadczyć może przykład dwóch wsi spod Bielska Podlaskiego, leżących po obu stronach gościńca: wspomnianych już Hryniewicz i Kołków. Z pierwszej pochodził Ignacy Hryniewicki, szlachcic o bojarskich korzeniach, który w 1881 r. zabił cara Aleksandra II i stał się jedynym polskim królobójcą. Z drugiej – Borys Kowerda, białoruski, wykształcony chłop, który w 1927 r. zastrzelił radzieckiego posła Piotra Wojkowa; Kreml uznał to za „akt wojny”. Hryniewicki był – jak byśmy powiedzieli – „lewakiem”, Kowerda – „prawakiem”. Nie ulega jednak wątpliwości, że idee, jakimi nasiąkli, dotarły do nich Wielkim Gościńcem Litewskim, będącym w XIX i XX w. cieniem swojej dawnej świetności. Zamachowcy wybrali destrukcję, ale to nie cała paleta duchów Rzeczypospolitej Wielu Narodów.

MARTA PANAS-GOWORSKA
ANDRZEJ GOWORSKI

REKLAMA



Za książki
o najnowszej
historii Polski
wydane
w 2023 roku

Prace naukowe

- popularnonaukowe
- źródła • pamiątki

Zapraszamy wydawnictwa,
instytucje naukowe i autorów
do zgłaszania książek na adres:
nh@polityka.pl

Regulamin na
www.polityka.pl/nagrodyhistoryczne

Na zgłoszenia
czekamy
do 2 lutego 2024 r.

Mecenasami Nagród Historycznych POLITYKI są

Dantex

za'KS
sprzyjamy wyobraźni

BUR
Systemy automatyki



w telewizji

Rola życia 5/6

Maestro, reż. Bradley Cooper, prod. USA, 129 min, Netflix

Leonard Bernstein był prawdopodobnie najwybitniejszym amerykańskim dyrygentem XX w., a jego sławę można porównać jedynie z historycznym uwielbieniem, jakim darzono Beatlesów czy Stonesów. Zarówno w roli charyzmatycznego dyrygenta prowadzącego orkiestrę Filharmonii Nowojorskiej, jak i błyskotliwego wykładowcy z wdziękiem uwodzącego młodą publiczność, umiał sprawić, że zakochiwano się w nim tak jak w muzyce, którą wykonywał albo z wielkim powodzeniem sam komponował („West Side Story”). Z gwiazdami rocka łączyło go też bujne i dość chaotyczne życie osobiste stanowiące nić przewodnią zrealizowanej za prawie 100 mln dol. widowiskowej biografii wyreżyserowanej przez **Bradleya Coopera**, który wcielił się także w tytułową postać. „Maestro” to hołd złożony muzycznemu geniuszowi, ale też ciekawe studium miłosnej maskarady prowadzonej przy otwartej kurtynie. Bernstein był gejem – lub biseksualistą, gdyż miał też żonę oraz trójkę dzieci, przy czym nie postrzegał małżeństwa jako przykrywki. Jego relacja z chilijską aktorką Felicią Montealegre pięknie,

ciepło zagrana przez Carey Mulligan, opierała się na schizofrenicznym układzie, z którego pojęcia zdrady i wierności zostały wyrugowane. Felicia doskonale wiedziała, z kim zawiera związek, w trakcie ich długiego pożycia przymykała oczy na liczne romanse męża i kochała go. On ją zresztą też, co nie przeszkadzało mu sprowadzać pod wspólny dach kolejnych kochanek.

Z doklejonym sztucznym nosem, odpowiednio modulując swój głos, Cooper odważnie podbija ten wdźwięk dyrygenta, co sprawia, że narcystyczne ego bohatera pęcznieje z każdą chwilą i w przedziwny sposób go usprawiedliwia, a nawet rozgrzesza. To rola życia dla amerykańskiego aktora, od dzieciństwa fascynującego się dyrygowaniem (już jako ośmioletni chłopiec odkrył w sobie muzyczną pasję i spędzał setki godzin na ćwiczeniach z batutą), fantastycznie oddającego ekstazę, z jaką Bernstein prowadził orkiestrę m.in. podczas brawurowego wykonania II Symfonii Mahlera nagrywanej na potrzeby filmu na żywo. Na oscarowej nominacji pewnie się nie skończy.

JANUSZ WRÓBLEWSKI

w telewizji

Twarde prawo 4/6

Stróżowie prawa: Bass Reeves, twórca serii: Chad Feehan, SkyShowtime, 8 odc.

Miał być kolejny serial osadzony w przeszłości rodziny Duttonów znanej z „Yellowstone”, skończyło się oddzielną opowieścią o Bassie Reevesie, jednym z pierwszych czarnych urzędników federalnych na Zachodzie. Z innymi tytułami w dorobku Taylora Sheridan (który tym razem ograniczył się do funkcji jednego z producentów wykonawczych) „Stróżowie prawa” mają jednak wiele wspólnego, łączą bowiem rewizjonistyczny western z podszytym nostalgią obrazem świata twardych zasad i jeszcze twardszych pięści. Niezwykła biografia głównego bohatera – przekonująco granego przez **Davidą Oyelowo** – aż prosiła się o ekranizację. Po ucieczce z niewoli Bass Reeves ukrywał się na terytorium indiańskim, po wprowadzeniu abolicji został pracownikiem biura U.S. Marshals Service, wreszcie doczekał się stanowiska zastępcy szeryfa, a w czasie służby miał dokonać ponad trzech tysięcy aresztowań. Serial miesza fakty z fikcją i domysłami, w niezłym tempie i z doborową obsadą na drugim planie (Dennis Quaid, Donald Sutherland, Barry Pepper), choć nie wykracza poza westernowy telewizyjny standard, który już lata temu wyznaczały takie produkcje, jak „Hell on Wheels” czy niedawne „1883” (czyli prequel „Yellowstone”). Jego największą zaletą pozostaje więc wprowadzenie do popkulturowego obiegu ważnego kawałka historii czarnych Amerykanów.

JAKUB DEMIAŃCZUK



w telewizji

Odmieńcy z mieczem 5/6

Niebieskooki samuraj (Blue Eye Samurai), twórcy serii: Michael Green i Amber Noizumi, Netflix, 8 odc.

Siedemnastowieczna Japonia, rządzona przez szogunów i samurajów, zakochana w swoich tradycjach, hierarchiach, zamknięta na świat i wszystko, co jest inne. A w niej odmieniec – niebieskooka kobieta w męskim przebraniu, mieczem torująca sobie drogę do upragnionej zemsty, czyli mordu na czterech białych mieszkańcach Japonii, bo jeden z nich musi być jej ojcem i sprawcą jej nieszczęść. Ścieżki Mizu krzyżują się ze ścieżkami bohaterów równie ciekawych: księżnicz-



ki Akemi, która w mizoginistycznym kraju próbuje wybić się na niezależność, Taigena, młodego samuraja z awansu społecznego, czy Ringo, chłopaka z niepełnosprawnością, który dąży do tego, by być w czymś najlepszym. I wszyscy zostaną wplątani w sprawę, która może zmienić kraj, a w rolę mózgu całej operacji i głównego czarnego charakteru serialu wciela się Kenneth Branagh. Głosowo, bo „Niebieskooki samuraj” to porywająca, malarska animacja, z kadrami dopracowanymi w najdrobniejszych szczegółach. Mistrzowska strona wizualna nie przysłania jednak samej opowieści. Na pierwszym planie są bohaterowie i droga, jaką każdy z nich przeszedł i jaką ma do pokonania. Całość to świetna, inteligentna rozrywka, łącząca przeszłość z teraźniejszością w nienachalny sposób, pomysłowo przetwarzająca znane motywy z kultury japońskiej, z mistrzowsko zaaranżowanymi scenami walk i zabawami formalnymi.

ANETA KYZIOŁ



na ekranie

Cukier krzepi 4/6

Wonka, reż. Paul King, prod. USA, Wielka Brytania, 116 min

Zanim Willy Wonka (**Timothée Chalamet**) stał się ekscentrycznym królem słodyczy, był młodym marzycielem, który próbował wyostać się z życiowych kłopotów, produkując najlepszą czekoladę świata. Lecz nawet w baśniowych realiach zderzył się z twardym kapitalizmem: w mieście, w którym próbował otworzyć swój sklepik, czekoladowym rynkiem rządziło trzech fabrykantów, sprzymierzonych z łakomym szefem policji oraz wyjątkowo chciwym księdzem. A przy okazji poznał wartość prawdziwej przyjaźni i po raz pierwszy spotkał się z tajemniczymi Umpa-lumpami, a konkretnie jednym – o twarzy i manierach **Hugh Granta**. „Wonka”, wyreżyserowany przez Paula Kinga, twórcę znakomitych adaptacji „Paddingtona”, to wzorcowe kino rodzinne: barwne, inteligentnie nawiązujące do literackiego oryginału Roalda Dahla i jego ekranizacji (tej lepszej, z Gene'em Wilderem w roli głównej), szlachetne, a przy tym pozbawione nachalnego moralizatorstwa. Nadmiar słodyczy może szkodzić – o czym zresztą przekonuje się jeden z bohaterów filmu – lecz staroświecki wdźwięk „Wonki” w połączeniu z charyzmą Chalameta oraz świetnymi numerami musicalowymi sprawiają, że nawet skąpane w czekoladzie fantazyjne dekoracje nie wydają się tu zbyt słodkie. Zwłaszcza że King tę fantazję umiejętnie doprawia szczyptą melodramatycznej goryczy. JD

na scenie

Zazdrość w koszarach 4/6

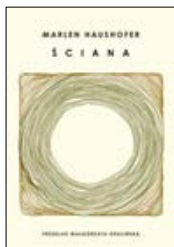
Giuseppe Verdi, **Otello**, reż. David Pountney, Teatr Wielki w Poznaniu

Na pierwszą premierę po paroletnim remoncie poznańska opera zaprosiła znanego brytyjskiego reżysera, który po brexicie przyjął polskie obywatelstwo, by pozostać w Unii Europejskiej. Polskiej publiczności dał się poznać z inscenizacji oper Mieczysława Wajnburga, ale także „Króla Rogera” Karola Szymanowskiego i „Strasznego dworu” Moniuszki. O ile tamte realizacje były dość rozbuchane wizualnie, o tyle ta jest ascetyczna: w tle na ekranie pejzaż morski, a na pierwszym planie tylko szare przesuwające się ściany wywołujące poczucie klaustrofobii. To uzasadnione: akcja tej opery rozgrywa się na wyspie (Cyprze), w pewnym odcięciu od świata, a reżyser idzie jeszcze dalej: przenosi wszystkich do koszar, do zamkniętego środowiska wojskowego, w którym nietrudno o złe emocje. Mundury przy tym są zupełnie współczesne, a chodzą w nich także kobiety,



łącznie z Desdemoną i jej towarzyszką Emilią. Problem rasistowski został całkowicie pominięty: Otello jest biały. To niezwykle trudna partia dla tenora, który musi jeszcze mieć do tego charyzmę. Walijski śpiewak **Gwyn Hughes Jones** spełnia te warunki, choć z jego warunkami fizycznymi jest dużo gorzej. Premierowy Jago to Włoch Dario Solari, o demonicznej niewątpliwej, choć nieco stonowanej. Desdemona w obu obsadach jest świetna (**Iwona Sobotka** i Rusłana Kowal). Muzycznie ogarnia znakomicie całość Jacek Kaspszyk, który od początku sezonu jest już oficjalnie dyrektorem muzycznym teatru.

DOROTA SZWARCMAN

książki Fragmenty książek na stronie: www.polityka.pl/czytelnia

Robinsonka 5/6

Marlen Haushofer, **Ściana**, przeł. Małgorzata Gralińska, ArtRage, Warszawa 2023, s. 286

Pewnego dnia okazuje się, że na drodze pojawiła się przezroczysta ściana. Bohaterka zostaje sama i nie wie, co się stało z resztą świata i ludźmi. Jednak to nie jest kolejna nowość z nurtu „postapo” czy dystopii, ale klasyczna powieść austriackiej pisarki Marlen Haushofer, wydana po raz pierwszy w 1963 r. W Polsce ukazuje się w nowym przekładzie Małgorzaty Gralińskiej i wspaniale, że ta książka dociera do nas dziś, bo to jest jej czas. Ma formę relacji spisywanej przez bohaterkę, która stara się przeżyć w górach, w domku myśliwskim, razem z psem, krową i kotami, przekonana, że została na świecie sama. Przez ścianę widzi opustoszałe wioski. Ale o ścianie szybko zapominamy, skupieni na zajęciach bohaterki, na sadzeniu,



pielieniu, dojeniu, rąbaniu drewna, czasem polowaniu, czego bardzo nie lubi robić. Bohaterka jak Robinson Crusoe stara się przeżyć poza cywilizacją, ale ta powieść przynosi zupełnie inne rozpoznania. Bohaterka jest skupiona na trosce o zwierzęta. Tworzy wspólnotę ze swoim stadem, czuje się jedną z nich, nie tęskni nawet za swoimi prawdziwymi dziećmi. Czy potrzebuje innych ludzi, mężczyzny? Otóż nie. Podobnie jak metafizyki i Boga. Wspólnota zwierząt i troska o nie jest wszystkim, co jest dla niej istotne w człowieczeństwie. Znakomita, radykalna powieść Haushofer pozostawia nas z nierozwiązanymi kwestiami filozoficznymi, a czyta się ją w napięciu, czekając na zaskakujące rozwiązanie.

JUSTYNA SOBOLEWSKA



Mrozy na mrozy 4/6

Remigiusz Mróz, **Inne tonacje ciszy**, Czwartka Strona, Poznań 2023, s. 480

Zarys swojej nowej powieści Remigiusz Mróz wyciągnął ponoć z szuflady, gdzie szkic przeleżał dziesięć lat. Ile fabuł autor ma jeszcze w zanadrzu, tego nikt nie wie. Wiadomo, że publikuje kilkadziesiąt książek rocznie i jest pod tym względem krajowym rekordzistą. Tę historię z pewnością „uwpółcześnił”, bo sporo w niej aktualnych wątków i kontekstów (pandemia, AI, Joe Biden w Białym Domu). Wydarzenia umieścił jednak tym razem w USA i rzeczywiście – jak to ujęta

główna bohaterka, mrugając do czytelnika – całość przypomina chwilami amerykański serial młodzieżowy. Aspen wybudza się ze śpiączki po wypadku i niewiele pamięta. W szpitalu odwiedzał ją niejaki Grayson Joyce, podając się za znajomego z dzieciństwa, którym rzecz jasna nie jest. Dziewczyna nie ma wiele do stracenia, więc razem z nowym ekscentrycznym kolegą i jego równie dziwacznymi znajomymi bada sprawę tajemniczej kasety magnetofonowej. A przy okazji zagadkę własnej przeszłości. Akcja rozpędza się powoli, a książka w dużej mierze składa się z dialogów, którym cięcia raczej by nie zaszkodziły. To niegroźna rozrywka, a może kogoś przy okazji zainteresują wzmiankowane tu inne dzieła kultury (choćby książki Davida Fostera Wallace’a czy Jamesa Joyce’a). Mróz w USA mógłby być i „Frostem”, a czytała pisać potrafi. Dla fanów i samego autora to zapewne także chwila przerwy od brutalnych fabuł. „Inne tonacje ciszy” ukazały się zresztą tuż po „Langerze”, który od pierwszych stron straszy makabreską i obiecuje trupy. Dla jednych high school, dla innych psychopaci.

ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA



Nieliteracka prowokacja 1/6

Michel Houellebecq,
Kilka miesięcy mojego życia.
Październik 2022 – marzec 2023,
przeł. Beata Geppert, Wyd. W.A.B.,
Warszawa 2023, s. 113

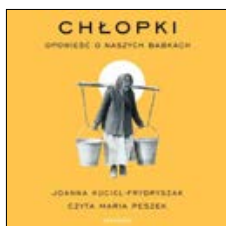
Zaledwie stustronicowa książka Michela Houellebecqa „Quelques mois dans ma vie. Octobre 2022 – Mars 2023” ukazała się we Francji pod koniec maja, polska wersja „Kilka miesięcy mojego życia. Październik 2022 – marzec 2023” jak zwykle z opóźnieniem, pod koniec października. Jak to możliwe, że jeden z największych współczesnych twórców literatury pięknej pozwolił sobie na wydanie tekstu bez wartości literackiej? Houellebecq wydał ten tekst w prestiżowym francuskim wydawnictwie Flammarion rok po swoim opus magnum „Unicestwianie”. „Kilka miesięcy” to historia znanego pisarza w podeszłym wieku, który zmienił zdanie w sprawie swoich islamofobicznych wypowiedzi oraz udziału w filmie pornograficznym. Zagrał w nim, podpisując stosowne dokumenty (umowę z nadziejemy w książce), po czym podejmuje wysiłek zatrzymania dystrybucji dzieła. Monolog samego Houellebecqa posiada cechy eseju i reportażu, ale najbliższe mu do performance’u, bo używa języka charakterystycznego dla ofiar nadużyć seksualnych – „po raz pierwszy w życiu poczułem coś, co przypomina opisanie gwałtu przez ofiary. Najpierw bolesne poczucie, że zostałem pozbawiony własnego ciała, głucha wrogość wobec niego, pragnienie, by je ukarać. Nie byłem w stanie się myć, moje spożycie alkoholu i tytoniu gwałtownie wzrosło”. Houellebecq powołuje się na swojego przyjaciela Gérauda Depardieu, który broni się przed podobnymi oskarżeniami. Być może niebawem w kinach zobaczymy film krytykujący ruch #MeToo autorstwa obu panów, a promocja i recepcja „Kilku miesięcy...” staną się częścią jego fabuły.

KINGA STRZELECKA-PILCH

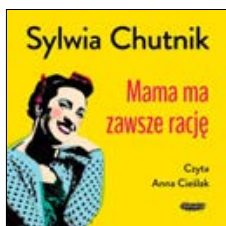
Do słuchania

Cztery audiobooki na koniec roku

Jedną z najpopularniejszych książek mijającego roku okazał się reportaż dający głos naszym wiejskim przodkiniom – „**Chłopki. Opowieść o naszych babkach**” Joanny Kuciel-Frydryszak. I trudno się dziwić, bo to nie tylko rzecz poruszająca i świetnie napisana, ale przede wszystkim rzetelnie podejmująca temat dotąd pomijany, a bliski wielu osobom i rodzinom. I dorzucająca brakującą perspektywę w patrzeniu na polską historię i teraźniejszość. Czyta Maria Peszek, która dzieciństwo spędziła na wsi pod opieką jednej z „naszych babek” (Storytel, Audioteka, Empik, Publio, wydawnictwo Marginesy). AK



Raj nie istnieje. Istnieje real” – pisze Sylwia Chutnik w zbiorze felietonów „**Mama ma zawsze rację**” (Storytel, Audioteka, Empik, wydawnictwo Mama-nia) odkłamujących idealny wizerunek macierzyństwa niczym z instagramowych zdjęć lub katalogów dziecięcych ubrań. Chutnik pisze szczerze, bez tematów tabu, a zarazem z ironią przygląda się własnemu doświadczeniu w roli matki. Choć w wersji książkowej zbiór ukazał się ponad dziesięć lat temu, dziś wydaje się tak samo aktualny, zaś interpretacja Anny Cieślak pozwala na nowo odkryć błyskotliwy humor tekstów. JD



Francuski dziennikarz Stéphane Cohen w biografii zmarłego przed rokiem Króla Futbolu nie stawia bohaterowi pomnika. „**Pelé**” (Audioteka, Empik, wydawnictwo Albatros, czyta Maciej Jabłoński) jest rzetelnym portretem wielkiego piłkarza, który nie zawsze okazywał się wielkim człowiekiem, choć bardzo chciał za takiego uchodzić. I nie jest to tylko uczta dla miłośników sportu: Pelé jest przecież w równej mierze ikoną popkultury i symbolem burzliwej historii Ameryki Południowej. Biografia „człowieka, który płakał co najmniej tyle, ile się śmiał”, kryje niejedną niespodziankę. JD



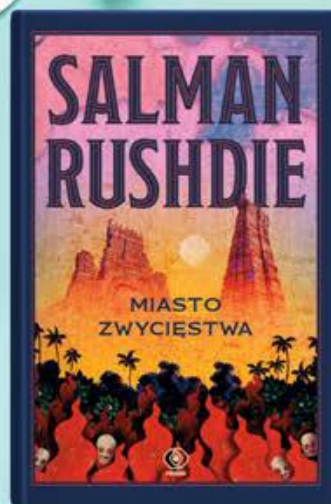
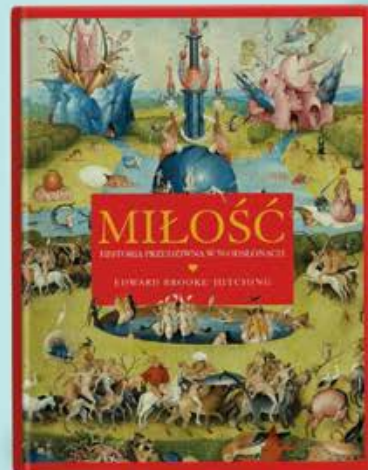
Z nadzieją wejść w nowy rok? W ten pewnie będzie nieco łatwiej niż w poprzedni, ale i tak wielu z nas bez wątpienia przyda się pomoc. „**Siedem życzeń. Rozmowy o źródłach nadziei**” (Audioteka, Publio), autorstwa Katarzyny Kasi i Grzegorza Markowskiego, duetu znanego z anten TVN24 i Radia Nowy Świat, to właśnie taka przyjacielska, wyciągnięta w naszą stronę dłoń. Ich rozmówcami są postacie niebagatelne, tematy, jakie podejmują – ważne i mocne, podejście do nich – oryginalne i osobiste. Agnieszka Holland mówi o odwadze, Szymon Malinowski o przyszłości, Jarosław Kuisz o niepodległości, Dorota Maśłowska o śmiechu, Andrzej Leder o spokoju, Joanna Tyrowicz o bogactwie, a Jurek Owsiak o szacunku. To rozmowy-życzenia, niech się spełniają. AK



REKLAMA



Wspaniale
ilustrowana
skarbница
niezwykłych
historii...
miłosnych



Oto *Miasto
Zwycięstwa* –
dzieło
nieograniczonej
wyobraźni
Salmana
Rushdiego!

Jan Nowicki.
Aktor, pisarz,
poeta.
Szuler doskonały.
Nikt nie uwodził
słowem tak
jak on



Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.



www.rebis.com.pl



FB/REBIS



W Polewka z sarmatów

ANETA KYZIOŁ

W styczniu zwołano sejmiki przedsejmowe, w lutym na Jasnej Górze król Michał Korybut Wiśniowiecki poślubił arcyksiężniczkę austriacką Eleonorę Habsburg, w marcu zaczął

się sejm zwyczajny. Potem była konfederacja wojskowa w Trembowli w obronie hetmana wielkiego koronnego Jana Sobieskiego związanego ze spiskowcami chcącymi obalić króla, sejm został zerwany przez Benedykta Zabokrzyckiego, a wiosną wybuchło powstanie chłopskie na Podhalu, stłumione przez wojsko. W listopadzie królowa poroniła, a w Wiźnie spalono na stosie Barbarę Królkę, oskarżoną o czary. Papieżem został Klemens X, utworzono Kompanię Zatoki Hudsona, a we Wrocławiu zaczęto wydawać jeden z pierwszych na świecie periodyków medycznych. Tyle o wydarzeniach roku 1670 ma do powiedzenia Wikipedia.

Tymczasem w serialowym „1670” Jan Paweł Adamczewski (Bartłomiej Topa), dumny sarmata („My sarmaci jesteśmy narodem wybranym, z wyraźnej woli stwórcy mamy największe umysły, serca i fallusy”), mieszkaniec „najpotężniejszego państwa na świecie”, które pechowo akurat chyli się ku upadkowi, całkiem tak jak wieś Adamczycha pod rządami Jana Pawła, z pogodą ducha i okrzykiem „hop hop hop” zmagają się z codziennością

polskiego szlachcica, męża, ojca i właściciela chłopów. Ma w życiu dwa cele: „zostać najsyńniejszym Janem Pawłem w historii Polski” oraz wydać córkę Anielę (Martyna Byczkowska) za syna magnata.

Los go nie oszczędza. Szlachecka brać próbuje na sejmiku przegłosować podniesienie podatków („Człowiek dochodzi do czegoś ciężką pracą własnych chłopów, to zabrać mu, taka mentalność”), sąsiad Andrzej (Andrzej Kłak), właściciel „większej połowy Adamczychy”, zbiera większe plony, chłopci dopytują, kiedy ten przysłowiowy przyptył podniesie także ich łodzie i dostaną zapłatę za pańszczyznę, a mniejszości religijne chcą zorganizować coroczny marsz przez wieś. Do tego Tatarzy i szlachecki honor, którego trzeba ciągle bronić. Jak zauważa jeden z bohaterów „1670”: „Bóg, honor, ojczyzna. To najczęstsze przyczyny zgonów polskich szlachciców. Ostatnio na czoło wysunął się honor, dlatego wprowadziliśmy nowy rodzaj broni – cepy. Inaczej sami się wybijemy. A co ta biedna Polska pocznie bez swojej szlachty?”

– *Pomyśl na „1670” zrodził się w mojej głowie po lekturze „Fantomowego ciała króla” Jana Souy, które wyprzedziło o kilka lat trend badania ludowości i chłopstwa w zderzeniu ze szlachtą – tłumaczy Jakub Rużyłło, pomysłodawca i scenarzysta serialu. Rużyłło (rocznik 1987) czuje się dzieckiem „Trylogii” zekranizowanej przez Jerzego Hoffmana. – Załapałem się na premierę „Ogniem i mieczem” i pamiętam ten film dobrze z czasów szkolnych, ale też wydaje mi się, że w nas wszystkich szlachecki temat*



Po lewej: **Bartłomiej Topa** jako sarmata **Jan Paweł Adamczewski** i **Michał Sikorski** jako jego młodszy syn **Jakub**, ksiądz. Po prawej, od góry: **Kirył Pietruczuk** w roli chłopca **Macieja**. **Martyna Byczkowska** jako córka **Jana Pawła Aniela**.



Śmieszna polska komedia, twór dawno niewidziany, powraca. Kolejnym dowodem jest serial Netflixa „1670”, inteligentna satyra na polską szlachtę.

jest obecny, bo to jest coś, co walujemy w naszej kulturze od zawsze. Zarazem myślę, że jeszcze nikt nie spojrział na niego z punktu widzenia współczesnej komedii, a sarmaci jako ludzie, którzy są z siebie tak bardzo zadowoleni, to najlepszy materiał na komedie.

Mockument barokowy

Twórcy „1670” są przed czterdziestką. Obok Rużyłły, który na scenie hiphopowej jest znany jako raper Muflon, a jako scenarzysta współpracował m.in. przy dwóch świetnych serialach komediowych: „The Office PL” Canal+ i „Sexify” Netflixa, to reżyserzy: Maciej Buchwald (filmowiec i członek stołecznego teatru improwizowanego Klancyk) i Kordian Kądziała (scenarzysta i reżyser filmu „Mental” czy etudy szkolnej „Fusy”) oraz producenci Ivo Krankowski i Jan Kwieciński (slasher „W lesie dziś nie zaśnie nikt”, serial „Sexify” czy film „Dzień Matki”).

Ich komediowym punktem odniesienia były anglosaskie serialowe produkcje: komediowy klasyk „Biuro” („The Office”) i hity ostatnich lat, z „Co robimy w ukryciu” i „Wielką” na czele. Dwa pierwsze to mistrzowskie przykłady konwencji mockumentu, czyli fałszywego dokumentu, z ekipą filmującą bohaterów, którzy wygłaszają komentarze wprost do kamery, i z humorem typu krindż (ang. *cringe*), opartym na żenadzie, obciachu i poczuciu zawstydzenia. „Wielka” zaś to brawurowa satyra historyczna, zrealizowana wystawnie i w gwiazdorskiej obsadzie przez Tony’ego McNamare, w której młoda Katarzyna II Wielka i Piotr III rządzą

Rosją, próbując się nawzajem pozabijać, z przerwą na m.in. terapię małżeńską, zmaganie z traumami z dzieciństwa i przepracowywanie toksycznych relacji z rodzicami.

Główny bohater „1670” Jan Paweł Adamczewski przypomina Michaela Scotta z „The Office” albo jego polski odpowiednik – Michała Holca z rodzimej wersji amerykańskiej produkcji „The Office PL” – prezesów prowincjonalnych firm: handlującej papierem Dunder Mifflin ze Scranton w Pensylwanii czy siedleckiej Kropliczanki, dystrybutora wody. Każdy z nich to przekonany o swojej wielkości błazen, Piotruś Pan pozbawiony autorefleksji, ponad wszystko pragnący akceptacji i adoracji. W Siedlcach w garniturze wygłasza absurdalne mowy motywacyjne w stylu: „Od lat wlewamy wodę w serca ludzi. Siedlczan. Polaków. Nie zajmujemy się handlem wodą. Zajmujemy się handlem ludźmi”. W Adamczysze w żupanie bierze udział w konkursie na najdłuższy kutas i motywuje chłopów do pracy okrzykiem „hop, hop, hop”. W obu wydaniach jednak bardziej śmieszy niż straszy, a nierzadko też budzi współczucie. Twórcom udaje się w postać rysowaną grubą kreską tchnąć życie.

– *Komedia śmieszy wtedy, kiedy opiera się na prawdzie o człowieka, o jego słabościach oraz kompleksach. Ale zależy też od wielu innych elementów: od gry aktorskiej, przez wiarygodnie przedstawiony świat, po rozumienie ludzkiej natury i psychologii* – tłumaczy reżyser „1670” Maciej Buchwald. – *Ta baza prawdy jest fundamentalna, jeśli istnieje, możesz robić szalone rzeczy.* ►



Andrzej Kłak jako sąsiad Jana Pawła Andrzeja.

► *Bo to, co śmiesz tak naprawdę, to rzeczy dobrze nam znane, ale w zestawieniu z czymś zaskakującym, czyli prawda plus zaskoczenie. I w scenariuszu Kuby to wszystko było.*

Buchwaldowi nie spodobał się za to pomysł mockumentu. – *Trudno było sensownie połączyć klasyczny mockument z historią z XVII w. W „The Office” to świetnie zagrało, widzowie mogli mieć poczucie, że oglądają dokument: brzydkie biuro, wszystko takie październikowe, kamera rozedrgana – to było wiarygodne połączenie. A tu? Jak mielibyśmy uwierzyć, że chłopom w XVII w. towarzyszy kamera? Dlatego musieliśmy wymyślić własny format – taki mockument 2.0. To m.in. dlatego bohaterowie, gdy mówią do kamery, zachowują się tak, jak gdyby pozowali do obrazu.*

Przeszli przez pomysły pośrednie: kronikarza, który opisuje żywot Jana Pawła, mówienie do Boga, malarzy itp. Ostatecznie stanęło na kontakcie nie z kamerą, ale z widzem bezpośrednio, w stylu łamiących czwartą ścianę Franka Underwooda z „House of Cards” czy tytułowej bohaterki „Fleabag”, którzy widza traktują jak powiernika albo partnera.

Granice humoru

Z „Wielką” z kolei twórcy „1670” dzielą współczesną świadomość bohaterów i ich język. „Ten celibat ryje ci banię!” – komentuje zachowanie brata księdza Aniela. Bogdan (Dobromir Dymecki), polski patriota, który brał udział we „wszystkich kłeskach Rzeczypospolitej w tej dekadzie, o takich jak ja piszą pieśni”, porwany przez Tatarów, docenia dobre traktowanie: „Coraz bardziej lubię Tatarów, a coraz bardziej nienawidzę Szwedów. Typowy syndrom sztokholmski” – stwierdza.

Do podobieństw należy jeszcze budżet pozwalający na rozbudowaną scenografię i kostiumy. Tu inspiracją było malarstwo barokowe. Wieś twórcy kręcili w skansenie w Kolbuszowej, gdzie od siebie dodali tony malowniczego błota. Pion scenograficzny wybudował karczmę oraz dworek Adamczewskich, plenery dogrywali także w Radrużu, gdzie jest cerkiew – tam odbywa się serialowy sejmik. Sceny były nagrywane również w klasztorze w Sulejowie i w Puszczy Kampinoskiej. Część kostiumów uszył Tomasz Ossoliński. Ktoś zrobił nad drzwiami pokoju Aniela symbol oświecenia, jako że to bardzo postępową dziewczyna. Wprawdzie nie widać tego w kadrze, ale pomagało aktorom wczuć się w rolę. Jerzy Rogiewicz skomponował hymn Adamczychy na akordach ADCH. Wszystko to powoduje, że rzeczywistość stworzona na ekranie ma gęstość i ciężar.

– *Ten patos, bogactwo tego świata, zestawione z nieracjonalnymi zachowaniami bohaterów, tworzy konflikt komediowy. To bawi znacznie bardziej niż żarty wygłaszane w prześmiewczy sposób w kiepskim kostiumie – zauważa Buchwald. – Moim marzeniem było zrobienie komedii, która będzie pięknie filmowo wyglądać, a znajdą się w niej żarty od tych wielowarstwowych, jadących po bandzie, po te proste, slapstickowe i sytuacyjne. I to się udało.*

Granice, jakie sobie wyznaczyli, były granicami smaku: – *Nie chcieliśmy iść w kabaretową aktualność, żadne 500+ i tego typu tematy. Koncepcja była taka, że cały ten świat, zarówno dramaty tych postaci, jak i ich komedia, opiera się na kontraście: nasi bohaterowie mają dużo większe kompetencje ludzkie i wrażliwość, niż mogłyby na to pozwalać ograniczenia XVII w. Ich emocje wychodzą ponad brutalną rzeczywistość tamtych czasów i ówczesnych relacji międzyludzkich – tłumaczy Rużyło. W myśl tej zasady chłop Maciej (Kirył Pietruczuk, kradnący show świeży absolwent łódzkiej Filmówki) przybywa do Adamczychy z Litwy w ramach – jak wyjaśnia – „wymiany chłopskiej Erazmus”. A swój los widzi następująco: „Żywot chłopą pańszczyźnianego jest ciężki i pełen cierpień oraz niedogodności, ale da się go przeżyć, nawet z uśmiechem na twarzy. O ile pamięta się słowa, które każdy z nas słyszy przed snem od swojej mamy: niczego nie oczekuj i nie miej żadnych pragnień. Pamiętajcie, klucz do spokojnego życia to brak pragnień, bo w życiu chłopą pragnienia oznaczają kłopoty”.*

Aktorzy grają dramatycznie, bez śmieszkowania. Bartłomiej Topa do obsady trafił, ponieważ Maciej Buchwald dekadę wcześniej nakręcił z nim śmieszny filmik, zapowiadający ich wspólną rozmowę na festiwalu w Koszalinie. – *Miał udawać, że nie rozumie, o co ja go pytam, i zrobił to tak perfekcyjnie, że pomyślałem: OK, to jest ten sposób grania komedii, którego wszyscy potrzebujemy. Po latach, gdy przeczytałem scenariusz „1670”, moją pierwszą myślą było: Jan Paweł to będzie Bartek Topa – wspomina reżyser.*

Komedia zabawna

Każdy czas ma portretującą go komedię. Lata 60. to „Zezowate szczęście” Andrzeja Munka i pierwsza część trylogii „Sami swoi” Sylwestra Chęcińskiego, w kolejnych dekadach bawili nas Stanisław Bareja, Jerzy Gruza, Juliusz Machulski i Marek Koterski, którego „Dzień świra” cyklicznie wygrywa plebiscytna na najważniejszy i najlepszy polski film. Olaf Lubaszenko komediami gangsterskimi rozbrajał demony transformacyjnej Polski, w nowym stuleciu groteską i czarnym humorem malował Polskę Wojciech Smarzowski, autor filmowego „Wesela”. Najdłużej nadawanym serialem komediowym okazał się satyryczny „Świat według Kiepskich”, zakończony przez Polsat rok temu, po 23 latach na antenie. Przez dłuższy czas synonimem poziomu polskiej komedii były komedie romantyczne – ani zabawne, ani romantyczne.

W ostatnich latach poczucie humoru, jak wszystko, się uniosło i każdy ma własne kanały rozrywki. Jedni kabarety, drudzy memy, trzeci seriale HBO czy Netflix. – *Uważam, że Polacy śmieją się z bardzo wielu rzeczy, popularne u nas są tak różne produkcje, jak „The Office” czy „Fleabag”, masa ludzi lubi „Ricka i Morty’ego”, to są tytuły o zupełnie odmiennym poczuciu humoru. W związku z tym była we mnie jako widzu wewnętrzna niezgoda na to, że polskie komedie muszą wpisywać się w jakiś schemat. Uważam, że mogą być bardzo różne – stwierdza Maciej Buchwald. – Mam nadzieję, że nasz serial pokaże widzom, że można robić różne komedie w Polsce, że to jest naprawdę pojemny gatunek, i że możemy je robić na światowym poziomie. Że Polacy lubią się śmiać, bawi ich bardzo wiele rzeczy i śmieją się również z siebie, co jest cechą postępowego społeczeństwa.*

Wygląda na to, że w ostatnim czasie następuje zmiana. Pokolenia 30- i 40-latków, w tym twórcy polskiego „The Office” (już trzy sezony), dwóch serii „Sexify” Netflix. – świetnej komedii o perypetiach trzech twórczyń aplikacji „optymalizującej kobiecy orgazm”, i teraz „1670”, udowadniają, że i w dziedzinie komedii doganiamy zachodnie standardy.

ANETA KYZIOŁ

W pogoni za perfekcją

„Znacznie przyjemniej było marzyć o sławie, niż być sławnym”
– pisze **Barbra Streisand** w swych wspomnieniach. Liczą blisko tysiąc stron. Ale też jest co wspominać.

ANDRZEJ LUBOWSKI

Streisand zarzeka się we wstępie swojej autobiografii, że nie chciała napisać tej książki. Że ceni sobie prywatność, skończyła z występami, na emeryturze chce jeść z mężem lody kawowe i przytulać swe trzy pieski (z których dwa to kłony jej ukochanego zmarłego Sammie). Ale – jak zauważa – w życiu publicznym krąży o niej wiele nieprawdy, a nie wierzy, aby ktokolwiek potrafił to naprawić. Więc choć nie chciała, to musiała to zrobić. Na pierwszych stronach podsuwa argumenty. Opowiada o kolacji z „drogim przyjacielem”, operatorem i reżyserem Andrzejem Bartkowiakiem, któremu zaprzyjaźniony lekarz powiedział, że „Streisand to suka”. Kiedy Bartkowiak zapewniał, że „to bardzo miła osoba”, przyjaciel pozostał nieugięty. „Nie, nie jest”. Skąd to wie? „Przeczytałem o tym w czasopiśmie”. Dla Streisand ten upór to dowód siły słowa drukowanego. I ta siła tłumaczy 996 stron wspomnień „My Name is Barbra”, jakie wyszły spod jej pióra. Bez niczyjej pomocy – jeśli nie liczyć archiwisty, który miał odświeżyć jej pamięć.

Od urodzenia niecierpliwa i przekonana o swym potencjale, jako młoda ►

► dziewczyna na schodach przeciwpożarowych mizernego budynku na Brooklynie toczyła filozoficzne debaty z najbliższą przyjaciółką, zagorzałą ateistką. Pewnego dnia oświadczyła, że zdoła udowodnić istnienie Boga. Wskazała mężczyznę idącego chodnikiem i zapewniła swą przyjaciółkę, że jeśli będzie się żarliwie modlić, to przechodzień zstąpi z krawężnika. Kilka sekund później tak się właśnie stało. „Naszły mnie wówczas dwie myśli” – pisze Streisand. „Pierwsza: *ale miałam szczęście!* I druga: *Bóg istnieje, i właśnie drogą modlitwy skłoniłam Go, by zrobił to, czego chciałam. Myślę, że wtedy właśnie zaczęłam wierzyć w siłę woli*”.

Skróciła imię do Barbra, bo „chciała poczuć się jedyną w swoim rodzaju”.

Nigdy nie uchodziła za klasyczną piękność. Przypomina, jak mawiano o niej na początku kariery: „sympatyczny mrówkojad”, „wściekły chomik”, „krótkowzroczna gazela” albo „wydra cierpiąca na chorobę morską”, i przyznaje, że niekiedy ją to raniło. Raz była „niespokojną leśną istotą”, a kiedy indziej „królową babilońską” o „profilu faraonskim”. Gdy napisano, że ma „oczy skarabeusza”, wzięła to początkowo za komplement, choć przyznaje, że „jedno z oczu rzeczywiście wygląda, no cóż, czasami trochę zezowato”. Wszystko nadrabiała z nawiązką inne przymioty. Napisano, że Streisand to pierwsza celebrytka, która stała się symbolem seksu, gdyż robiła wrażenie bardzo pewnej siebie. Publiczność jej pożądała, bo ona tak dobrze sama się bawiła.

Dwa jej filmy sprzed pół wieku „Tacy byliśmy” (1973 r.) i „**Narodziny gwiazdy**” (1976 r.), gdzie zagrała obok Krisa Kristofersona, okazały się wielkimi sukcesami. Ale w książce czuć rozczarowanie pracą z reżyserami. Streisand bardzo chciała sama reżyserować. Niewiele wierzyło, że „Yentl”, jej reżyserski debiut w 1983 r., to dobry pomysł. 15 lat zajęło jej przekonanie studia filmowego, że potrafi ciekawie opowiedzieć historię dziewczyny z żydowskiego sztetla, która przebrana za chłopaka ze szkoły talmudycznej dopnie swego i będzie studiować Torę. Zgodziła się oddać połowę swego honorarium, gdyby się okazało, że przekroczyła budżet. W Hollywood negocjowała ostateczną wersję filmów, które wyprodukowała, takich jak „Narodziny gwiazdy”, kupując to, czego chciała: wpływ na każdą decyzję.

Kiedy po raz pierwszy pojawiła się w „The Ed Sullivan Show”, gospodarz podczas prób wymówił jej nazwisko



1965

„Streis-land”. Miała ochotę krzyczeć, zamiast śpiewać. Dlatego tuż przed wejściem na scenę szepnęła zza kurtyny: „Strei-sand! Jak piasek na plaży!”. 50 lat później, kiedy usłyszała, jak Siri wymawia na iPhone Strei-zand, zadzwoniła do Tima Cooka, prezesa koncernu Apple. Wcielił się w rolę pracownika działu wsparcia technicznego i naprawił problem.

„Wall Street Journal”, nazywając wspomnienia Streisand podręcznikiem dla perfekcjonistów, powołał się na następującą historyjkę: Jest niedzielny wieczór. Streisand ogląda w domu telewizyjną premierę „Księcia przyplwów”, filmu, który wyreżyserowała, wyprodukowała i w którym zagrała. Irytuje ją, że za każdym razem, gdy projekcję przerywa reklama, robi się głośniejsze. Dzwoni więc do emitującej film stacji NBC i domaga się rozmowy z inżynierem dźwięku. Gościa, z którym ją łączy, Streisand namawia, aby ściszył reklamy o dwa decybele. „Myślę, że to właśnie ludzie mają na myśli, nazywając mnie perfekcjonistką” – pisze.

Niezwykły sukces Streisand bierze się w równym stopniu z talentu, co z pogoni za perfekcją.

Podobnie dzieje się w przypadku mężczyzn, których legendarne sukcesy analizują szkoły biznesu. Steve Jobs wymagał tak wiele od produktów Apple, że opóźnił wysyłkę oryginalnego komputera Macintosh do czasu, gdy był zadowolony z piękna – niewidocznych przecież dla użytkownika – płytek, na których zamontowane były półprzewodniki. Streisand zarzuca, że w pogoni za perfekcją gubi umiar i maltretuje ludzi.



1976

Zżyma się na podwójne standardy. Na początku lat 90. wygłosiła przemówienie, w którym wyjaśniła, w jaki sposób używano wobec niej „szowinistycznych bredni”. Jest z tego przemówienia tak dumna, że umieściła jego fragmenty w wydanych wspomnieniach: „Mężczyzna demonstruje przywództwo. Kobieta kontroluje i się czepia. Gdy mężczyzna wymaga, aby coś zrobiono, jak należy, zyskuje podziw i szacunek. Gdy chce tego kobieta, mówi się, że jest trudna i nieznośna” – i tak dalej. „Kiedy o mężczyźnie mówią »perfekcjonista«, jest to komplement” – powiedziała 10 lat temu. „Teraz więc śmiało mogę powiedzieć, że jestem perfekcjonistką”.

W książce tyle samo miejsca zajmuje spotkanie z Johnem F. Kennedym, co opis ulubionej kolacji z supermarketu, a spotkanie z Robertem Redfordem nabiera takiej samej wagi, co jej własne rozważania na temat rozbrojenia nuklearnego.

Opisuje mężczyznę swego życia. Ojca straciła, gdy miała 15 miesięcy, nie lubiła ojczyzna, ale była blisko z dziadkiem, „mimo że kiedyś umył mi usta czerwonym mydłem, kiedy użyłam brzydkiego słowa. Ale wiedziałam, że mnie kocha. Siadywałam mu na kolanach i obcinałam mu włosy z uszu. To prawdziwa intymność”.

Marlona Brando, w którym kochała się jako nastolatka, poznała, gdy po koncercie „nagle poczułam, jak ktoś całuje mnie w plecy. Kto by się odważył to zrobić? Odwróciłam się i to był on”. W latach 90.



przyszedł do niej na kolację i „nie mógł wy dostać się z samochodu” – pisze Streisand. „Przytył tak bardzo, że utknął za kierownicą, więc musiałam chwycić go za ramiona i wyciągnąć”.

Książka zawiera także inne wspomnienie ze spotkania z Brando: „Po trzech godzinach rozmowy spojrział mi w oczy i powiedział: »Chciałbym cię przelecieć«. »To brzmi strasznie« – odpowiedziałam”. Po chwili namysłu Brando zmienił zdanie: „Okay. W takim razie chciałbym pójść z tobą do muzeum”. To już okazało się wystarczająco romantyczne. „Czy spałam z Warrenem?” – pisze Streisand o Beattym. „Wydaje mi się, że pamiętam. Chyba tak. Prawdopodobnie raz”.

O randce z Donem Johnsonem pisze: „Muszę przyznać, że bardzo pociągają mnie atrakcyjni mężczyźni. (W porządku, jestem powierzchowna!) To niczym kwestia estetyki... jak w przypadku dzieł sztuki. Zbieram!”.

Streisand, dziś 81-letnia, jest wokalistką, aktorką, reżyserką i producentką. I jedyną artystką, której albumy, nagrane w kolejnych sześciu dekadach, zawędrowały na pozycję nr 1 w rankingu „Billboardu” – a to najbardziej wiarygodny wskaźnik sprzedaży fizycznej i cyfrowej płyt z muzyką (ukazała się właśnie nowa: „Evergreens – Celebrating Six Decades on Columbia Records” – składanka przebojów Barbry). Zdobyła Emmy, Grammy, Oscara i Tony. Na długiej liście wyróżnień są: Nagroda Amerykańskiego Instytutu Filmowego za całokształt twórczości, najwyższe cywilne odznaczenie Ameryki – Prezydencki Medal Wolności oraz francuska Legia Honorowa.

Artystka jest też filantropką. Stworzyła centrum badań nad kobiecymi

chorobami serca. Streisand Foundation, założona w 1986 r., wspiera z kolei organizacje ochrony środowiska, obrony praw obywatelskich, rozbrojenia. Dwa lata temu w University of California w Los Angeles za jej pieniądze powstał instytut poszukujący rozwiązań dla najważniejszych wyzwań społecznych. Obecna wartość majątku gwiazdy szacowana jest na 400 mln dol.

W książce „My Name is Barbra”, która ukazała się na anglosaskim rynku 7 listopada – i szybko stała bestsellerem – Streisand pisze o tym, że woli stać za kamerą, niż występować przed publicznością. Wspomina pierwsze lata kariery. Opowiada, jak bardzo spętana czuła się, grając w „Zabawnej dziewczynie” (1964 r.) na Broadwayu. I z jak wielką przyjemnością kręciła oparty na tym spektaklu film (1968 r.), zwłaszcza że wziął ją pod swe skrzydła znakomity reżyser William Wyler, który poważnie traktował jej uwagi i uczył ją pracy kamery. Za ten swój filmowy debiut w wieku 26 lat dostała Oscara.

Fakt, że zapomniała fragmentu tekstu podczas występu „A Happening in Central Park” w 1967 r., powstrzymał ją od śpiewania na żywo na koncertach przez 27 lat. „Poczułam całkowity brak kontroli – pisze – i to było przerażające”. A jej koncert w Central Parku obejrzało na żywo 130 tys. ludzi.

Gdy w 1994 r. wróciła do koncertowania, wśród publiczności znaleźli się książę Karol, Sidney Poitier, Gregory Peck, Nancy Pelosi, Ralph Fiennes, Jesse Jackson, Sean Connery, John Travolta, Bill i Hillary Clintonowie oraz analityk polityczny CNN Bill Schneider. Za kulisami – pisze Streisand – „pierwszą rzeczą, jaką mu powiedziałam, było: »Co do cholery robi Alan Greenspan, podnosząc stopy procentowe?«”.

Virginie Clinton, matkę prezydenta, Streisand poznała na balu w Arkansas. Stała się ona dla artystki zastępczą matką – do tego stopnia, że na zdjęciu Streisand, gdzie obok nich jest też jej prawdziwa matka, to Virginia Clinton trzyma Barbrę za rękę.

Wielkim fanem Streisand był też Prince. „Jako 18-latek w grudniu 1976 r. tak był zachwycony filmem »Narodziny gwiazdy«, że obejrzał go sześć razy” – relacjonuje artystka, wyznając przy okazji, że uwielbia jeść, choć nienawidzi gotować. „Potrafię przypalić wodę” – deklaruje. A kiedy zyskała sławę, „była podekscytowana możliwością kupienia dowolnej liczby plasterków melona i zjedzenia tylko dojrzałych górnych części”. Dla niej to był szczyt luksusu.

ANDRZEJ LUBOWSKI

2023



John Romero
(po lewej) na tle
oryginalnego
menu gry
„DOOM”, Milan
Games Week,
2016 r.



Świat po zagładzie

OLAF SZEWCZYK

30 lat temu miał premierę „DOOM” – jedna z najważniejszych gier wideo w historii. Oto jak grupa fanów metalu, fantasy i programowania zmieniła świat.

Dokładnie 9 grudnia 1993 r. senator Joe Lieberman wygłosił w Izbie Wyższej Kongresu USA słynne przemówienie, w którym zaatakował gry wideo za brutalność, domagając się wprowadzenia praw federalnych umożliwiających cenzurowanie tego medium. Opisując ze szczegółami najstraszniejsze przywary tej szatańskiej rozrywki („Krew tryska z odciętych głów”), nie przewidywał, że piekło odpowie już następnego dnia – i to pełnoskalową inwazją. 10 grudnia Jay Wilbur z amerykańskiej firmy id Software wcisnął przycisk komputera, wydając komendę wysłania pliku „doom1_0zip” na ogólnodostępny serwer FTP Uniwersytetu Wisconsin. W wyniku tej decyzji hordy krwiożerczych demonów wdarły się do naszego świata. Miejscem pierwszej bitwy z diabelskim pomiotem była baza wojskowa na Marsie. A gracz, wcielając się w kosmicznego marine, eksterminował plugastwo z piekła rodem między innymi za pomocą piły łańcuchowej, strzelby, wyrzutni rakiet, karabinu plazmowego i superbroni BFG (w rozwinięciu: Big Fucking Gun). A wszystko to z oszałamiającą wówczas płynnością wyświetlania kadrów, w olśniewającej oprawie wizualnej.

Jeżeli senator Lieberman uważał za skrajnie brutalne takie tytuły, jak piętnowane w pamiętnej tyradzie „Mortal Kombat” czy „Night Trap”, hektolitry juchy i niekończąca się rzeź umiejscawiały „DOOM” poza skalą. Twórcy „DOOM” uwielbiali muzykę metalową, której słuchali także podczas pracy, i taka też była ich gra: niezwykle dynamiczna, szybka, bezustannie pompująca do krwiobiegu adrenalinę, brutalna, obrazoburcza i niebiorąca jeńców. I między innymi właśnie dlatego stała się fenomenem kulturowym.

Pechowy rzut kością

Nazwę gry jej twórcy zaczerpnęli z ikonicznej sceny z wcielającym się w ambitnego bilardzistę Tomem Cruise’em w filmie „Kolor pieniędzy”. Gdy rywal, z którym chce się zmierzyć, patrząc na futerał z kijami, pyta: „Co to jest?”, Cruise z uśmiechem odpowiada: „Zagłada” (ang. doom). Pomysł na tło fabularne też nie wziął się znikąd. Co prawda John Carmack, wraz z Johnem Romero, współzałożyciel i kluczowa postać studia id Software, uważał wtedy, że opowieść w grach przypomina tę z filmów porno – jakaś być musi, ale nie ma wielkiego znaczenia, to właśnie Carmack

przyczynił się, mimochodem, do decyzji o otwarciu wrót piekieł. Ekipa id Software pracowała w tamtych pionierskich latach praktycznie na okrągło, z przerwami na sen i zjadanie zamawianej przez telefon pizzy. Jedyną chwilą oddechu były weekendowe sesje przy fabularnej grze wyobraźni „Dungeons & Dragons”. Carmack w roli Mistrza Gry stworzył rozbudowany i złożony świat, który ekipa czterech śmiałków przemierzała już od wielu miesięcy. Aż w końcu postawił przed Johnem Romero wyzwanie: czy zaryzykuje pakt z demonem, w wyniku którego może wejść w posiadanie potężnej broni? Niefrasobliwość Romero i pechowy rzut kością przesądziły, że przez powstały między światami portal wdarły się hordy diabelskiego pomiotu. Świat gry, w którym ekipa id Software spędziła tak wiele czasu, przeżywając – bez ekranów, bez komputerów, tylko dzięki twórczej potędze swoich umysłów – niezliczone przygody, przestał istnieć. Po tym kataklizmie już nigdy nie zasiedli razem do „Dungeons & Dragons”.

Carmack i Romero byli od początku główną siłą napędową id Software. Obaj dorastali i rozwijali swą miłość do gier w pionierskich latach 80., kiedy to autor gry musiał być zarazem programistą, scenarzystą, grafikiem, projektantem rozgrywki, architektem poziomów (kolejnych etapów w grze), twórcą efektów dźwiękowych i muzyki. W wydanej właśnie w Polsce autobiografii „DOOM Guy. Życie w pierwszej osobie” John Romero ze szczegółami opisuje tamtą malowniczą epokę. Wartka opowieść, którą czyta się jednym tchem, obfituje w ciekawe, nieznane dotąd fakty i anegdoty.

Romero cechuje hipermnemza, co oznacza, że ma pamięć niemal absolutną. Dzięki temu był w stanie już jako wyrostek, zaglądając przez ramię studentom pobliskiej uczelni, błyskawicznie uczyć się na pamięć komend programistycznych. Na zrozumienie architektury i opanowanie obsługi nowych komputerów wystarczyło mu parę dni, czasem zaledwie doba. I to nawet w przypadku maszyn, których nigdy nie widział na oczy – w przyszłości zdobędzie dzięki temu pracę jako programista komputera Commodore 64 w firmie Origin, śpiewając zaliczając rozmowę kwalifikacyjną, mimo że Commodore 64 był mu znany tylko ze zdjęć i podręczników. Już jako dziecko wygrywał konkursy kodowania, a gdy miał 15 lat, złapał fuchę jako twórca oprogramowania dla Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych w bazie w Wielkiej Brytanii. Nauczycielka zarekomendowała go dowódcy jednostki jako „genialnego chłopaka, którego niczego więcej już nie nauczy”.

Po sukcesie gier id Software Romero zyskał, jako pierwsza osoba w tej branży, rangę idola popkultury. Będąc twarzą firmy, miał status porównywalny do gwiazd rocka i tak też wyglądał. Co prawda długie po pas kruczoczarne włosy zapuścił, jak mówi, dlatego, że szkoda mu było tracić czasu na strzyżenie – gra sama się nie zrobi! – ale z czasem zaczął postrzegać w tym formę hołdu dla tradycji, z których wyrósł. Jest Amerykaninem pochodzenia meksykańskiego, a zarazem ze strony ojca potomkiem indiańskiego plemienia Yaqui, natomiast ze strony matki – Czirokezem. W dzieciństwie, regularnie bity najpierw przez ojca, a potem przez ojczyma, nauczył się, że najbezpieczniej jest trzymać się z boku i nie wchodzić w spory. Bezkonfliktowy, cichy samotnik z okularami jak denka butelek i w aparacie ortodontycznym na zębach, zapowiadał się raczej na karykaturalnego komputerowca-geeka z internetowych memów niż na pierwszą wielką gwiazdę gier wideo.

Metallica, cola i kod

John Romero miał 22 lata i już spore doświadczenie w tworzeniu gier, gdy spotkał 19-letniego Johna Carmacka. Łączyło ich dużo: nie pili, nie palili, nie narkotyzowali się, żyli komputerami, programowaniem i chcieli tworzyć rewolucyjne gry. Obaj w dzieciństwie fascynowali się komiksem i generalnie ►

40 LAT SINFONII VARSOVIA

GRUDZIEŃ 2023
- STYCZEŃ 2025



PIOTR **ANDERSZEWSKI**

ALEJANDRO **CANTALAPIEDRA**

MARTIJN **DENDIEVEL**

DANIEL **HOPE**

MAREK **JANOWSKI**

JACEK **KASPSZYK**

JERZY **MAKSYMIUK**

ALEKSANDAR **MARKOVIĆ**

MARC **MINKOWSKI**

HENRIK **NÁNÁSI**

GORDAN **NIKOLIĆ**

JANUSZ **OLEJNICZAK**

JOSEF **ŠPAČEK**

ARABELLA **STEINBACHER**

PINCHAS **ZUKERMAN**

WARSZAWA

GDAŃSK

SZCZECIN

NANTES

OSTRAWA

LA ROQUE-D'ANTHÉRON



► popkulturą. Piła łańcuchowa i strzelba, którymi marine siekał demony na Marsie, to echo miłości pracowników id Software do serii filmowych horrorów Sama Raimiego „Martwe zło”. No i, oczywiście, jak wszyscy członkowie założyciele id Software, Romero i Carmack słuchali metalu. Wydaje się, że było to jedno z głównych spoiw zespołu w jego wczesnej fazie, a być może także przepustka do tego wąskiego, hermetycznego grona.

Tak oto Romero relacjonuje moment zwerbowania grafika do ekipy, z której z czasem miało narodzić się studio: „Wiedziałem o nim tylko tyle, że miał bardzo długie włosy i był mniej więcej w naszym wieku. Pewnego dnia do niego zagadałem:

– Hej, słuchasz metalu, zgadza się?

– Tak.

Był małomówny i zdystansowany.

– Lubisz Metallicę?

– Metallicę, Panterę, Slayera.

– Spoko. A chciałbyś zrobić trochę grafik do gier komputerowych?”

Pierwsze spotkanie z Johnem Carmackiem było z kolei, jak wspomina Romero, niczym poznanie swego odbicia w lustrze: „Wyobraźcie sobie, że tak bardzo wam na czymś zależy, że czujecie potrzebę całkowitego poświęcenia się temu. Niestety, nikt wokół was nie podziela waszej pasji – ani rodzina, ani druga połówka, ani przyjaciele. I nagle po raz pierwszy spotykacie kogoś, kto jest taki, jak wy. Właśnie tak się czuliśmy”.

Romero szybko zrozumiał, że Carmack jest geniuszem kodu i w zasadzie nic innego go nie interesuje. Nie założył rodziny, nie miał dziewczyny, „nie programował, tylko kiedy spał lub szedł po kolejną colę do biurowej lodówki”. Uzgodnili zatem, że będzie skupiony wyłącznie na tworzeniu oprogramowania, w oparciu o które będzie działał gra. Jako że obaj byli miłośnikami samochodów, nazwali ten szkieletowy kod gry silnikiem – nazwa się przyjęła i jest powszechnie używana do dziś. To od jakości kodu zależało, jak będzie działał dany program i co będzie w nim możliwe. Romero miał być odpowiedzialny za „całą resztę”. To on definiował charakter i zasady rozgrywki.

Działali w tandemie. Pomysły Romero motywowały Carmacka do doskonalenia silnika, by pozwalał na jeszcze więcej, z kolei nowe możliwości silnika inspirowały Romero do główkowania, jak można w pełni je wykorzystać. To były czasy, gdy postęp technologiczny ściśle warunkował ewolucję medium gier. Za podstawowy nośnik danych służyła dyskietka o pojemności 1,44 MB. Procesory wykonywały miliony cykli obliczeń na sekundę, a nie miliardy jak obecnie. Niezbędne dziś do obsługi gier wideo karty graficzne stanowiły jeszcze pieśń przyszłości. Dlatego tak ważne było, aby te ograniczone zasoby wykorzystać w maksymalnym stopniu. A to, co potrafił wycisnąć z komputerów Carmack, graniczyło z magią.

O pochodzeniu gatunków

Carmack był do tego stopnia pochłonięty programowaniem, że po przeprowadzce spał w pustym pokoju na podłodze, przykrywając się kocem. Jedynym sprzętem, jaki ze sobą przywiózł po przyjęciu propozycji Romero, był wielki drewniany stół służący do rozgrywania kampanii w „Dungeons & Dragons” oraz do programowania. Romero, załamując ręce nad tą mizerią, kupił koledze materac.

Pierwszymi wspólnie zrobionymi grami, dzięki którym zdobyli uznanie i umiarkowaną sławę, była seria dwuwymiarowych platformówek w klimatach fantastyczno-futurystycznych, z dużym przymrużeniem oka: „Commander Keen”. Przełomem technologicznym wprowadzonym przez Carmacka była możliwość przewijania ekranu nie tylko w pionie, ale i na boki – znana z konsol Nintendo (patrz „Super Mario Bros.”), ale niedostępna dotąd na komputerach PC. Teraz brzmi to banalnie, ale wspomnienia

Romero dobrze oddają znaczenie tego osiągnięcia: „20 września 1990 roku zabrakło mi słów” – wspomina dzień, w którym po raz pierwszy zobaczył na ekranie demonstrację nowej technologii. „Wcisnąłem spację i zaniemówiłem (...). Kojarzycie scenę w »Gwiezdnym wojnach«, w której Sokół Millennium wchodzi w prędkość nadświetlną, przez co mijane gwiazdy wyglądają jak podłużne linie? Dokładnie tak się wtedy czułem: jak przeteleportowany w przyszłość”.

Sukces serii „Commander Keen” zachęcił Romero i Carmacka do robienia kolejnych gier już nie jako podwykonawcy, ale całkowicie na własny rachunek. Zgrana czteroosobowa ekipa (dwaj pozostali członkowie to wspomniany grafik-metalowiec Adrian Carmack, bez związków z Johnem, oraz Tom Hall, obdarzony poczuciem humoru projektant) 1 lutego 1991 r. powołała formalnie do życia id Software.

Ich pierwszym przebojem okazała się gra „Wolfenstein 3-D” (1992 r.). Inspiracją dla niej był klasyk „Castle Wolfenstein” (1981 r.) autorstwa Silasa Warnera. W tej wydanej na komputer Apple II dwuwymiarowej grze gracz wcielał się w alianckiego żołnierza pojmanego przez nazistów i więzionego w lochach tytułowego zamku. Rozgrywka polegała na skradaniu się – tylko tak można było przetrwać. Carmack i Romero, przekonani, że przyszłością są gry trójwymiarowe, wyrzucili stolik. Zachowując motyw samotnego żołnierza, zrezygnowali ze skradania. Chcąc stworzyć grę dynamiczną i szybką, postawili na ciągłą walkę. Grafika, kreując iluzję głębi, efektywnie symulowała trójwymiarowy świat. W „Wolfenstein 3-D” gracz patrzył na świat oczami protagonisty, znad lufy schmeissera lub parabellum.

Zagłada, czyli szansa

Dziś przyjmuje się, że właśnie „Wolfenstein 3-D” był pierwszym aktem ekspansji gier FPS (skrót ang. *first person shooter*), czyli strzelanin w pierwszej osobie, rozgrywanych z optycznej perspektywy bohatera. Ale zagładę dotychczasowego status quo w świecie elektronicznej rozrywki miał przynieść dopiero „DOOM”. Chris Lombardi z magazynu „Computer Gaming World”, najważniejszego wówczas pisma o grach wideo, tak pisał po zamkniętym pokazie wersji testowej w siedzibie id Software: „DOOM to nie jest skok generacyjny, do jakich jesteśmy przyzwyczajeni. Jest raczej jak skok w wykonaniu Carla Lewisa, który wybija się wysoko na górę i leci z wiatrem, daleko w tyle pozostawiając dotychczasowe rekordy”.

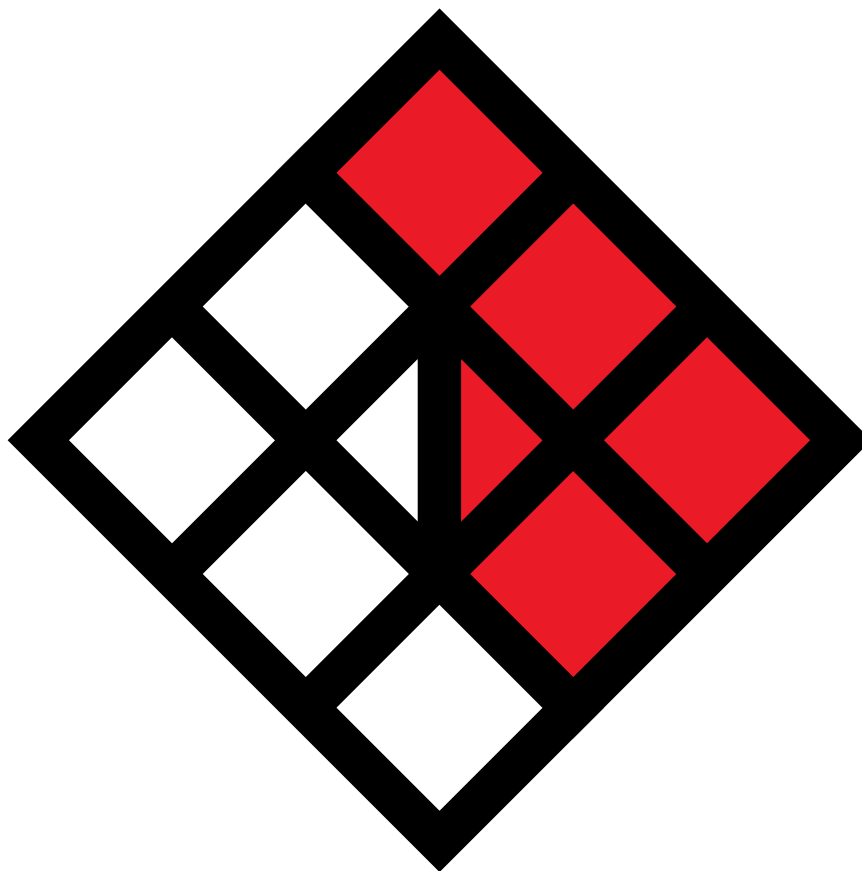
Gra dorosła do tej zapowiedzi. Choć jej niezwykła popularność sprawiła, niestety, że tytuły powolne, refleksyjne, oparte na opowieści, humorze lub łamigłówkach zaczęły tracić odbiorców. Całe gatunki, dotąd uwielbiane, ulegały atrofii, próbując przetrwać w niszy lub zanikając. Gdy id Software udowodnił, że moc obliczeniowa komputerów PC jest już wystarczająca, by stworzyć dynamiczne gry akcji z efektywną oprawą graficzną, to one na lata zdominowały rynek.

Kluczową zmianę miała przynieść jednak inna innowacja – możliwość rywalizowania z graczami w internecie. „DOOM” pozwalała łączyć się graczom nie tylko w ramach lokalnej sieci, ale także na olbrzymich dystansach. Umożliwiał pojedynki, współpracę w drużynach lub walkę na arenach każdy z każdym. To właśnie tej grze zawdzięczamy narodziny e-sportu, terminy takie jak frag czy deathmatch. Bez kierunku, jaki wskazał „DOOM”, nie byłoby takich gier jak „Call of Duty”, „Battlefield”, „Counter-Strike”, „PUBG: Battlegrounds” i wielu innych. Zagłada dla jednych okazała się szansą na rozkwit dla drugih.

OLAF SZEWCZYK

Wszystkie cytaty za: John Romero, „DOOM Guy. Życie w pierwszej osobie”, Wydawnictwo Open Beta, Warszawa 2023 r.

PASZPORTY POLITYKI 2023 POZNAJ NOMINOWANYCH!



PRZYZNAJ PASZPORT CZYTELNIKÓW „POLITYKI”
Zagłosuj do 20 grudnia na polityka.pl/paszporty

facebook.com/paszportypolityki

Partner Główny

zaKS
sprzyjamy wyobraźni

Partnerzy Medialni



Partnerzy Kategorii

Muzyka popularna

KTW_
GZM_
2029
Kandydat
na Europejską
Stolicę Kultury
2029

Teatr



Książka



Sztuki wizualne



Film



W swoich związkach z różnymi dziedzinami sztuki byłem i jestem otwarcie i bezwstydnie rozwiązy – mówi Alan Moore, pisarz i scenarzysta komiksowy.



Alan Moore (ur. 1953 r.) – brytyjski autor prozy i jeden z najwybitniejszych scenarzystów opowieści obrazkowych w historii. Ma na koncie m.in. „Strażników”, komiks „Batman: Zabójczy żart”, „V jak vendetta” i „Ligę Niezwykłych Dżentelmenów”. Podobnie jak inni twórcy od lat walczy o odzyskanie praw autorskich do własnych dzieł (m.in. „Strażników”). Obecnie Moore skupia się na karierze prozaika. W Polsce ukazał się właśnie zbiór jego opowiadań „Iluminacje”, w którym znajdują się teksty z ostatnich czterech dekad twórczości autora.

Sztuka zamiast narkotyków

MARCIN ZWIERZCHOWSKI: – **Co pana przyciągnęło do komiksów?**

ALAN MOORE: – W komiksach można zrobić rzeczy w innych gałęziach sztuki niemożliwe, i nawet mimo innowacji ostatnich z grubsza czterech dekad wciąż ledwie liźnaliśmy to, co możliwe. Najbardziej atrakcyjne w komiksach wydawało mi się natomiast to, że było to medium uważane za niepoważne, że nim pogardzano, a jego odbiorcami były głównie biedota i klasa robotnicza. I tak też je wyceniano. Przekładało się to na fakt, że wystarczająco zmotywowany twórca mógł przemyślenia i informacje, które uznał za wartę przekazania, wpleść w zajmującą opowiedzianą historię i w cyklu tygodniowym czy miesięcznym docierać ze swoim dziełem do tych, którzy zdawałoby się najbardziej potrzebowali takiej kulturalnej pożywki.

Mówi pan o medium komiksowym.

A co z komiksami jako rynkiem?

Powstały jako coś w rodzaju slumsów w mieście sztuki. Minusem tego stanu rzeczy jest to, że takie okolice często przyciągają drapieżników, którzy w klasie robotniczej – nieważne, czy mowa o odbiorcach komiksów, czy ich twórcach – widzą tylko coś, co można wykorzystać dla zysku. Na takich podwalinach powstał sam rynek: kierowany do mniej zamożnych

odbiorców, postrzegany jako bezwartościowe śmieci, niemogące pretendować do miana sztuki – no, chyba że jakiś popartyista z lat 60. pokroju Roya Lichtensteina skopiuje je na swoje płótno. Nawet genialni twórcy komiksowi, jak Jack Kirby, nie byli uważani za artystów. Kriby stworzył większość znanych powszechnie bohaterów Marvela, na których przywłaszczeniu Marvel Entertainment zarobiło miliardy dolarów, czyniąc Kirby’ego ofiarą największego złodziejstwa względem jednostki w historii.

To między innymi pan sprawił, że komiksy zaczęły być traktowane poważniej.

O ironio, to moje wysiłki, by w latach 80. pchnąć komiksy jako medium do przodu, zostały wykorzystane przez wydawców, by przerzucić się z tanich, szmatławych i kierowanych do dzieci miesięczników na tzw. powieści graficzne. Można było żądać za nie wyższej ceny, bo były kierowane do nowej publiki, którą byli dorośli reprezentanci klasy średniej. Ci sami, którzy normalnie odżegnali się od czytania czegoś tak „prymitywnego”. W efekcie paradoksalnie wiele z tego, co przyciągnęło mnie do komiksów, odeszło bezpowrotnie. Nie zmienił się natomiast aspekt wykorzystywania twórców przez grube ryby.

Dlatego odżegnuję się od mniej więcej 90 proc. mojego komiksowego dorobku, którego – mimo bycia autorem – nie mogę być właścicielem. Swoje wysiłki przelałem na bardziej dojrzałe medium, gdzie twórcy są traktowani poważnie i z odrobiną szacunku.

Mowa o pana karierze jako autora prozy, której w ostatnich latach poświęcał pan najwięcej uwagi. W 2016 r. ukazała się pana druga powieść „Jerusalem”, a sześć lat później – publikowany obecnie w Polsce – zbiór opowiadań „Iluminacje”.

Prawdę mówiąc, komiksy nigdy nie były moją jedyną miłością. W czasie, gdy rozwijała się moja kariera komiksowa, byłem również rysownikiem, performerem, członkiem dwóch-trzech grup musicalowych, muzykiem z dorobkiem siedmiu czy ośmiu płyt i kilku singli, a do tego autorem powieści i opowiadań, wydawcą i autorem w kilku niezależnych pismach, krytykiem sztuki, komentatorem społeczno-politycznym, teoretykiem i praktykiem magii. Do tego napisałem, współtworzyłem i grałem w kilku filmach krótko- i pełnometrażowych. Po prostu akurat moja praca w komiksach – z naciskiem na historie superbohaterskie, które tworzyłem 35–40 lat

temu – to jedyny element mojej twórczości, o którym szersza publiczność słyszała.

Wciąż żywię bardzo ciepłe uczucia względem komiksów jako medium, ale w swoich związkach z różnymi dziedzinami sztuki byłem i jestem otwarcie i bezwstydnie rozwiązały.

W opowiadaniach zebranych w wydanych w Polsce „Iluminacjach” często tworzy pan bardzo rozbudowane i plastyczne opisy. Jest pan niezwykle „wizualnym” pisarzem. To cecha, która uczyniła z pana wybitnego scenarzystę komiksowego, czy raczej coś, co przeniósł pan do prozy ze sposobu tworzenia komiksów?

Wydaje mi się, że od zawsze posiadałem bogatą wyobraźnię wizualną, przy czym zazwyczaj przerastała ona moje zdolności jako artysty – choć na początku kariery byłem ilustratorem w brytyjskich magazynach muzycznych. Gdy zdecydowałem się podążać ścieżką scenarzysty komiksowego, dotarło do mnie, że mogę tę wyobraźnię przelać na moje rozbudowane opisy paneli komiksowych. Powstawały wyłącznie na użytek artystów i artystek, którzy mieli zobaczyć obraz takim, jakim widziałem go ja, dostrzec jego atmosferę, humor czy dramatyzm. W prozie staram się w sposób naturalny trzymać tej wizualnej wrażliwości i przerabiać swoje przydługawe opisy kadrów na coś mniej roboczego, a bardziej literackiego. W największym stopniu dotyczy to „Jerusalem”, przy którego pisaniu byłem w pełni świadom, że dla większości ludzi byłem „uznanym scenarzystą komiksowym”, który próbował stworzyć powieść graficzną bez rysownika. Dlatego też podkreśliłem wizualny aspekt swojego stylu, pamiętając, że „obrazy są lepsze w radiu” [nawiązanie do słów słynnego prezentera radiowego Alistaira Cooke’a, który powiedział, że woli radio od telewizji, bo obraz jest lepszy – przyp. red.]. Skoro tak, to obraz, ścieżka dźwiękowa, efekty specjalne i immersyjność są lepsze w niewspomaganej niczym prozie. Proszę spróbować sobie wyobrazić w innym medium ten cytat z książki Raymonda Chandlera: „Pachniała tak, jak Tadz Mahal wygląda w świetle księżycy”. O to mi właśnie chodzi.

Wspominał pan o „Jerusalem” jako powieści graficznej tworzonej bez rysownika. Chciałbym zapytać właśnie o wątek współtworzenia komiksów z innymi artystami, w pana przypadku tak wybitnymi, jak nieodżałowany Kevin O’Neil czy Dave Gibbons.

Współpraca twórcza, zwłaszcza jeżeli ta druga osoba podziela twoje wartości,

ma mnóstwo zalet. Przy okazji pracy ze wspomnianym Kevinem O’Neilem, który był onieśmielająco uczynny i posiadał rozległą wiedzę kulturalną, prawdopodobnie brałem od niego mniej więcej tyle samo pomysłów fabularnych, co on ode mnie wizualnych. Współpraca była jeszcze głębsza w przypadku komiksu „Zagubione dziewczęta” – podczas pracy nad nim mieszkaliśmy z Melindą Gebbie, wówczas moją dziewczyną, a później żoną. Pracując wspólnie, byliśmy w stanie całkowicie odejść od spisywania tradycyjnego scenariusza na rzecz wstępnego rozrysowywania stron i kadrów. Dialogi i inne teksty dodawałem już na gotowe rysunki Melindy. Dawało to więcej swobody i pozwalało na szczęśliwe przypadki. Rzecz jasna posiadanie współpracownika ma tę zaletę, że istnieje drugie źródło energii w danym projekcie, umożliwia to konfrontowanie swoich pomysłów z kimś innym, dzięki czemu unika się czegoś, co nazywam samotnością powieściopisarza długodystansowego.

Dlaczego więc nie kontynuować takiego typu pracy?

Choć brakuje mi pewnych aspektów współpracy twórczej, jest coś niezwykle satysfakcjonującego w wiedzy, że dane dzieło to efekt wyłącznie pracy mojego umysłu, z użyciem 26 liter i dodatkami znaków interpunkcyjnych. Jaka inna dziedzina sztuki umożliwia tworzenie tak wielkich rzeczy z tak skromnym zasobem narzędzi?

Tworzy pan historie od czterech dekad. Poza karierą, czym to dla pana jest? Potrzebą? Sposobem na wyrażanie siebie?

Może trochę wstyd się przyznać, ale większość moich etycznych i politycznych przekonań ukształtowała się, gdy miałem 16–17 lat. Wówczas, czyli pod koniec lat 60. i na początku 70., w krótkim, ale momentami wspaniałym wybuchu kontrkultury, moje postawy były tożsame z tymi reprezentowanymi przez tzw. psychodeliczną lewicę. Moje wspomnienia z tamtego czasu pokrywa mgła narkotyków i brzdąkania sitara, ale jak kojarzę, psychodeliczna lewica czerpała z idei Aldousa Huxleya – autora „Nowego wspaniałego świata” – zgodnie z którą los ludzkości mógłby się znacznie poprawić, gdyby udało się poszerzyć naszą świadomość. Wówczas sądzono, że można to osiągnąć z pomocą substancji psychodelicznych, takich jak LSD czy psylocybina. Gdy nieco dorosłem, rzecz jasna dostrzegłem wady w swoim niedojrzałym rozumowaniu: wprawdzie doświadczenia psychodeliczne mogły być bardzo

rozwijające, ale jednocześnie, w złych okolicznościach, mają potencjał stania się druzgocącym koszmarem.

Jak to wszystko prowadzi do opowiadania historii?

Pomyślałem, że znacznie lepszym sposobem na poszerzenie świadomości jest zastąpienie narkotyków psychoaktywnych sztuką. Wierzyłem, że odpowiednio sprawny artysta wizualny, pisarz, muzyk czy twórca filmowy powinien być w stanie odtworzyć psychodeliczne doświadczenie, a przynajmniej jakieś jego echo, w umysłach swoich odbiorców. Wówczas jednak takie doświadczenie byłoby zaplanowane i prowadzone przez twórcę, by przekazywać do świadomości odbiorców konkretne perspektywy, opinie moralne czy zestawy nowych i inspirujących idei. Takie więc pozostaje moje *modus operandi* – pragnę poprzez przyjemne doświadczenia modyfikować i poszerzać świadomość mojej publiki, z nadzieją, że w choćby nikły sposób przyczyni się to do uczynienia świata lepszym. Dlatego robię to, co robię. Czy to działa? Nie mam pojęcia. Ale też coś tam się udało. Na przykład nieświadomie wyposażyłem globalny ruch sprzeciwu w maski Guya Fawkesa [maski-symbole internetowej grupy Anonymus i sprzeciwu przeciw ograniczeniom w sieci – przyp. red.], których geneza sięga mojego komiksu z wczesnych lat 80. „V jak Vendetta”. Więcej chyba coś w tym podejściu jest.

Jaka będzie przyszłość pana dziedziny? Z jednej strony remaki, sequele, kinowe uniwersa i korporacje kontrolujące prawa autorskie, z drugiej strony choćby na rynku komiksowym obrodziło w niezależnych wydawców i tzw. creator owned comics, gdzie to twórcy kontrolują swoje dzieła.

Od jakiegoś czasu nie przyglądam się zbyt uważnie rynkowi komiksowemu, ale choć dociera do mnie, że dokonał się pewien postęp na polu praw autorskich, twórcy niezmiennie muszą się nieźle narobić, by otrzymywać zarobki proporcjonalne do tego, ile wysiłku wkładają w swoje dzieła. No i choć dany wydawca może pozycjonować się jako niezależny od słynących z drapieżności największych rynkowych graczy, niekoniecznie oznacza to, że będzie postępował lepiej. Sam postrzegam przemysł rozrywkowy jako coś, z czym po prostu muszę mieć do czynienia. Ale czuję się artystą, a nie zabawiaczem tłumów. Chcę dawać publice to, czego potrzebuje, a nie to, czego chce. Nie jest to wprawdzie najłatwiejsza ścieżka kariery, ale rezultaty są tego warte. ■



Beton olimpijski

Czy kojarzonemu z PiS prezesowi Polskiego Komitetu Olimpijskiego **Radosławowi Piesiewiczowi** uda się przyspawać do stołka co najmniej do 2032 r.? No i czy w nowym politycznym układzie dalej będzie mógł stosować taktykę „dziel i rządź”?

MARCIN PIĄTEK

Tuż przed świętami Bożego Narodzenia ma się odbyć nadzwyczajne walne zgromadzenie delegatów Polskiego Komitetu Olimpijskiego. Najważniejszy punkt porządku obrad to głosowanie nad nowym statutem. Wprowadza on rewolucyjne zmiany, na czele z bezprecedensowym wydłużeniem kadencji prezesa Radosława Piesiewicza z czterech lat do niemal dziewięciu. Piesiewicz rządzi zaledwie od kwietnia. Działacz jednego ze związków: – *To standardy rodem z bananowych republik. W zarządzie PKOl są medaliści olimpijscy, wysoko postawieni działacze w strukturach światowych. Mają apetyt na prezesurę, dlaczego mieliby się godzić na zabetonowanie Piesiewicza?*

Być może jeszcze ważniejsza jest druga nowelizacja: zmiana równowagi sił na walnym zgromadzeniu (najwyższym organie PKOl, uprawnionym m.in. do wyboru prezesa i udzielania absolutorium zarządowi). Do tej pory przedstawiciele związków olimpijskich dysponowali trzema głosami, a neolimpijskich jednym. Teraz proporcja ma wynosić 5:2. Do tego jeszcze forsowany jest zapis, by w imieniu każdego ze związków albo innych podmiotów uprawnionych do podejmowania decyzji występował – dysponując całym pakietem głosów – jeden delegat. – *Intencja jest czytelna: kontrola i sterowanie. Jedną osobę łatwiej przekabacić albo obłaskawić niż grupę* – uważa członek zarządu PKOl.

Radosław Piesiewicz od 2018 r. jest też prezesem Polskiego Związku Koszykówki – dzięki komitywie z Jackiem Sasinem, który jako szef resortu aktywów państwowych dał spółkom Skarbu Państwa zielone światło do sportowego sponsoringu. Piesiewicz nie tylko angażował jako sponsorów koszykówki kolejne państwowe firmy, ale też osobiście decydował, w jakim klubie pieniądze wylądają. Niepokornym zabierał, lojalnych nagradzał. Gdy zgłosił swój akces do przewodzenia PKOl, delegatom na zjazd nie trzeba było dwa razy powtarzać, że inwestycja w kolegę ministra Sasina może się opłacać. Wybory wygrał bez problemu.

W kampanii Piesiewicz obiecał 10-krotne zwiększenie budżetu PKOl – do 300 mln zł. Państwowe pieniądze popłynęły szerokim strumieniem. Obok obecnych już wcześniej Orlenu i Totalizatora Sportowego jako sponsorzy pojawili się JSW, Enea, Tauron, Polski Cukier i PKP Cargo. – *Podpisał też kilka kontraktów z prywatnymi firmami, ale to układ barterowy, stworzony przede wszystkim z myślą o ewentualnych medalistach olimpijskich, którzy mogą liczyć na nagrody rzeczowe: bon na wycieczkę, zegarek albo inwestycje w diamenty* – mówi członek zarządu. Nieoczekiwanie sponsorem technicznym reprezentacji olimpijskiej został Adidas, wygrzając polską firmę 4F. – *Ten kontrakt to nie zasługa Piesiewicza, negocjacje rozpoczęły się jeszcze, zanim wylądował w PKOl* – opowiada osoba wtajemniczona w szczegóły.

Członek zarządu jednego z dużych związków olimpijskich: – *Głosowałem na Piesiewicza, ponieważ obiecał przyciągnąć spółki, ale też Polsat [Marian Kmita, szef Polsatu Sport, został członkiem prezydium zarządu – red.]. Bo czego oczekuje sponsor? Ekspozycji i reklamowego ekwiwalentu, najlepiej w telewizji. Z mojego punktu widzenia to był idealny układ: dostanę milion od jakiejś Energi albo JSW, a Polsat zapewni transmisje, więc mam się czym pochwalić przed sponsorem. Te pieniądze bardzo mi się przydadzą, np. na wkład własny, niezbędny do otrzymywania dotacji z Ministerstwa Sportu.*

I tak z jednej państwowej kieszeni – od spółki – prezesi dostają środki jako lewar do finansowania z drugiej – ministerstwa. Nie muszą zabiegać o wsparcie prywatnych firm, wystarczą lojalność i wierność prezesowi. Zmianie uległ przy okazji model finansowania: – *Kiedyś układ sponsorski był dwustronny: związek–spółka. Teraz to PKOl jest stroną umowy. Dostaje środki od sponsora i potem dzieli między związki. Według jakiego klucza? Nie mam pojęcia. Ile zostaje w PKOl? Również nie wiem. Pan prezes dał do zrozumienia, żeby nie drążyć – mówi jeden z członków zarządu komitetu.*

Wiele związków już skorzystało z dodatkowych pieniędzy i pośrednictwa PKOl, ale są takie, które zwlekają, bo nie podobają im się niebotyczne kary umowne, np. za niewystarczającą ekspozycję firmowego logo. – *Jeśli nie wezmę tych pieniędzy, zostaną w PKOl – mówi jeden z wiceprezesów. – Ten może podzielić je pomiędzy kilka mniejszych związków, również nieolimpijskich, które będą wdzięczne za każdą sumę. Tak się kupuje poparcie.*

Skąd taki pośpiech z nowelizacją statutu? Z powodu wyniku wyborów parlamentarnych. Piesiewicz jest powszechnie postrzegany jako człowiek PiS. Tuż po wyborach udzielił wywiadu, w którym zapewniał o swojej apolityczności, a jednocześnie opowiadał o ulotkach, jakie rozosił w kampaniach Tadeusza Mazowieckiego i Bronisława Geremka. Zostało to odebrane jako tania próba podlizania się nowej władzy oraz sygnał wysłany do prezesów związków sportowych: żaden ze mnie pisowiec, odnajdę się w każdym układzie, nie bójcie się o finansowanie.

Działacz: – *Myślę, że Piesiewicz czuje się mimo wszystko niepewnie i rozpoczął liczenie szabel [do przeforsowania zmian potrzebuje większości dwóch trzecich przy obecności połowy uprawnionych – red.]. Ma po swojej stronie kilka związków, w których zainstalowali się albo mają wpływ ludzie PiS, jak badminton, rugby, siatkówka. Koszykówkę trzyma w garści. Część popiera go, bo załatwił sponsorów. Ale część działaczy może się zacząć zastanawiać, czy teraz, w nowym politycznym rozdaniu, finansowanie ze spółek się nie utnie, bo Radek nie ma przełożenia na nowego ministra. Wzmacniając pod względem siły głosu związki nieolimpijskie i regionalne rady olimpijskie, inwestuje w szerokie poparcie.*

Tymczasem Radosław Piesiewicz nie marnuje żadnej okazji, by umacniać w środowisku aurę dobrego i hojnego wujka. 50 medalistów igrzysk europejskich – zorganizowanej wiosną w Krakowie trzeciorzędnej imprezy, która mało kogo obchodziła – dostało na rok do używania samochodu Suzuki (firma została sponsorem nowo powołanej przy PKOl Fundacji Polskiego Sportu), medalistom olimpijskim Piesiewicz obiecuje po mieszkaniu i nawet 300 tys. za złoto, do związków sportowych wysłał złotą kartę PKP (na okaziciela, z limitem niemal 16 tys. zł, do wykorzystania przez rok) i osobiście podpisał się pod listem z instrukcją obsługi.

Wiatr zmian dotarł nawet do mieszczącej się na ostatnim piętrze siedziby komitetu restauracji – dotychczasowy najemca musiał się pakować, a teraz za biznes gastronomiczny będzie odpowiadała spółka założona przez PKOl oraz Julitę Słowikowską, dyrektor biura Polskiego Związku Koszykówki. W gabinetach

urządzono wielkie personalne wietrzenie. Jeden z pracowników PKOl: – *Za czasów prezesa Kraśnickiego o każde 500 zł na projekt trzeba było użerać. Piesiewicz wprowadził dużo energii, pcha nas do działania, no i na wszystko jest kasa. Ale podwyżek nie dał, bo na odchodne od Kraśnickiego wszyscy pracownicy dostali podwójną premię – wzdycha.*

Nowe umowy zostały obwarowane lojalkami: wynoszenie informacji z firmy może skończyć się dyscyplinarką oraz karą finansową rzędu nawet 100 tys. zł. Panuje atmosfera strachu. Pracownik PKOl zgadza się na rozmowę, ale po zmroku w jednym z warszawskich parków, jeden z wiceprezesów odpisuje przez internetowy komunikator i niemal natychmiast kasuje korespondencję, prezes dużego związku naciska na przesłanie swoich cytatów do wglądu, mimo że wypowiada się anonimowo.

POLITYKA wystosowała do biura prasowego PKOl pytania dotyczące motywów statutowej rewolucji, jak również kwestii finansowych: skali wsparcia przez spółki Skarbu Państwa, zasad rozdziału środków między poszczególne federacje oraz sumy przypadającej PKOl, czasu trwania umów, sposobu ustalenia wynagrodzenia prezesa oraz członków prezydium oraz tego, czy prezes inkasuje prowizje od umów sponsorskich.

Odpowiedź przyszła po paru godzinach: PKOl nie będzie udzielał żadnych wyjaśnień, gdyż pytający „nie daje gwarancji wykorzystania przekazanych informacji zgodnie z zasadami wynikającymi z prawa prasowego”. Należy się domyślać, że to skutek kwietniowych publikacji w POLITYCE, w których niżej podpisany ujawnił, że Piesiewicz inkasuje prowizje od umów sponsorskich jako szef Polskiej Ligi Koszykówki i ręcznie steruje ulokowaniem państwowych spółek w klubach. Podejrzanie, że Piesiewicz powielił prowizyjny mechanizm jako prezes PZKosz, pozostało jednak podejrzeniem. Nawet posłowie okazali się za słabi, by to udowodnić. – *Mimo obietnic odmówiono nam okazania dokumentów koszykarskiego związku, powołując się na jego statutową niezależność – mówi Małgorzata Niemczyk, posłanka Koalicji Obywatelskiej.*

Teraz udało się nam ustalić, że należąca do Piesiewicza firma RADAM osiągnęła za trzeci kwartał tego roku przychód w wysokości ponad 2 mln zł. Jakie jest jego źródło? Czy to prowizje od sponsorskich umów z państwowymi firmami? Czy te 2 mln to tylko jednorazowy strzał, czy tylko jedna czwarta rocznych przychodów? Od prezesa Piesiewicza nie sposób się tego dowiedzieć. Członek prezydium zarządu PKOl: – *Czy prezes u nas zarabia? Prawdę mówiąc, nie wiem.*

Radosławowi Piesiewiczowi opłaca się więc trwać na fotelu prezesa PKOl jak najdłużej, choć nie ma pewności, czy nowa władza będzie równie hojna dla polskiego olimpizmu jak poprzednia. Posłanka Niemczyk: – *Jeśli państwowe spółki zasilają publiczną organizację, to wszystko powinno być transparentne. Tymczasem pan prezes Piesiewicz wymienił w PKOl księgowość i dział prawny. Dochodzą mnie słuchy, że podsuwa pracownikom 10-letnie lojalności do podpisania. Ewidentnie stara się coś ukryć.*

Jawna polityczna demonstracja siły, a przynajmniej wpływów oraz hierarchii w polskim sporcie, jest planowana na przypadające 19 grudnia walne zgromadzenie. Jeden z członków zarządu PKOl: – *Te zmiany obstawiają związki olimpijskie, sprawiają, że ogon będzie machać psem. Spróbujemy je Radkowi wyperswadować, a jeśli się nie uda, postaramy się, by podczas zjazdu kilka trudnych pytań zadał mu przyszły minister sportu Sławomir Nitras.*

Ewentualna obecność ministra może również sprzyjać tajności głosowania. A działaczom zbulwersowanym zmianami, którzy jednak nie chcą się prezesowi narazić, na tajności bardzo zależy. ■

Mea pulpa



czyli kronika popkulturalna
Kuby Wojewódzkiego

Dorota Gawryluk przestała kierować pionem informacji i publicystyki Telewizji Polsat i obejmie nowe stanowisko dyrektorki kanałów tematycznych. W szachach taki ruch nazywa się: rywalizacja gońców przeciwnych kolorów.

Jarek Kuźniar wydał podręcznik skutecznego mówienia do ludzi „The Host”. Janusz Józefowicz w moim programie zdefiniował skuteczne mówienie: „Bardzo długo wydawało mi się, że rozmowa polega na tym, że ja mówię, a ktoś słucha”.

Robert Mazurek odchodzi z „Rzeczpospolitej”. Od stycznia dziennikarz ma pojawić się w Kanale Zero Krzysztofa Stanowskiego. Cenię Mazurka. Szkoda, że nie tylko koszulę kupuje u Cejrowskiego.

Pod koniec roku liderem oglądalności programów informacyjnych są „Fakty” TVN, które średnio ogląda 2,81 mln osób. Najwięcej stracił „Teleexpress”, ponad 250 tys. osób. Ze słynnego „Marek Sierocki. Cześć” powoli zostaje samo „Cześć”.

Raper Popek nie ustaje w ozdabianiu twarzy. Tym razem wytatuował napis „Mógłbym dziś z popiołu wstać. Stać mnie na to”. Następnie wyznał: „Nawet mnie do kryminału nie wpuszczą z tym ryjem”. Ten sam problem mogą mieć niektórzy pracownicy TVP.

Kazik Staszewski publicznie wyznał, że rzucił trzecią truciznę swego życia. Po alkoholu i mięsie przyszedł czas na papierosy. Brawo. Najgorzej mają ludzie z Bieszczad. Oni nie mogą rzucić wszystkiego i wyjechać w Bieszczady.

Piotr Gąsowski, który odszedł z programu „Twoja twarz brzmi znajomo” w geście solidarności z wyrzuconą Kasią Skrzynecką, pojawi się w jego 20., jubileuszowej edycji. W geście solidarności z kasą wyrzuconą w błoto.

Propagandowa diwa TVP 1 Danuta Holecka, szefowa „Wiadomości”, znikła z grafiku prowadzących ten program 13 grudnia. Podobno na własną prośbę. 13 grudnia to symboliczna data. Nie tylko ona obudziła się za późno.



Dziennikarz TVP Info Michał Rachoń tajemniczo zniknął z anteny Polskiego Radia 24 oraz Radia Opole. Jak w 2014 r. tajemniczo zniknął malezyjski Boeing 777, to od razu pisali, że leży na dnie.

Robert Kosicki zmienił Mateusza Tomaszuka na stanowisku sekretarza programu w radiowej Trójce. Piszę o tym, bo to ważne. Prawdopodobnie już nigdy o tych nazwiskach nie usłyszycie.

Halina Mlynkova wyznała, że pozbyła się z życia 90 proc. znajomych, którzy mówili jej, że sprawia wrażenie chłodnej. Siedziałem obok niej na weselu Janka Nowickiego. Nie tylko wódka była zimna.

„Nigdzie się nie wybieram” – wyznał szef TVP Info Samuel Pereira, twierdząc, że „sposób działania mediów publicznych określają przepisy prawa, których każdy polityk powinien przestrzegać”. Na miejscu kabaretów poczułbym duże zagrożenie.

Debiutancki wideopodcast pt. „Sejm. Nowe otwarcie z Szymonem Hołownią” w ciągu kilku dni osiągnął ponad 1 mln odsłon. Tym samym zaprzecza tezie braci Sekielskich, że tylko prawdziwy ksiądz kręci na YouTube dobre wyniki.

Michał Piróg opublikował w sieci grafikę porównującą poparcie środowisk LGBT dla Palestyny z poparciem krów dla sieci McDonalds. Michał kiedyś wyznał: „Lepiej być gejem niż kretyńcem”. Jak widać, nie zawsze mamy wybór.

Młoda raperka Young Leosia ujawniła, że jest w związku z Kacprem Błońskim, 25-letnim youtuberem, piosenkarzem i zawodnikiem Fame MMA. Kacper wcześniej był z Fausti i Kosterą. Ja w jego wieku byłem z rodzicami.

TVP planuje pozbyć się ze swoich szeregów Idy Nowakowskiej, Magdaleny Ogórek, Anny Popek, Jacka Łęskiego i Tomasza Wolnego. Podobno zbyt kojarzą się ze starą władzą. Pozostali chętnie skojarzą się z każdą władzą.

Nową parą prowadzących poranny program „DDTVN” zostały **Anna Senkara** i **Sandra Hajduk-Popińska**, wcześniej pracująca w serwisie Pudelek, liderze przemocy emocjonalnej wobec znanych osób. Gratulacje. A straszyl, że Danuta Holecka jest niepowtarzalna.



Weź, wyloguj

Dlaczego się nie uśmiechasz?”, „A co ty znowu masz taką ponurą minę?”, „Popatrz, ta twoja matka znów wściekła”, „Tak się na mnie patrzysz, że boję się, co ty tam znów knujesz”. Chętnie obejrzałabym wyniki doświadczenia polegającego na tym, iż duże grupy mężczyzn z różnych stron świata poprawiają miny dziewcząt i kobiet na takie oto miny, które panom wreszcie odpowiadają. Bez uśmiechu? Odpada. Znaczą naburmuszona książniczka albo koktajl hormonalny jej odpalił. Bardzo szeroki uśmiech? Odpada. Może drwi. Może wariatka. Przestraszona? Po co się zamartwia na zapas. Mina à la komornik? Co to za potworna sadystka, która chce mnie wtrącić do lochu? Dziecko przecież nie umiera z głodu.

Nie jestem aktorką, a jednak typ męczyzny recenzenta trafiał mi się w życiu niejednokrotnie. Pozytywną recenzję zdobywałam wyłącznie, gdy moja mina albo wyrażała podziw dla osiągnięć lub urody partnera, albo wyrażała ciepłą macierzyńską wyrozumiałość. Kobiety o wiele rzadziej wyrażają swe recenzentkie zniesmaczenia moją mimiką twarzy. Albo są nieszczerze, albo bardziej empatyczne. Może niedowidzą.

Trudno jest robić dobrą minę do tak bardzo złej gry, jaką stał się świat. Być może świat zawsze taki był, tylko pokolenia osób zachwycających się prozą amerykańskiej pisarki Ottessy Moshfegh dziś na robienie dobrej miny już po prostu nie stać. Nie stać? A może nie mają sił? Może to bunt. Dość tej hipokryzji, koniec z „wystarczy, żebyś była miła”. Zagranie w teatrze roli Narratorce, czyli głównej bohaterki popularnej powieści pt.: „Mój rok relaksu i odpoczynku”, wymaga od aktorki mimiki na czas ery epidemii opiatów, bezsenności, wielkiej rezygnacji, postkapitalistycznej makabry i, w bonusie, Trzeciej Wojny. Akcja tej powieści i sztuki, która w Teatrze Dramatycznym powstała na jej kanwie (reż. Katarzyna Minowska), ma miejsce w XXI w. w Nowym Jorku.

Przypomniały mi się kanapki z pastrami w żydowskiej knajpce „Katz’s Deli” na East Houston Street. Między dwiema kromkami chleba serwowana jest dosłownie wieża z plastrów pastrami. Warstwa na warstwie, na warstwie warstwa – nie da się tego pomieścić w buzi. Konsumpcja takiej porcji dekadencji jest chora orgią jedzenia pyszności, jednak świat Narratorce u Moshfegh serwuje, owszem, nadmiar, ale koszmarów. Jeśli jesteś młodą atrakcyjną, mądrą i wrażliwą osobą w Nowym Jorku, to już się o ciebie martwią. Narratorce, absolwentka znakomitego amerykańskiego uniwersytetu, decyduje się na pracę w galerii sztuki. Miło? To już może było u jakiegoś Woody’ego Allena, ale to jest wiek XXI w. Szeftowa teje galerii uprawia coś na kształt pięcioboju mobbystycznego. Hejtuje, drwi, wyśmiewa, zamęcza, bezustannie poprawia pracowniczkę i na scenie tworzy kreację lewackiej suczy-komendantki opętanej z jednej strony poprawnością polityczną, a z drugiej chęcią zysku.

W pracy zatem naszej Narratorce nie wyszło, więc może OK będzie chociaż w miłości. Niestety nie, Narratorce wyla się w toksyczną relację z bardzo białym

corpomenedżerem, który sprawdza się co prawda jako sporadyczne pogotowie seksualne, ale krzywdzi naszą wątłą dziewczynę brakiem uczucia, a po paru latach, jak to z toksycznymi związkami bywa, pan coraz bardziej ją upodla, a ona coraz bardziej daje się uprzedmiotawiać. Rodzice? Uff. Lepiej nie mówić, bo tworzą parkę rodem z Zanusiego i Osieckiej. Matka pije, ojciec eskapistycznie pograża się w odmętach badań humanistyczno-moralnych, by przedwcześnie zgasnąć na raka. Córka gdzieś tam pałęta się niezauważona i zajmuje się głównie wypieraniem. A wypieranie, jak wiadomo, gwarantuje bezsenność i inne efekty uboczne.

Ani przyjaźń, ani życie społeczne nie układają się Narratorce. Nic w tym Nowym Jorku jej nie cieszy, sporadyczny uśmiech na jej twarzy gwarantują pigułki. Na jej życzenie przepisywane w hurtowych ilościach przez wiecznie zaczącą „terapeutkę” działającą na pasku koncernów farmaceutycznych. Dawkę nieszczęść w tej nowojorskiej kanapce z makabry ratuje widzem groteska. Pozbawiony językowych zdobioń język pisarka doprawia czarnym humorem. Nie jest to czarny humor, znany z poezji Macieja Zembatego („W prosektorium najweselej jest nad ranem”), tylko autoironiczne prześmianie naszego losu.

My sami – ludzie, a nie zwierzęta czy przyroda – czynimy planetę miejscem przemocy. Trauma, jakie spotykały Narratorce w dzieciństwie, gonią te dziejące się globalnie. Moshfegh to pokolenie traumy po ataku na World Trade Center. Z symbolu kapitalistycznego wyzysku (amerykańskiego snu?) stają się symbolem porażki „amerykańskiej wojny z terroryzmem” i gadki o „imperium dobra”. Apoteozą dramatu, w którym przychodzi żyć Narratorce, są sceny, które to pokolenie ma wciąż pod powiekami – ludzie wyskakujących z płonących wieżowców. Lepiej się wylogować, niż umrzeć w płomieniach.

Sama Narratorce też próbuje wylogować się z tego świata, tak jak wiele jej rówieśniczek. Chce zapaść w sen, wziąć urlop od życia. Na trudne czasy zimna i głodu niektóre ssaki mają sprawdzony sposób – hibernację. Kłopot w tym, że zwierzęta nie uzależniają się od pigułek na bezsenność, a ta ostatnia jest jedną z kilku epidemii drążących nasz świat. Poza tym bezsenność i uzależnienia są u Moshfegh chorobami przenoszonymi rodzinnie. Jestem pełna podziwu dla aktorki Izabelli Dudziak, odtwórczyni roli Narratorce. Zblazowanie, wytresowany w dzieciństwie dystans, mina kochanki męczennicy, mina pokolenia wielkiej rezygnacji – poruszyły mnie, osobę z miną wiecznie sceptycznej bywalczyń Teatru Dramatycznego. Zrobiłam dobrą minę do dobrej gry.

AGATA PASSENT



Podpisano

WMuzeum Warszawy trwa wystawa Mo-sze Worobejczyka. W gazetach piszą, że to na nowo odkryty geniusz awangardowej fotografii. Taka formuła mówi dużo o artyście i trochę o nas. W listopadzie i grudniu trzeba geniusza, żeby wyciągnąć publiczność z domu. A do wyboru jest jeszcze Picasso w Narodowym (nie wspominając o Immersyjnym van Gogh w hali na Kamionku). Kto zdecyduje się na wystawę Worobejczyka, nie będzie zawiedziony. Zobaczmy fotografie z Paryża i Otwocka. Pocztywki z Dessau, zdjęcia z Masady, chałucową mandałę z kalafiorów na warszawskim Grochowie. W gablocie leży także pożółkły egzemplarz magazynu „Naokoło Świata” z 1931 r.

W internecie jest już prawie wszystko, więc któregoś wieczoru znalazłem skany magazynu „Naokoło Świata”. Jednak zamiast oglądać ilustracje, zacząłem czytać podpisy. Relacje między słowem i obrazem zawsze są napięte. Tutaj nie obowiązuje traktat o dobrym sąsiedztwie. Jedno zdjęcie potrafi spustoszyć połączenie opisu. Linijka tekstu uzurpuje sobie władzę nad całym terytorium zdjęcia.

Ktokolwiek układał podpisy w magazynie „Naokoło Świata”, znał się na tej robocie. Był skrupulatny i dokładny. Pod zdjęciem przedstawiającym pakowanie ogórków do skrzynek pisał: „Pakowanie ogórków do skrzynek”. Czasem wołał błysnąć aforyzmem. „Kaźda rzecz ma swoją odwrotną stronę. Ma ją i... frak”. Cechowała go – lub ją – profesjonalna rzetelność. „Cadyk z Czortkowa. (Zdjęcie przypadkowe, gdyż przepisy religijne nie pozwalają mu pozować do fotografii)”. Przykłady humoru pominię („Oj rety! co to?”).

Pewne wyzwania musiały stanowić portrety gwiazd kina. Każdy numer pisma wymagał pół tuzina uwodzieńskich zdań lub bezokoliczników. Dominowała w nich konwencja okulistyczna. „Figlarne spojrzenie”, „Drapieżne spojrzenie”, „Twe oczy mnie urzekły”. Trafiły się także „Niezwalczone pęta”, „Uroczę rybaczek z Kalifornii” lub enigmatyczne „Ona ma coś”.

A potem to coś się zacięło. Urlop? Strajk? Może wypalenie zawodowe? W numerze 89. redakcji przyszło wezwać na pomoc czytelników i ogłosić „Konkurs na najlepszy podpis do fotografii”.

Na zdjęciu Irena Gawęcka przesuwiała małym palcem po zmysłowo rozchylnych ustach. Możliwe, że obgryzała paznokcie. (Skan był kiepskiej jakości). Retuszer się nie spisał. Rzęsy artystki wyglądały jak wiązka różeg. Za to oko! Istny księżyc na sepiowym nieboskłonie. Lampka w pokoiku na Hożej. Z daleka widać, że to dzieło samego Benedykta Jerzego Dorysa.

Zrobiło się późno, ale musiałem jeszcze sprawdzić, co się stało z Ireną Gawęcką. Wikipedia przyniosła złe wieści. „Dobrze zapowiadająca się kariera aktorska Gawęckiej nie rozwinęła się w epoce kina dźwiękowego”. W 1930 r. aktorka zagrała epizod w filmie „Wiatr od morza”. „Nie zachowały się żadne informacje, aby po tej produkcji wystąpiła jeszcze przed kamerą (...). Brak też informacji o życiu Gawęckiej w latach 30. i 40. Po wojnie zamieszkała we Francji, gdzie zmarła 23 października 1982 r. w miejscowości Le Chesnay”.

Teraz zamiast spać, wyładowałem w Le Chesnay. Zdjęcia wykonano w sierpniu 2020 r. Tego dnia musiał panować upał. Trwały jakieś prace drogowe. Serwis Google Maps zadbał o ochronę wizerunku: robotnikom wyparowały głowy, twarze przechodniów zostały starannie zamazane. Jest tajemniczą sztucznej inteligencji, dlaczego zamazała również łyżkę koparki (możliwe, że w przybliżeniu pareidolii dostrzegła w niej ludzkie rysy). Poza tym miasto jak miasto, parterowe domy, połatany asfalt, blisko do Paryża. Internet nie miał żadnej odpowiedzi, co mogła tam robić gwiazda filmu „Ponad śnieg”.

Na 79. stronie magazynu „Naokoło świata” uprzedmiotowiona i wyretuszowana Irena wciąż czekała na podpis. Na marginesach ktoś zanotował swoje propozycje. Mały festiwal patriarchalnych projekcji. „Czy on mnie kocha?”, „Ciekawam, co on o mnie myśli?”, „Ciekawam, czy jestem ładna?”, „Myślę, że ci się podobam”, „Co mi zrobisz?”. Pismo było energiczne i niewprawne, litery przypominały rozwiązane sznurowadła. („Czy mi się opłaci?” – dodał już ktoś inny, z bardziej wyrobionym i cynicznym charakterem).

Tymczasem nieznana osoba wyraźnie się rozbistwiła. Zaatakowała kolejne strony. Nie czekała już na oficjalne zaproszenie. Pod „Patetycznym gestem” (naga modelka w pozie przysięgi) proponowała swoje „Wołanie o pomstę”. Tam, gdzie redakcji wystarczył „Czupurek” (kędzierzawy malec wyraźnie czymś zdziwiony), pytała: „Co oni tam robią?”. Raz okazała jawną agresję wobec modelki z kosmykami w stylu Josephine Baker. Skreśliła słowo „Dziewczyna” i nasmarowała coś nieczytelnego. Siermięga? Finlandia? Limanda – inaczej zinnica to gatunek ryby flądroształtnej z rodziny flądrowatych – podsunęła Wikipedia.

Przywykliśmy do internetu. Zawsze jest obok. Ta cyfrowa zawieszina, ten przypadkowy i dziwaczny rodzaj nieśmiertelności, w którym mają swój udział Mo-sze Worobejczyk, Atelier Dorys, aktorka Irena Gawęcka, redaktorzy pism ilustrowanych, pracownicy merostwa Le Chesnay. I nawet ta nabazgrana limanda. (A swoją drogą, każda ze wspomnianych osób bardziej zasługuje na uwagę niż urzędnicy dwutygodniowego rządu RP).

MARCIN WICHA

Chutnik



Plebanek



Pasmo kobiece

Widzę cię w paśmie kobiecym. A ciebie w podróźniczym” – pierwsze zdanie skierowano do Grażyny, drugie do jej kolegi po piórze. Odparła, że widzi się w drugim paśmie, bo jest podróźniczką, była w Kongu i o nim napisała powieść. A na co dzień mieszka w Brukseli, zatem kursowanie między krajami, kulturami, językami jest jej chlebem powszednim. W toku konwersacji okazało się jednak, że to nie ma znaczenia, bo literaturę, spotkania z pisarkami i pisarzami czy festiwal literacki trzeba jakoś sprzedać. A do tego najlepiej nadaje się przymiotnik „kobiecy”.

„Czy jako mężczyzna również mogę sięgnąć po pani książkę?”, zapytał z kolei Sylwii inny mądrała. Umysł zatkanął mu się na informacji, że tekst został napisany przez kobietę i jego bohaterkami są m.in. kobiety.

Opadanie rąk i zgrzytanie zębami nie oddają tego, co dzieje się z człowiekiem piszącym, który widzi przed sobą ciasnotę szufladki z napisem „literatura kobiet”. Ta etykieta jest jak plotka, ani tego odmyć, ani odskrobać. Relikt w postaci definiowania pisania jako literatury kobiecej, niezależnie od tego, o czym autorka pisze, jest ewenementem społecznym, który nie ma swojego odpowiednika w innych zawodach. Nie istnieje kobieca stomatologia, prawo kobiece czy kobiece dziennikarstwo, które różni się od zwykłego tym, że zajmują się nim dentystki, prawniczki czy dziennikarki. Oczywiście ważne jest doświadczenie zależne od naszej płci kulturowej i tego, w jaki sposób wypychają nas w szufladki społeczne stereotypy. O tym mówić trzeba – krytycznie. Ale tworzenie kobiecego getta tylko dlatego, że łączy nas płeć biologiczna to absurd.

„Czy będzie też pasmo męskie?”, zapytała Grażyna, ale odpowiedziała jej cisza. „Pasma kobiece” konieczne, ale już nie „pasmo męskie”. Bo mężczyźni mają zainteresowania, a my mamy kobiecość, okopcony gar, w którym bulgoczą kosmetyki, okres, botoks i depilacje. Wystarczy wejść do popularnej sieci salonów prasowych. Przy oznaczeniu „pisma dla panów” znaleźć można serię zdjęć gołych pań. Aha, czyli jednak się nami interesujecie? Podobnie jak autami, motorami, wędkami czy innymi użytkowymi przedmiotami. Świetnie!

My zajmujemy się sobą, a mężczyźni światem – jeżdżą lub nie jeżdżą, ale wiedzą, bo myślą. My mamy głądź o miłości, mężczyźni o egzystencji. My o ubraniach, oni o kryzysach ludzkości. A kiedy krzyczymy, że ten podział to czysta dyskryminacja, słyszymy, że przesadzamy i za grosz nie mamy poczucia humoru.

Rozumiemy, że produkt z nalepką „kobiecy” łatwiej sprzedać. Kobiecey w naszej kulturze wciąż oznacza ładny, łatwy, dostępny. Jednak literatura to nie tampon, a książek napisanych przez pisarki nie czytają wyłącznie inne kobiety, ale również mężczyźni. A może się mylimy, może nie wypada facetowi czytać powieści pisanych przez autorki?

Za to kobiety czytają wszystkich, niezależnie od biologicznej płci twórcy czy twórczyni. Fakt, że kanon literacki przez poprzednie wieki był męski, a pisarki dołączyły do niego stosunkowo niedawno, ale to nie oznacza, że ich nie było. Tyle że nie traktowano ich poważnie. I chociaż teraz częściej zwraca się uwagę na liczbę kobiet nominowanych do nagród, zasiadających w jury literackich czy będących naczelnymi pism, to wciąż trzeba się z tego tłumaczyć.

Szufladkowanie, profilowanie, targetowanie, upupianie to specjalność rynku. Książka jest coraz trudniejszym towarem do upłynnienia, więc występują przypadki chwywania się brzytwy i wsadzania do worka „literatury kobiecej” również tych pisarek, które piszą i o mężczyznach, czasem brutalnie, zajmując się tematami, które są uniwersalne. Ale nie są paniami, więc na festiwalu literackim czyha na nie pasmo kobiece, w którym muszą opowiadać, jak to dają sobie radę, godząc rolę pisarki i matki. Pisarzom nikt takich pytań nie zadaje. Prywatnie wtręty w ich przypadku mogą dotyczyć walki z nałogami, które przekuło się na specjalizację męską.

Podwójne standardy mają się świetnie nie tylko na rynku literackim, ale i w świecie akademickim. Niestety, podtrzymują je czasem instytucje dotowane z pieniędzy podatników, które powinny być oazami postępowego myślenia. Uczelnie wyższe organizują debaty, zapominając często o naukowczyniach. Zwróciły na to uwagę sygnatariuszki listu otwartego ze Śląska, m.in. pisarka i działaczka społeczna Anna Cieplak. W debatach publicznych na tematy uniwersalne zwykle obradują panowie, a panie, te „Kasieńki” i „Basieńki”, mogą co najwyżej zrobić szacownemu gronu kawki.

Zbyt często panele bywają man-elami, a kiedy kobiety o tym głośno mówią, psują atmosferę. O co nam znowu chodzi, przecież są WAŻNE SPRAWY do omówienia. Tymczasem nam, jak zwykle, chodzi o podmiotowość. O wyjście z klaustrofobicznego pudełka stereotypów. O kontynuowanie pracy naszych prababek, dzięki którym możemy mieć prawa obywatelskie i zabierać publicznie głos. I to nie tylko w związku z „kobiecyymi sprawami”.

Nie chcemy być spychane na boczny tor. Chcemy mówić o literaturze, bo piszemy książki, o nauce, bo znamy się na swojej pracy i jesteśmy dobre w tym, co robimy. Nie życzymy sobie być definiowane na rynku pracy przez biologiczną płeć. Tak jak pisarzy nie określa męskość.

To wstyd, że w 2023 r. musimy nadal o tym przypominać. Gazeta, której egzystencja zależy od ilości sprzedanych egzemplarzy, walczy o temat botoksu w sektorze dla pań, a zwyczajnie szczupaka w prasie dla panów. Ale od instytucji kultury i nauki wymagamy, żeby rozwijały społeczność, a przynajmniej, żeby go nie cofały w zeszłe stulecia.

GRAŻYNA PLEBANEK, SYLWIA CHUTNIK

PRENUMERATA

najchętniej czytane
polskiego tygodnika opinii
dla firm i instytucji

Klasyczne, papierowe wydanie
dostarczane co tydzień wprost
do Twojej firmy/instytucji.



Zamów już dziś:

GLM sp. z o.o. (Warszawa i okolice)
– również dla prenumeratorów indywidualnych
tel. 22 649 40 80
prenumerata@glm.pl
www.glm.pl/oferta/prasa

KOLPORTER sp. z o.o.
tel. 41 367 88 88
prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl
www.kolporter.com.pl

Poczta Polska SA
www.prenumerata.poczta-polska.pl
Zamówienia przyjmują urzędy pocztowe i listonosze.

[DO I OD REDAKCJI]

REKLAMA



Słowo o DPS-ach

Chciałem odnieść się do opinii wyrażonych w wywiadzie z panią Justyną K. Ochędzan opublikowanym w 49. numerze POLITYKI pod tytułem „Radość na starość”. Zgadzam się z główną tezą artykułu, że system opieki instytucjonalnej w Polsce wymaga inwestycji w środowiskowe formy wsparcia. Jednak Domy Pomocy Społecznej nie stoją na przeszkodzie tym zmianom. Jako całodobowe instytucje opieki pełnią w tym systemie ważne zadania i dla wielu osób o szczególnych potrzebach opiekuńczych są jedynym miejscem, gdzie mogą uzyskać opiekę dostosowaną do ich potrzeb i stopnia niesamodzielności. Warto o tym pamiętać, przedstawiając wizję społecznych reform w tym obszarze.



Jednocześnie zwracam uwagę na język prezentowanych opinii. Słowa o „moločowatych DPS-ach, w których zamyka się ludzi z różnymi ograniczeniami jak w zoo” oraz o DPS-ach i ZOL-ach jako „umieralniach” są nie do przyjęcia. POLITYKA zawsze była forum swobodnej wymiany myśli i dyskusji, za co od lat zyskuje szacunek czytelników. Jednak wolność komunikacyjna nie może iść w parze z brakiem szacunku dla ludzkiej godności. Słowa te były krzywdzące dla mieszkańców Domów, dla ich bliskich oraz pracowników tych instytucji. Ci ostatni z profesjonalizmem i zaangażowaniem wykonują swoje obowiązki, a w czasie pandemii często pracowali z narażeniem zdrowia i życia.

PROF. UAM DR HAB. RYSZARD NEEEL



© JAN KOZŁA

W 10. rocznicę śmierci

Jana Bijaka

spotkamy się 4 stycznia 2024 r. o godz. 14
przy Domu Przedpogrzebowym Cmentarza Północnego
w Warszawie przy ul. Wóycickiego 14 (Wólka Węglowa),
by razem udać się na grób.
Córka Anna i przyjaciele

Najmłodszy poseł

W numerze 48. błędnie poinformowaliśmy, że najmłodszym posłem w trwającej kadencji Sejmu jest Michał Gomoła z PSL. Najmłodszy jest 24-letni **Adam Gomoła** z formacji **Polska 2050** Szymona Hołowni. Poseł debiutuje i prezentował z mównicy sejmowej pierwszy projekt swojej partii: w sprawie



wypadającej w Wigilię niedzieli handlowej. „Co rusz słyszę uwagi pod adresem mojego wieku, a ja przy zachowaniu posłów czuję się, jakby to były klasy 1–3 w podstawówce”, ripostował, zagłuszany w sali plenarnej. Początki wskazują, że będzie posłem aktywnym. A my za pomyłkę bardzo przepraszamy, czytelnikom zaś dziękujemy za czujność.

REDAKCJA

Administratorem Państwa danych osobowych jest Polityka Sp. z o.o. SKA z siedzibą w Warszawie 02-309, ul. Słupecka 6. Państwa dane osobowe będą przetwarzane w celu udzielenia odpowiedzi na Państwa listy i mogą zostać opublikowane w tygodniku POLITYKA, chyba że Państwo zastrzegli ich nieujawnianie (art. 15 ust. 2 pkt 1 ustawy Prawo prasowe).

POLITYKA

WYDAWCA POLITYKA Spółka z o.o. SKA
ADRES ul. Słupecka 6, 02-309 Warszawa

RECEPCJA GŁÓWNA

tel. 22 451-61-33, 451-61-34;
tel./faks 22 451-61-35

ADRES INTERNETOWY www.polityka.pl

POCZTA ELEKTRONICZNA polityka@polityka.pl

PREZES I REDAKTOR NACZELNY

Jerzy Baczyński
tel. 22 451-60-00, tel./faks 22 451-60-10

CZŁONKOWIE ZARZĄDU

Joanna Sołska,
Mariusz Janicki,
Wiesław Władysław

Z-cy REDAKTORA NACZELNEGO

Mariusz Janicki (Pierwszy Zastępca),
Witold Pawłowski, tel. 22 451-60-03
Łukasz Lipiński (wydania cyfrowe)

SEKRETARZ REDAKCJI

Artur Podgórski
Agnieszka Mazurczyk (asystent),
tel. 22 451-60-39;
Malwina Dziedzic (redaktor działu Opinie)

REDAKTOR WYDANIA

Olga Jędrzejczak tel. 22 451-60-22

Wydania specjalne:

Leszek Będkowski tel. 22 451-60-15
Jolanta Zarembina tel. 22 451-61-40

DZIAŁY REDAKCYJNE

RECEPCJA tel./faks 22 451-60-37/38

DZIAŁ POLITYCZNY I KOMENTARZYSZ

Mariusz Janicki (kier.),
Anna Dąbrowska, Rafał Kalukin,
Adam Krzemiński, Paweł Reszka,
Ewa Siedlecka, Adam Szostkiewicz,
Wiesław Władysław, Jacek Żakowski

DZIAŁ KRAJOWY

Jacek Kowalczyk (kier.),
Martyna Bunda (z-ca kier.),
Ewa Wilk (koment.),
Zbigniew Borek, Joanna Cieśla,
Juliusz Cwieliuch, Edyta Gietka,
Katarzyna Kaczorowska,
Marcin Kołodziejczyk,
Violetta Krasnowska,
Marta Mazus, Joanna Podgórska,
Piotr Pytlakowski, Ryszarda Socha,
Agnieszka Sowa

DZIAŁ EKONOMICZNY

Joanna Sołska (red. działu),
Adam Grzeszak, Cezary Kowanda,
Marcin Piątek

DZIAŁ ZAGRANICZNY

Witold Pawłowski (kier.),
Łukasz Wójcik (z-ca kier.),
Marek Ostrowski (koment.),
Artur Domosławski, Jagienka Wilczak,
Jędrzej Winiecki
współpraca: Tomasz Walat (Sztokholm),
Tomasz Zalewski (Waszyngton)

DZIAŁ KULTURY

Bartek Chaciński (kier.),
Aneta Kyzioł (z-ca kier.),
Jakub Demiańczuk,
Mirosław Pęczak, Piotr Sarzyński,
Justyna Sobolewska, Dorota Szwarzman,
Janusz Wróblewski

DZIAŁ NAUKA/PROJEKTPULSAR.PL

Karol Jalochocki (kier.),
Katarzyna Czarnačka (z-ca kier.),
Marcin Rotkiewicz,
Edwin Bendyk (koment.),
Agnieszka Krzemińska, Paweł Walewski

DZIAŁ HISTORICZNY

Marian Turski (kier.), Tomasz Targański

STALI FELIETONIŚCI

Jan Hartman, Sławomir Mizerski,
Stanisław Tym, Marcin Wicha

DZIAŁ PROJEKTÓW SPECJALNYCH

Zofia Leśniewska, tel. 22 451-61-93

DZIAŁ DOKUMENTACJI

Iwona Kochanowska (kier.),
tel. 22 451-61-44, tel./faks 22 451-61-37

PION CYFROWY

Joanna Chmielecka (dyr.)
POLITYKA.PL Łukasz Lipiński (szef serwisu),
Zbigniew Pendel (z-ca),
Aleksandra Żelaznińska (z-ca, media
społecznościowe), tel. 22 451-87-88,
Norbert Frątczak, Anna Kowalska,
Agata Szczerbiak, Agnieszka Zagner

WYDANIA CYFROWE

Anna Dobrowolska (red. prow.)

GRAFIKA I TECHNIKA

DZIAŁ GRAFICZNY Joanna Mucha (kier.)

DZIAŁ FOTO Wojciech Leliński (kier.)

KOREKTA Zofia Kozik (kier.)

ADMINISTRACJA, FINANSE

RECEPCJA tel. 22 451-60-89,

Jadwiga Kucharczyk (dyr.),

Halina Cibor (gt. księgowo)

PION WYDAWNICZY

Piotr Zmelonek (dyr.), tel. 22 451-61-85

Anita Brzostowska (z-ca dyr.)

DYSTRYBUCJA

Marcin Paśnicki (kier.), tel. 22 451-61-92

PROMOCJA Dominika Nowak-Kajitowska,

tel. 22 451-62-02

DZIAŁ IT

Piotr Filipowicz (kier.)

BIURO REKLAMY

RECEPCJA tel. 22 451-61-36,

e-mail: reklama@polityka.pl

Izabela Kowalczyk-Dudek (dyr.),

Julian Sobiech (reklama cyfrowa)

ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ REDAKCJA PONOSI

ODPOWIEDZIALNOŚĆ W GRANICACH WSKAZANYCH

W UST. 2 ART. 42 USTAWY PRAWO PRASOWE

PRENUMERATA PAPIEROWA

www.sklep.polityka.pl

Infolinia: tel. 67 210 86 30,

e-mail: infolinia@polityka.pl

Monika Grabowska,

tel. 22 451-61-00, 451-61-15

e-mail: prenumerata@polityka.pl

PRENUMERATA CYFROWA

www.polityka.pl/cyfrowa

Infolinia: tel. 22 336-75-80,

e-mail: cyfrowa@polityka.pl

Konto: POLITYKA Spółka z o.o. SKA

BGŻ BNP Paribas S.A.

18 1750 0009 0000 0000 1004 2763

SWIFT: RCBWPLPW

Sprzedż bezumowna numerów aktualnych

i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej

przez Wydawcę jest zabroniona, nielegalna

i grozi odpowiedzialnością karną.

COPYRIGHT © POLITYKA SPÓŁKA Z O.O. SKA

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Dalsze rozpowszechnianie artykułów

opublikowanych w POLITYCE jest zabronione.

Przedruki: Justyna Sadowska,

tel. 22 451-61-50,

e-mail: przedruki@polityka.pl

DRUK Quad

PBC

PRINTED IN POLAND

www.izbaprasyl.pl

lepa

passion
process
technology

BIURO KONTROLI DZIAŁA

REKLAMA



POSZERZAMY HORYZONTY

Naukowe miesięczniki

POLITYKI

Grudniowe numery w kioskach i na sklep.polityka.pl
Prenumerata cyfrowa obu tytułów: projektpulsar.pl

p u l s a r

W okolicy świąt wszystko ma być „zbożonarodzeniowane”, słowem: już z daleka ma pokazywać, że nadchodzi ta konkretna wesoła okazja, nie do pomylenia z innymi.

T R E N D

Zbożonarodzeniowani

Dekorowanie domu i nas samych na Boże Narodzenie to gesamtkunstwerk dostępny dla mas. Co więcej, ów pakiet działań związanych z estetyką jest pociągający także dla niechrześcijan, którzy praktykują go w oderwaniu od kontekstu religijnego. W Wigilię wszystko ma być „zbożonarodzeniowane”, słowem: już z daleka ma pokazywać, że to ta właśnie wesoła okazja, a nie, dajmy na to, hinduistyczne diwali, kiedy ludzie obrzucają się farbami i pigmentami w dowolnych kolorach, zmieniając ulice w dzieła Jacksona Pollocka. Boże Narodzenie jest bardzo charakterystyczne, choć operuje skromniejszą paletą kolorów: głównymi (czerwienią i zielenią) i dodatkowymi (białą, srebrem i złotem).

Dlaczego akurat te dwa główne kolory są dziś wyrazem „bożonarodzeniowości”, a nie, dajmy na to, purpurowy i złoty? Boże Narodzenie jest ciekawym przykładem tego, jak anglosaskie obrazowanie wsparte narzędziami dostarczonymi przez rewolucję przemysłową (tanim drukiem, marketingiem i logistyką) wpłynęło na widzenie tej akurat tradycji w prawie całym chrześcijańskim świecie. Św. Mikołaj, grecki biskup Damaszku, przeszedł pewną transformację. „Napisany” na prawosławnych ikonach był chudym, łysym ascetą bez nakrycia głowy, za to z aureolą. Pod koniec XIX w. narysowano go już jako siwego jegomościa w zielonym surducie. Transformacji świętego dopełniła namalowana w 1931 r. przez Haddana Sundbloma reklama prasowa pewnego amerykańskiego napitku smakującego jak przesłodzony syrop. Na pewno się państwo domyślają, o jaką korporację mi chodzi.

I tak biskup asceta znad Morza Śródziemnego stał się tłusciutkim zawiadowcą gangu elfów z dalekiej północy. Producent napoju i moc jego marketingu przypięczętowały na zawsze wizerunek św. Mikołaja, a wraz z nim kod kolorystyczny głębokiej zieleni (surduuty elfów) i czerwieni chałata oraz lamowanej runem czerwonej czapki.

Dziś czerwień i zieleń w różnych formach znajdziemy zwłaszcza w dekoracjach papierowych i tekstyliach. Będą



Jakub Szczęśny – architekt, twórca instalacji umieszczonych w przestrzeniach publicznych. W 2012 r. w wąskiej szczelinie między blokiem a kamienicą na rogu warszawskich ulic Chłodnej i Żelaznej postawił Dom Kereta, którego projekt potem trafił do kolekcji stałej MoMa w Nowym Jorku. Do 2 czerwca 2024 r. trwa jego wystawa retrospektywna w Muzeum Miasta Gdyni.

to papierowe gwiazdy, serwetki, obrusy, narzuty, poszwy na poduszki na kanapie, a nawet specjalnie zmieniane na tę okazję zasłony w szkocką kratę. W ramach najnowszych trendów warto wymienić trzy, również przybyłe z USA. Pierwszy to podkreślanie we wnętrzu antyków, na przykład radia rodem z teledysku „Radio Ga-Ga” grupy Queen. W końcu do pojawienia się telewizji to radio służyło do rodzinnego słuchania seriali pisanych pod bieżące okazje, w tym właśnie święta. Drugi to dekoracje z owoców i gałązek: jako że grudzień to czas pomarańczy, ich pojawienie się wprowadza do czerwono-zielonego schematu dodatkowy kolor. Trzeci jest najciekawszy, inspirowany *furoshiki*, japońską praktyką dawania nowego życia odpadom tekstylnym. Robi się z nich fantazyjne opakowania na prezenty, służące latami zamiast klasycznego papieru.

Pod wpływem tradycji zza oceanu święta wylewają się coraz bardziej przed nasze domy w formie iluminacji, stojących na trawnikach kiczowatych figur i obwieszonych plastikiem choinek. Dalej, za furkami naszych posesji, czeka już reszta świata, którą kolonizujemy „ekspresjami mobilnymi” w postaci przerażających swetrów i udających rogi reniferów nakładek na lusterka naszych aut.

Czy da się uciec od tego zalewu kiczu i plastiku? Tak! Na szczęście w formule każdego święta, nawet tych najbardziej obwarowanych nakazami religii i rytuałów i zawłaszczonych przez konsumpcjonizm, jest miejsce na lokalność i osobistą, tudzież grupową kreatywność. Ba, nawet na daleko idącą sprawczość. Przygotowanie do świąt, obchodzonych też przez coraz bardziej sekularną populację naszego kraju, to przede wszystkim czas cementowania wspólnoty i przekazywania wiedzy między pokoleniami. Gotowanie posiłków, sprząatanie domów i ich dekorowanie, ubieranie choinki i nas samych to dla wielu czas równie wzniosły, co samo świętowanie. A czasem najlepszy z prezentów. ■

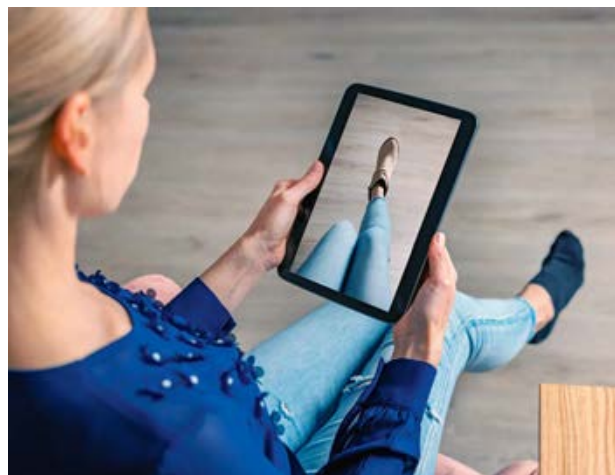
Wygeneruj mi prezent!

TECHNO

Produkty materializujące się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, kiedy tylko o nich zamaryzujemy? Prawie. Google chce ułatwić przeżywanie magii świąt bez słuchania „Last Christmas” z głośników galerii handlowych i góry nietrafionych prezentów.

Dzięki generatywnej sztucznej inteligencji w wyszukiwarce przeprowadzimy Cię przez cały proces zakupów – nawet najbardziej złożone i wymagające przemyślenia decyzje będą szybsze i znacznie łatwiejsze – głosi komunikat firmy. Technologiczny gigant z USA planuje wynieść zakupowe doświadczenia na nieco wyższy poziom. Google Search Generative Experience (SGE), czyli wersja wyszukiwarki oparta na AI, ma sprawić, że znajdziemy produkt, który sobie... wymyśliśmy. Jak? Użytkownicy będą mogli stworzyć za pomocą komend tekstowych fotorealistyczne obrazy i potem wykorzystać je do znalezienia rzeczywistych przedmiotów dostępnych online. Jeśli marzy się nam np. fioletowa kurtka w zielono-szare groszki, SGE wyszuka produkt najbardziej odpowiadający temu, który wygenerowała na jego potrzeby sztuczna inteligencja. Usługa ma być od grudnia dostępna na urządzeniach mobilnych w USA. Google planuje wdrożyć SGE w ponad 120 krajach na świecie, Polski na liście nie ma. Jeszcze.

Wizualizacja naszych marzeń za pomocą AI to kolejny krok w rozwoju SGE. To dlatego inteligentna wyszukiwarka Google została niedawno eksperymentalnie wzbogacona o bardziej precyzyjne i kontekstowe wyszukiwanie produktów. Szukanie prezentów też nigdy nie było równie proste.



Przykładowo: użytkownicy, którzy chcą sensownie obdarować zapalonych kucharzy, smakoszy kawy czy rękodzielników, a niekoniecznie mają wiedzę na te tematy, otrzymają zestaw treści i podkategorii, które pomogą im podjąć decyzję. Ułatwieniem podczas wyboru ubrań jest z kolei **wirtualna przymierzalnia**, właśnie rozszerzona o męskie modele. Bez wychodzenia z domu można sprawdzić, jak stroje rozmaitych marek leżą na sylwetkach różniących się kształtem, rozmiarem czy odcieniem skóry.

Brzmi jak świat rodem z przyszłości, gdzie wszystko jest możliwe, niemal sterowane myślą? Bo takie właśnie jest. Przynajmniej wirtualnie.

JOANNA TRACEWICZ

Mam tak samo jak ty

SŁOWO

Gdzie wam lepiej zdefiniują słowo „rel” niż w kraju **Czesława Niemena**? Gdzie tak dobrze zademonstrują wam na przykładzie tendencję do skrótowości w języku? W końcu cały pierwszy wers piosenki „Sen o Warszawie” – „Mam tak samo jak ty” – dałoby się dziś zapisać w formie trzyliterowego słowa: rel. Ten wers to właśnie jego najlepsza definicja. Rel – od ang. *relatable* albo *relate* – oznacza identyfikowanie się z jakimś wyrażonym w danej rozmowie poglądem, podpisywanie się pod czymś poglądem (podobnie jak dopisywane w komentarzu „+1”), wczuwanie się w czyjąś sytuację, a czasem po prostu zgodę lub potwierdzenie. Gdy ktoś opublikuje na forum zdanie „Chciałbym kogoś poznać”, odpowiedź „rel” wskazuje na to, że odpowiadający jest w tej samej sytuacji. A gdy ktoś opublikuje mema, rzucając: „Rel czy nie rel?”, to chodzi mu zapewne o wywołanie dyskusji na temat tego, czy inni się z nim identyfikują.

W ciągu kilku lat poznali to słowo niemal wszyscy polscy użytkownicy mediów społecznościowych. I zaczęli tworzyć nowe formy – choćby czasownik „relować”. Kiedy



zaczął się poprzedni rok szkolny, na TikToku ktoś wrzucił filmik z jakiegoś szaleńczego wyścigu z dopiskiem: „Ja 5 września, biegnąc po ostatnią ławkę”. Jeden z komentarzy brzmiał „reluję”. Bo wiadomo: w wyścigu po ostatnią ławkę zawsze bierze udział więcej osób, niż jest się w stanie w niej zmieścić. Są problemy z deklinacją. Relować można „do czegoś” („reluję do tego chłopa” pod ubranym w legginsy piłkarzem w jesiennej rundzie Ekstraklasy) albo „z czymś” („reluję z tym tekstem” pod piosenką Ralphi Kaminskiego) – na razie jeszcze jako społeczeństwo nie wynegocjowaliśmy jedynej właściwej formy. Relować z nami albo do nas, kraju Niemena, mogą tylko te narody, które znają blaski i cienie odmiany przez przypadki.

Żeby więc nie gmatwać, to jeśli chodzi o zwycięstwo „rel” w zakończonym niedawno plebiscycie na Młodzieżowe Słowo Roku 2023, mogę ogłosić krótko: reluję.

BARTEK CHACIŃSKI

MÓWIĄ RYMY

Twoją mamę lubi moja mama,
a ciebie lubią moje bestie,
Więc po co coś dłużej udawać?
Chodź się całować na back seat

Young Leosia, Cringowy Lovesong, 2023 r.

bestie = najlepsze przyjaciółki
back seat = tylne siedzenie



ILUSTRACJA BASIA DZIEDZIC

Wojna na kozetce

Kiedy wchodzimy w tryb samoobrony, to realistyczne rozumienie innych (i siebie) przestaje być możliwe. Cecha ta jest wspólna wszystkim ludziom. I zapewnia podstawowe paliwo wszystkim masowym konfliktom.

Zauważę, że tak niewiele uwagi poświęca się dziś rozumieniu stosunków międzynarodowych z perspektywy psychoanalitycznej. Dociekanie związków pomiędzy tym, co świadome i nieświadome, pomiędzy historią a psychologią dużych grup, jest naprawdę ważne – tak w wywiadzie mówił Justynie Dąbrowskiej Vamik Volkan, amerykański psychiatra, który działaniem na rzecz wzajemnego zrozumienia skonfliktowanych grup poświęcił większość swojego zawodowego życia.

Niezależnie od różnych zarzutów, jakie da się wobec tezy Volkana postawić – na czele z pytaniem o metodę aplikacji terapeutycznych wglądów w praktykę – jedno wydaje się pewne. Język psychoanalizy zwraca uwagę na inny wymiar konfliktu niż ten opisywany



Cveta Dimitrova
– ukończyła filozofię na UW i Studium Psychoterapii w Laboratorium Psychoedukacji. Założycielka ośrodka „Znaczenia. Psychoterapia”, współautorka podcastu „Nasze wewnętrzne konflikty” w TOK FM.

kategoriami geopolitycznymi czy ekonomicznymi. A mianowicie – na subiektywne doświadczenie wszystkich zaangażowanych jednostek.

W przypadku Volkana – Turka urodzonego na podzielonym Cyprze – osobista biografia miała zapewne niebagatelny wpływ nie tylko na przedmiot jego badań, ale i końcowe wnioski. Jego główna konstatacja brzmi: w przypadku intensywnych grupowych antagonizmów jednym z kluczowych czynników ryzyka jest potrzeba podtrzymywania grupowej tożsamości. Siła, z jaką potrzeba ta na nas oddziałuje, ujawnia inny niż perspektywa historyczna, polityczna czy prawna sens uporczywego trwania konfliktów.

W 2001 r. grupa zaangażowanych klinicystów, w tym sam Volkan, wystosowała do obu stron konfliktu izraelsko-palestyńskiego apel o zatrzymanie błędnego koła traumy i postępującej przemocy. Zdaniem autorów dewastujące efekty tego sporu to m.in. pętla upokorzeń, odwetu, zemsty, niepewności i niepokoju, utraty bliskich, dehumanizowania innych. Te słowa brzmią niepokojąco aktualnie także dzisiaj. Czy to dowód na prawdziwość słynnej tezy Freuda o przymusie powtarzania, czyli nieświadomej skłonności do ciągłego reprodukcji bolesnych, traumatycznych doświadczeń i okoliczności? Trauma w ogóle ma to do siebie, że w przeżyciu jest zawsze teraźniejszością. W jej wyniku reagujemy na przeszłe wydarzenia tak, jakby działały się tu i teraz – i wydaje się, że nie ma wyjścia z tego układu.

Narzędzia psychoanalizy pomagają jednak zrozumieć, że silna potrzeba ochrony tożsamości wzmacnia spiralę negatywnych emocji, w której skonfliktowane grupy trwają od lat. Te emocje zaś – zjawisko mocno subiektywne – mają charakter zakaźny. Kiedy więc zajmujemy w sprawie jakiegoś konfliktu wyraziste stanowisko, choć nie jesteśmy jego stroną, to także w nas odzywa się automatycznie potrzeba chronienia granic własnego świata: mentalnych, moralnych, psychologicznych. W nas wszystkich drgają struny narodowe, religijne, dotyczące przeszłości, historii, głębokich fundamentów „ja”. Nie oznacza to, że jesteśmy do nich koniecznie i na zawsze przywiązani, ale są to nitki, z których tkane są nasze „wewnętrzne modele operowania”. Kiedy przechodzimy w tryb samoobrony, realistyczne rozumienie innych (i siebie) przestaje być możliwe. To akurat cecha wspólna wszystkim ludziom. I podstawowe paliwo masowych konfliktów.

Oczywiście pełna neutralność czy obiektywizm, zwłaszcza wobec własnej grupy czy wspólnoty, jest nie tylko niemożliwa do osiągnięcia, ale często wręcz niewskazana. Izraelski psychoanalityk Emanuel Berman zwraca uwagę, że istnieją sytuacje, w których nawet na polu psychoanalizy „neutralność” byłaby moralnie naganna.

Nie jesteśmy w stanie uciec od konfliktów ani geograficznie, ani mentalnie. Na poziomie wspomnianego ciężenia ku mocnym tożsamościom czy obrony granic „ja” odzywają się w nas wszechobecne atawizmy. Być może o tym, kiedy śpią, a kiedy się budzą, decyduje splot przypadków i szereg nieuświadomionych przez nas czynników. Co nie oznacza, że nie powinniśmy się nad ich źródłami zastanawiać. ■



Czy van Gogh grałby w pokemony?

Holenderski geniusz nie ma szans w starciu z pokemonami. Od kiedy karty do tej słynnej japońskiej gry stały się obiektami kolekcjonerskimi, budzą wielkie emocje i osiągają zawrotne ceny.

Dyrektor generalna Muzeum van Gogha w Amsterdamie Emilie Gordenker tak tłumaczyła współpracę z Pokémon Company i sprowadzenie do świątyni sztuki kosmatych stworzków z japońskiej gry: „To pozwoli młodemu pokoleniu poznać sztukę i historię życia Vincenta van Gogha w odświeżający sposób”. Dyrekcja postanowiła uczcić tak 50-lecie istnienia muzeum. Wyszła z założenia, że sztuka holenderskiego mistrza jest niestrawna dla młodych i można ich do niej zachęcić tylko pod warunkiem dodania do niej czegoś ze świata zabawy, a najlepiej kultury masowej. Ze spuścizny malarza wybrano sześć obrazów, które przerobiono, umieszczając w nich wizerunki pokemonów. Miłośnicy sztuki nieco jęknęli, gdy okazało się, że do „pokemonizacji” wytypowano „**Autoportret van Gogha w szarym filcowym kapeluszu**” – ikonę i arcydzieło. Widzimy na nim twarz artysty rozedrganą w setkach pointylistycznych kresek, pełną wyrazu, z niewiarygodnie żywymi oczami. A teraz wersja à la van Gogh dla młodzieży: żółta, pękata mordka Pikachu patrzy na nas plastikowymi oczkami, nad którymi sterczy para króliczych uszu przebijających kapeluszu. Albo „**Stoneczniki**” – obraz tak znany, że nie trzeba go opisywać. W jednej z wersji zamiast kwiatu występuje śmiejąca się buźka pokemona Sunflory. Wszystkie sześć przeróbek powieszono na jednej, pomalowanej na żółto ścianie, tak że nie widziały się z oryginałami.

Już pierwszego dnia akcji „Pokemon x Van Gogh Museum” przed wejściem ustawiła się długa kolejka.



Katarzyna Rzehak

– historyczka sztuki, badaczka polskiego dizajnu, dziennikarka, wykładowczyni. Przez 10 lat była dyrektorką w Instytucie Wzornictwa Przemysłowego.

Do czego? Nie do obrazów van Goga, tylko do specjalnych kart promocyjnych z wizerunkiem Pikachu, najpopularniejszego z pokemonów. Tłum szturmował... sklepik muzealny. Szarpanina, wydzieranie sobie kart – takich scen muzeum nie widziało przez 50 lat istnienia. Van Gogh jest popularny, ale nie ma szans z pokemonami. Od kiedy karty do japońskiej gry stały się obiektami kolekcjonerskimi, budzą wielkie emocje i osiągają zawrotne ceny: kartę Pikachu Illustrator sprzedano ostatnio za 220 tys. dol. Rekordowe 5 mln 275 tys. dol. amerykański youtuber Logan Paul zapłacił przed rokiem za kartę PSA 10 Pikachu Illustrator. Kiedy analitycy jednej z platform inwestycyjnych prześwietlili transakcje kart kolekcjonerskich z pokemonami, okazało się, że mogą one przynieść procentowo większe zyski niż rzadkie edycje dóbr luksusowych: alkoholi, starych samochodów czy przedmiotów vintage. Karty w Muzeum van Gogha nie miały może szans stać się aż takimi rarytasami, bo to tylko gadzety towarzyszące wystawie. Ale kolekcjonerzy i tak uznali, że o nie też warto powalczyć.

Wystawa trwa do 7 stycznia 2024 r., ale po bójkach muzeum wydało oświadczenie, że wycofuje karty z Pikachu ze sklepiku. Kolekcjonerstwo, tak jak inne rozrywki warstw wyższych, zdemokratyzowało się i stało zabawą dla wszystkich. Kolekcjonowanie sztuki czy rzemiosła artystycznego to wyższa szkoła jazdy – trzeba oglądać, czytać, wertować katalogi aukcyjne, brać udział w licytacjach. Z pokemonami sprawa jest znacznie prostsza: wiadomo, że karty Pikachu Illustrator, tej najbardziej poszukiwanej, wydano tylko 39 sztuk, a w tej chwili na rynku jest dostępnych ledwie 10. Ale jest też wiele innych, tańszych, równie poszukiwanych. Można je licytować w online’owych domach aukcyjnych specjalizujących się w aukcjach kart, takich jak PWCC Marketplace, Goldin Auctions czy Heritage Auctions. Są aktywne grupy kolekcjonerów wymieniające się informacjami, a w końcu ogólnoswiatowe imprezy, jak coroczna Pikachu Outbreak w Jokohamie. Miłośników Pikachu jest wyraźnie więcej niż tych, którzy lubią van Gogha, co w żaden sposób nie dotyka sztuki genialnego Holendra – może tylko trzeba ją odświeżać ostrożniej. ■

Rijad to miejsce, w którym można i nie wychylić nosa z nowoczesnej dzielnicy biznesowej, i bawić się na całego w parku rozrywki, i zajrzeć na stare miasto, załazek dzisiejszego królestwa Arabii Saudyjskiej.



P O D R Ó Ż E

Królewskie miasto

Whali przylotów na lotnisku w Rijadzie wita przyjezdnych fontanna. Woda jest wszak niezbędna do przetrwania w surowych warunkach Półwyspu Arabskiego. Latem temperatury przekraczają tu 40 st., a całe życie społeczne przenosi się do klimatyzowanych budynków. Jak mówi właściciel jednej z włoskich restauracji w dzielnicy biznesowej, to najłabszy czas dla jego biznesu, bo inaczej niż w Europie latem nawet wieczorami mieszkańcy mało wychodzą. Najlepsza pora na wizyty w położonym na kamiennej pustyni Rijadzie to jesień, zima i przedwiośnie, gdy suchy klimat daje żyć.

Na wyjazd lepiej jednak nie pakować szortów i koszulek bez rękawów, ze względu na szacunek dla kultury ciało powinno być zakryte, szczególnie w trakcie zwiedzania bardziej tradycyjnych rejonów miasta, takich jak np. **twierdza Al-Masmak**. Zbudowana z gliny i cegieł błotnych w 1902 r., była jednym z kluczowych miejsc bitwy o Rijad, którą wygrał Abd al-Aziz ibn Su'ud, co stało się początkiem nowego państwa.

Po zwiedzaniu warto zajrzeć na okalający twierdzę *souk* i obejrzeć lokalne produkty, napić się saudyjskiej kawy (jasno palonej, żółtej i bardzo kardamonowej) albo zjeść sprzedawany prosto ze stolika mały domowy posiłek, za który można... zapłacić kartą. Jak nie



Ola Salwa
– absolwentka psychologii, dziennikarka z 20-letnim stażem. Píše o filmie, modzie i zjawiskach społecznych, konsultuje scenariusze, jest członkinią Europejskiej Akademii Filmowej.

u sprzedawcy, to w jednym ze sklepików obok. Nie kupimy tu za to ani nie wwieziemy alkoholu – inaczej niż w sąsiednich Zjednoczonych Emiratach Arabskich i jego centrum, Dubaju – tu panuje pełna prohibicja, a za jej złamanie grozi grzywna.

W nowoczesnej części miasta można ubrać się mniej restrykcyjnie, ale warto mieć ciepły szal, szczególnie jeśli ktoś zamierza wpaść do multipleksu, bo temperatura w sali jest odwrotnie proporcjonalna do emocji widzów. Kina i produkcja filmowa działają w Arabii Saudyjskiej dopiero od 2018 r., ale już z sukcesami. „Sattar”, którego bohater marzy o wejściu w świat zawodowego wrestlingu, przyniósł gigantyczne dochody.

Rijad otwiera się na świat. W ciągu jednego listopadowego tygodnia w stolicy odbywały się międzynarodowa konferencja krytyki filmowej, festiwal jedzenia czy marketingu, niezależnie od tzw. Sezonu Rijadzkiego, czyli po prostu serii rozrywek w parkach tematycznych, koncertów czy wyścigów. Te pierwsze, zwane bulwarami, to wielkopowierzchniowe parki rozrywki połączone z centrum handlowym pełnym zachodnich marek. W arcyluksusowym Via Riyadh obok butiku Eliah Saba czy Dolce & Gabbana znajdziemy m.in. kawiarnię Les Deux Magots, która, jak pamiętamy, była ulubioną miejscówką paryskich intelektualistów, takich jak Jean-Paul Sartre. Tutaj egzystencjalizmem się pewnie nikt nie zajmuje, raczej egzystencją na eleganckim, światowym poziomie.

Głód zachodniej popkultury jest tu widoczny na każdym kroku, a zarazem czuć przywiązanie do tradycyjnych wartości i religii. Mężczyźni najczęściej noszą biały strój i saudyjską białą-czerwoną chustę na głowie, zwaną ghutra, którą utrzymuje na miejscu czarny krządek agal. Kobiety w większości noszą czarne abaje, zakrywają twarz i włosy, ale nie jest to już obowiązkowe. Od 2018 r. mogą prowadzić samochód, pracować, pojawiają się na szkoleniach, ale do pełni praw, jakimi cieszą się Europejki czy Amerykanki, jeszcze im daleko. Pod względem swobód, jakie znamy z zachodnich demokracji, kraj rozwija się dużo wolniej i nie należy o tym zapominać. Saudyjczycy są uprzejmi, grzeczni i nienarzucający się. Pięć razy dziennie słychać śpiewane z meczetów wezwanie do modlitwy, łatwo też znaleźć rysunek z kiblą, czyli oznaczeniem kierunku, w którym muzułmanie się modlą – wskazuje świątynię Al-Kaba w Mekce.

Jednocześnie z targami i festiwalami wszelkiego rodzaju w eleganckim centrum konferencyjnym króla Abdula Aziza w listopadzie odbywał się Szczyt Saudyjsko-Afrykański, a także spotkanie państw islamskich i arabskich w sprawie sytuacji w Gazie, potwierdzając, jak ważną rolę w regionie pełni Rijad. To tu odbędzie się Expo w 2030 r., stolica królestwa walczy też o organizację mistrzostw świata w piłce nożnej w 2034. Na razie gola warto strzelić, zwiedzając to miasto, w którym przywiązanie do tradycji miesza się z pogonią za nowoczesnością. ■

Musujący zawrót głowy

Kiedyś tylko na sylwestra,
dziś na co dzień – wino
musujące podbija świat.

To już nie moda, to obsesja. I to już nie epidemia, tylko światowa pandemia. Praktycznie w każdym kraju rekordowo wzrasta sprzedaż i konsumpcja win z bąbelkami. W Polsce, która dotąd winami musującymi interesowała się umiarkowanie – duża część publiczności zadowolala się musowanym na krajowym podwórku, z importowanego surowca, Dorato – od paru lat sprzedaż bąbelków rośnie w rakietowym tempie 50 proc. rocznie.

Napędza ją przede wszystkim produkowane tańszą metodą zbiornikową prosecco (POLITYKA 36), ale na tym trendzie korzystają też szlachetniejsze wina musujące powstające metodą klasyczną, czyli szampańską. Normalne wino bez bąbelków przelewa się do butelki z dodatkiem drożdży i cukrów i szczególnie zamyka. W wyniku wtórnej fermentacji powstaje m.in. dwutlenek węgla, który rozpuszcza się w winie i tworzy ową tak cudowną dla naszych podniebień pienistość.

Odwiedziłem niedawno Rumunię, aby przyjrzeć się kondycji tamtejszych win. Winiarstwo rumuńskie prężnie się rozwija, pojawiają się prawdziwie dobre wina

białe z lokalnych odmian i czerwone, często z francuskich. Ale najciekawsze w wielkiej hali okazały się wina musujące. Choć Rumunia z nich nigdy nie słynęła, bo do ich produkcji – wedle stereotypu – potrzebny jest chłodny klimat, pozwalający zachować w winogronach wysoką kwasowość, a większość rumuńskich regionów – jak Banat i Cotnari, skąd pochodziły dwie najlepsze ze spróbowanych w Timiszoarze butelek – jest raczej ciepła.

Dziś to jednak nie przeszkoda. Popularne „bąbelki” czy „musiaki” chcą robić winiarze we wszystkich regionach, zimnych i gorących, bez względu na wszystko, bo tego po prostu wymaga rynek. Mamy więc wina musujące z tradycyjnej Gruzji, upalnego Santorini, uprzemysłowionego Chile; w bąbelki wchodzi z impetem regiony specjalizujące się w produkcji mocnych win czerwonych, jak Bordeaux czy Barolo (jego musująca pasierbica – Alta Langa – to najmłodniejsza panna na wydaniu w Italii). Respektu gromko domaga się Anglia, która musiaki produkowała już w XVII w., potem z uwagi na ochłodzenie klimatu je zarzuciła, a teraz ponownie rzuca wyzwanie Szampanii, wysokiej (choć jeszcze nie najwyższej) klasy winami. W kolejce do panteonu stoją Tasmania, włoska Franciacorta, niemieckie i austriackie sekty, jutro być może Kanada.

WPolsce też mamy niemal wszystko, co potrzebne do produkcji dobrej klasy bąbelków: winogrona, chłód i pragnienie. Nie mamy tradycji, ale ta się błyskawicznie tworzy. Krzysztof Fedorowicz z Winnicy Miłosz wskrzesił przedwojenną, jeszcze niemiecką tradycję zielonogórskich sektów. W jego ślady poszedł Francuz Guillaume Dubois z Winnicy Gostchorze, wokół którego w Krośnie Odrzańskim zawiązała się już ambitna grupa winiarzy zrzeszonych w tzw. Klubie 5, organizująca dynamiczny festiwal Muśnięci. Furorę robią powstające w Brzezinach pod Łodzią bąbelki Winnicy Smolis. Mamy też już jedną z najciekawszych na świecie ofert pét-natów, z arcyoryginalnymi dziełami Winnicy Jadwiga na czele. A to dopiero początki!

Wina musujące stają się też coraz bardziej różnorodne. Obok prosecco i „szampańskich” pojawiły się też pét-naty, powstające tzw. metodą pradawną (tylko jedna fermentacja, która kończy się w butelce, co daje lżejsze bąbelki i bardzo wytrawny smak). Winnica Biały Kruk wybrała zaś „metodę Merreta”, czyli klasyczną, ale z osadem w butelce. Mamy różne typy pośrednie – prosecco dojrzewające w zbiornikach kilka lat, nabierające szampańskiego bogactwa, i szampany leżakujące na osadzie kilkanaście lat. Różne blade jak biel i ciemne jak wiśnia. Wina lekkie jak muślin albo ciężkie, beczkowane, supergastronomiczne – bo bąbelki są idealne do jedzenia, od klasycznych ostryg po trudne w doborze potrawy, takie jak śledź, sushi czy gęś.

Zawrót głowy z bogactwa wyboru. Najwyższy czas z niego korzystać, nie tylko w sylwestra. ■



Wojciech Bońkowski

– pierwszy polski Master of Wine. Współtwórca portalu Winięciatywa i pisma o winie „Ferment”.

Amirault Crémant de Loire Brut Les Quarterons, 99 zł (wina.pl)

Winnica Aris Chardonnay & Pinot Brut, 100 zł (winnicaaris.pl)

Mas Candí Segunyola 2017, 109 zł (elcador.pl)

Reichsrat von Buhl Riesling Sekt Brut 2019, 139 zł (winecorner.pl)

Veuve Clesse Champagne Premier Cru, 152 zł (auchan.pl)

Szef „Do Rzeczy” Paweł Lisicki o komisji Cenciekiewicza i Zybortowicza (ds. wpływów rosyjskich): „Mimo najlepszej woli nie jestem w stanie uznać, że tak powinna działać rzetelna i bezstronna śledcza instytucja państwowa. (...) jak można wnosić z wielu wypowiedzi, członkowie komisji nie rozróżniali wyraźnie tego, co można uznać za błędną politykę wobec Rosji, od tego, co można określić mianem zdrady. Z faktu, że ktoś popełnia błąd w ocenie rzeczywistości, nie wynika, iż działa świadomie na rzecz obcego interesu. (...) Czasem dochodzę zatem do wniosku, że obce agentury nie muszą się specjalnie w Polsce wysilać”. Wystarczy, że działa prof. Zybortowicz.

Katarzyna w „Plus Minus”: „partia Jarosława Kaczyńskiego na odchodnym postanowiła dostarczyć dodatkowych powodów, żeby wykorzystać przeciwko niej wszystkie metody legalne, półlegalne, kontrowersyjne i te całkiem na rympał. (...) Kaczyński swoim stylem rządzenia praktycznie zostawił Donaldowi Tuskowi wolną rękę, bo naprawdę trudno sobie wyobrazić, co musiałby zrobić Tusk, żeby nie dało się tego usprawiedliwić argumentami, że przecież Kaczyński robił to pierwszy i bardziej. (...) Osobiście mam nadzieję na naprawdę solidne rozliczenie rządów Kaczyńskiego, ale w moim przekonaniu ma to przede wszystkim odstraszać ewentualnych naśladowców”. Nie odstraszy.

Politolog Jacek Kloczkowski nie jest optymistą w sprawie rozliczeń („Rzeczpospolita”): „Moim zdaniem górę weźmie typowa polska polityka, czyli retoryka, uderzanie w wysokie rejestry patosu i przesady oraz efekciarstwo. Sprawy zasługujące na wyjaśnienie zostaną wymieszane z takimi, które będą jedynie pretekstem do kolejnej awantury. Oczywiście poszczególni politycy zawsze twierdzą, że rozliczenia, którymi oni się zajmują, to te naprawdę potrzebne i robione na serio. Ale tylko niektórzy z nich wyszliby obronną ręką, gdybyśmy zaczęli ich rozliczać ze szczerości takich zapewnień. A zwłaszcza z tego, czy za sprawą ich rozliczeniowych działań poprawia się jakość rządzenia i jakość pracy w opozycji”.

K O Z A



Gdyby w polskim ładzie ustrojowym prezydent mógł odmówić zaprzysiężenia premiera, to doradzałbym prezydentowi, żeby nie zaprzysięgał Donalda Tuska – prof. Andrzej Zybortowicz w TVN24.

Piotr Zaremba ubolewa nad powołaniem rządu dwutygodniowego („Rz”): „Nadal nie do końca rozumiem raczej stojące za tym rytualnym widowiskiem. Czy korzyść w postaci wygłoszenia przez Mateusza Morawieckiego jeszcze jednego wystąpienia nazwanego exposé jest warta końcowego upokorzenia, choćby w postaci rozlicznych memów? Czy jest wartością danie Leszkowi Millerowi sposobności do porównania Morawieckiego z pielgrzymującymi po domach świadkami Jehowy? Czy wykazanie swojej kompletnej izolacji jest dobrym wianem na wybory samorządowe?”. Podzielił intuicję autora – trzy razy tak.

Posel PiS Janusz Cieszyński ciuła punkty u Prezesa, przekonując czytelników „Sieci”: „To, co się stało nie jest dobre dla Polski. To PiS ma najlepszą ofertę programową i najlepszych ludzi do tego, by ten program realizować. Przejście do opozycji to dla nas lekcja pokory – musimy wyciągnąć wnioski, ciężko pracować i wrócić jeszcze mocniejsi, lepsi oraz mądrzejsi”. Jeszcze mądrzejsi?

W „Przeglądzie” Wojciech Kuczek pisze o pomysle zmiany nazwy PiS: „Kaczyński liczy na to, że nowa nazwa uruchomi w elektoracie nową energię i wywoła powszechną sympatię, a jak znam jego uzurpatorskie pragnienia, będzie to nazwa jeszcze bardziej bałamutna niż »Prawo i Sprawiedliwość«. Wedle moich przeczuć Jarosław Kaczyński zechce się pocieszyć utratą władzy nad Polską sprawowaniem władzy nad »Polską«. Taka nazwa partii byłaby logiczną konsekwencją utożsamiania interesu partyjnego z narodowym. Głosuj na »Polskę«. »Polska« jest najważniejsza. »Polska« mistrzem Polski. Nikt nie ośmieli się skrócić takiej nazwy. Nikt nie odważy się podnieść ręki na taką partię”. To może się przesowić spodobać.

Prof. Antoni Dudek dla „Angory” o premierze Morawieckim: „Nawet Beata Szydło, która była premierem w pełni zależnym od Kaczyńskiego, nie była taką marionetką jak Morawiecki. Premier godził się na upokorzenia, jakich doznawał ze strony prezesa Kaczyńskiego. Łącznie z tym ostatnim – gdy bowiem tworzył obecny przejściowy rząd, który przedstawiano jako jego autorski projekt, Kaczyński oświadczył, że to jego pomysł. (...) Morawiecki zapewne czeka na nagrodę namaszczenia go przez Kaczyńskiego, ale może się przeliczyć”. Dobrze, że może liczyć na żonę.

Upokarzaniu pisze też Stanisław Mancewicz („Tygodnik Powszechny”): „nigdy za naszej pamięci żadne siły ani tutejsze, ani obce, ani tęczowe, ani żydowskie, ani masonskie, ani europejskie, ani ciemne, ani jasne, ani niemieckie, ani rosyjskie, ani inuickie – nikt nigdy nie upokorzył tak okropnie i spektakularnie, długotrwałe, na oczach wielu milionów ludzi jednego człowieka, jak zrobiła to prawica z M. Morawieckim”. To specjaliści od godności.

Podsumowanie dwóch kadencji PiS w kilku słowach (Jan Piński, „Najwyższy Czas!”): „Jeszcze nigdy tak wielu, nie ograbiło państwa na tak wiele, przekonując przy tym cały czas o swojej ideowości i patriotyzmie...”.

CENTRUM MEDYCyny SPORTOWEJ

Klinika ortopedyczna

Szpital

operacje ortopedyczne ✦

Poradnia Medycyny Sportowej

dla dzieci, młodzieży i dorosłych:

Badania wstępne, okresowe i kontrolne ✦

Orzeczenia sportowo-lekarskie ✦

Pracownia prób wysiłkowych i wydolnościowych ✦

Poradnia Leczenia Bólu

Zabiegi interwencyjne:

blokady / neurolizy współczulne ✦

blokady / neurolizy nerwów obwodowych ✦

termolezja ✦

Poradnia Podologiczna

Konsultacje i zabiegi podologiczne ✦

Dietetyka

Dietetyka kliniczna ✦

Dietetyka sportowa ✦

Porady dla dzieci i dorosłych ✦

Rehabilitacja

✦ Rehabilitacja ortopedyczna:

✦ stawów rzepkowo-udowych

✦ stawów barkowych

✦ kręgosłupa

✦ stawów kolanowych

✦ kontuzji sportowych

✦ po zwichnięciach stawów

✦ urazów mięśni

✦ więzadeł

✦ po złamaniach

✦ Fizykoterapia

✦ Masaż leczniczy

✦ Diagnostyka funkcjonalna

✦ Rehabilitacja w uroginekologii

✦ Terapia przeciwobrzękowa

Rezonans Magnetyczny 3T

✦ Dwa aparaty przystosowane do badań sportowców
w zakresie ortopedii, neurologii i kardiologii

Tomografia Komputerowa

✦ Pełny zakres badań

Diagnostyka

✦ RTG, USG, EEG, EMG

CMS i Wracasz do gry!

Centrum Medycyny Sportowej to ośrodek leczniczo-rehabilitacyjny, specjalizujący się w leczeniu urazów ortopedycznych.
CMS wykorzystuje najnowocześniejsze technologie w diagnostyce, leczeniu i rehabilitacji.

CENTRUM MEDYCyny SPORTOWEJ - WARSZAWA ul. Wawelska 5

tel. 22 592 93 05 do 10

www.cms.waw.pl



APART.pl